- Czy Kościół wypaczał naukę Jezusa? — str. 5
- Dalszy ciąg tragedii ekologicznej — str. 6
- Obgadujemy Polaków w Bułgarii — str. 7
- Vadim plotkuje o Brigitte Bardot — str. 12

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 32 (1480) ROK XXIX 9 SIERPNIA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

OPOLE '86 FESTIWAL KRZYSZTOFA MATERNY

BOHDAN GADOMSKI

Wrażeń w Opolu nie zabrakło. Łączyły się głównie z nową strukturą, która miała dać inność festiwalowi.

— *Chcemy zmian i to w rezultacie dość daleko idących* — mówił przewodniczący Komitetu Organizacyjnego, wicewojewoda Zygmunt Siedlecki — *Pragnęlibyśmy lepszego festiwalu, ale także po prostu lepszej polskiej piosenki. Jedno wynika z drugiego.*

Organizacyjnie „Opole-86" było zapięte na ostatni guzik i wszędzie tam gdzie organizatorzy mogli sięgnąć swoją władzą był porządek i dyscyplina, tam gdzie panowanie oddali realizatorom poszczególnych koncertów — był bałagan denerwujący wszystkich: wykonawców, obserwatorów i samych realizatorów. Porażki na próbach ponieśli: Krzysztof Zaleski, Andrzej Strzelecki, Wojciech Mann i Krzysztof Materna, którzy nie mogli poradzić sobie z organizacją prób. Zainteresowany szczególnie tym, jak wygląda reżyseria koncertów festiwalowych, ze zdumieniem zorientowałem się, że w niczym nie różni się od składania szeregowych programów estradowych na zasadzie:

— *Teraz wyjdzie pani, a potem pan, później konferansjer, z prawej, z lewej strony, a może będzie lepiej ze środka?*

Ze swego zadania starała się jakoś wywiązać Barbara Borys-Damięcka, która w analityczny sposób dochodziła do efektu końcowego oraz Wojciech Kępczyński, który usiłował z pewnym powodzeniem zrobić koncert konkursowy na zasadzie widowiska rewiowego z baletowymi przerywnikami, czego w Opolu jeszcze nie było.

Festiwale piosenek tworzą nie tylko koncerty, ale próby, spotkania robocze, towarzyskie, konferencje prasowe, warunki i miejsca pobytu (uczestnicy rozrzuceni po całym Opolu). Ale zadbano, aby każdemu stworzyć odmienne warunki do wzięcia udziału w tej wielkiej, masowej imprezie i w zależności od tego można ją było przeżyć bardzo indywidualnie.

Niewielkie,

WĄSKIE I CIASNE JEST ZAPLECZE

opolskiego amfiteatru. Na dole znajdują się garderoby damskie i męskie, czyli rzędy blatów z podświetlonymi lustrami, kabiny do przebierania i szafy na stroje. Jest tam monitor, przy którym wykonawcy oczekujący na swoje wejście bacznie śledzą konkurencję. Na pięterku popularny mini-barek z salką na 10, może 12 osób i tarasik na 20, może 22 osoby. Łatwo można sobie wyobrazić co się tam dzieje, gdy do pracy przybywa kilkudziesięciu wykonawców, orkiestra, osoby towarzyszące, prasa, obserwatorzy, organizatorzy, realizatorzy koncertów itp.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Na dole, w mini-łazience, Gayga myje włosy w szamponie pożyczonym od pani pilnującej wc, ale za to uczesze ją fryzjerka specjalnie sprowadzona z Katowic. Grażyna Łobaszewska nakłada trzecią warstwę kremu i pudru. Nieco dalej przebiera się za prawanem Joanna Zagdańska, a w samym końcu garderoby tapiruje włosy Danuta Błażejczyk. Alicja Majewska jest wyraźnie zdenerwowana, Krystyna Prońko — pewna siebie i nad podziw opanowana.

W garderobie panów Andrzej Zaucha, zdaje się przekonywać, miną, że jest mu wszystko jedno, a Zbigniew Gniewaszewski jest prawie sparaliżowany. Wszakże niedawno przeżył szok, gdy kompozytor Antoni Kopff postanowił wycofać jego piosenkę. Janusz Piekarczyk z „TSA" gra rolę faceta szalenie pewnego siebie i zachowaniem demonstruje, jak ignoruje to całe „pop-towarzystwo", które ma śpiewać obok niego w „Premierach". Jan Jakub Należyty, który już dawno przestał być odkryciem i nadzieją w literackim gatunku piosenki, usilnie stara się przebić samego siebie.

Na największym luzie jest Ireneusz Dudek, który mówi do kolegi stojącego z nim w kolejce po parówkę i colę, że postawił w „Premierach" na wygłup

10

Kolonie w Przedborzu

Lekcja obywatelskiego

ROMAN KUBIAK

KOCHANI RODZICE,

na koloniach letnich w Przedborzu jest nam bardzo dobrze. Pogoda dopisuje, humory też. Cały turnus spędzamy pracowicie, bo uczymy się dorosłego życia. Pobieramy intensywne szkolenie, jak kopać pod kimś dołki, jak podkładać świnie, jak olewać swoją pracę, sporządzać donosy, jak robić z białego czarne, albo odwrotnie.

A nauczycieli mamy tu znakomitych, szczególnie w osobach kilku pań wychowawczyń, pani pielęgniarki oraz panów z telewizji, którzy niedawno dali nam lekcję wychowania obywatelskiego z praktycznym pokazem etyki. Teraz wiemy już, że telewizja może wszystko, albo jeszcze więcej — aż do utraty zaufania we własne oczy.

Zaczęło się już pierwszego dnia, bo kiedy przyjechaliśmy do Przedborza, nagle okazało się, że jest nas ciut więcej niż talerzy na stołach, czyli mamy więcej gąb do żywienia niż forsy w kolonijnej kasie. Wtenczas policzyli nas dokładnie i z nazwiska, aż wyszło, że parę pociech różnej płci zabrały z sobą panie wychowawczynie i pielęgniarka, jako dzieci własne i serdecznych koleżanek. Znaczy się, że nasze opiekunki chciały tę ferajnę dopuścić do wspólnego koryta, czyli załapać na sępa. Ale pani kierowniczka stanowczo oznajmiła, że nie będzie okradała legalnych kolonistów i zaraz kazała rozliczyć się z darmozjadów. Rzecz jasna nie wszyscy byli zachwyceni takim obrotem sprawy, więc ogólna atmosfera wypoczynku jakby zepsuła się nieco.

Potem rozdzielono nas na grupy i zaprowadzono do sal w budynku szkolnym. W salach jest po dziesięć łóżek, szafki na ubrania i parawan, za którym sypia wychowawca. Każdy zajął swoje łóżko, tylko panie praktykantki ze Studium Nauczycielskiego w Zgierzu kręciły nosami, bo myślały, że dostaną osobne pokoje z łazienką i tarasem. Co prawda pani kierowniczka długo tłumaczyła im, że to są kolonie letnie w Przedborzu, a nie pensjonat w Lozannie, ale raczej bez wyraźnego skutku, gdyż radosny wakacyjny nastrój minął bezpowrotnie.

My ze swej strony dobrze rozumiemy żal panienek praktykantek, albowiem nie każdy lubi być harcerzem, szczególnie jeśli wychował się w mieście Łodzi, a teraz paskudny los przyszłego pedagoga rzuca go do zapyziałego Przedborza, gdzie ani dyskoteki, ani ludzkiej kawiarni, ani nawet przyzwoitego butiku z ciuchami, tylko robota od świtu do nocy. Dlatego bez zdziwienia wysłuchaliśmy zwierzeń jednej z pań o tym, że ona ma głęboko w pupie pilnowanie cudzych bachorów za głupie sześć tysięcy i podłe żarcie.

Odtąd skromna kolonia nasza została nazwana szczodrze wypowiadanym określeniem „burdel", którego znaczenie nie bardzo pojmujemy, lecz za przykładem starszych włączamy je do naszego ubogiego słownictwa.

Burdel jest, normalną szkołą podstawową, na czas wakacji przemienioną w ośrodek kolonijny — ani lepszy, ani gorszy niż setki takowych w naszym kraju. Zresztą Sanepid, który jest okropnie wymagający i nawiedza nas często, ma dobre o kolonii zdanie, co potwierdzają protokoły. Podobno jeszcze przed wakacjami, gdy szkoła przeszła remont na koszt organizatora turnusów, Sanepid nie chciał wyrazić zgody na zakwaterowanie w niej dzieci, póki nie wymieniono jednego pękniętego sedesu. Tak surowy jest Sanepid!

Dotychczas wydawało nam się, że kolonie letnie są po to, by wypoczywali na nich koloniści, ale tutaj dowiedzieliśmy się od dwóch pań wychowawczyń, że wypoczywać przyjechały one, więc będą robiły tylko to, na co mają ochotę, czyli głównie nic. Podczas jednego takiego nicnierobienia znowu wpadł Sanepid i za bałagan panujący w pokojach trzech pań praktykantek, rąbnął im mandat. Reszta kolonii była czysta jak łza. Ale panienki uznały, że inspekcja jest złośliwa i trzyma z szatanem, przeto kary nie zapłaciły, mocno obraziły się na cały świat i postanowiły totalnie olewać swoją robotę, czego doświadczyliśmy na własnej skórze.

Czasem aż dziw bierze, że inne panie wychowawczynie, chociaż starsze wiekiem i doświadczeniem, starają się, byśmy mieli udane wakacje, a wcale nie dostają za to więcej pieniędzy niż te leżące bykiem, i jeszcze są obiektem kpin. My zaś pilnie przyswajamy sobie życiową maksymę naszych młodych wychowawczyń, że za głupie sześć tysięcy złotych, to się nawet nie opłaca wychodzić z domu.

Bardzo fajna jest nasza pani pielęgniarka dyplomowana z Łodzi, bo nigdzie za nami nie łazi z apteczką, która jest przecież okropnie ciężka. Kiedy my idziemy nad rzekę, albo na boisko, to pani pielęgniarka drepce na spacer z własnym dzieckiem, widocznie nie lubi hałasu.

Za to pani pielęgniarka strasznie lubi nas leczyć swoimi sposobami. W tym celu nabyła ona furę rozmaitych lekarstw, za prawie sześć tysięcy złotych, także antybiotyków, którymi hojnie szprycuje nas na okoliczność przeziębień, katarów, skaleczeń i odcisków.

Kiedy zdarzyło się, że lekarstw zabrakło, wtedy pani Ania zaraz pobiegła do ośrodka zdrowia, żeby miejscowy lekarz wystawił jej recepty in blanco, bo ona lepiej wie, co to medycyna, niż jakiś prowincjonalny konował.

Ale pan doktor nie zamierzał reszty życia spędzić za kratkami, więc sam nas przebadał i potem kazał wzywać się osobiście do każdego chorego dziecka.

Ulubionym zajęciem pani Ani jest sprawdzanie czystości rąk naszych kucharek. Starsze panie od garów, które w tej szkole gotują przez okrągły rok, mają wtedy łzy w oczach, ale wiedzą, że higiena to rzecz święta i ręce grzecznie pokazują.

A propos higieny. Następna inspekcja Sanepidu oceniła jak zwykle czystość w kuchni na piątkę, za to w pokoju pani pielęgniarki znalazła pełzający brud, kosz ze zgniłą kiełbasą i chlebem oraz zapchaną fusami umywalkę.

7

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch"; 3. prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2371. B-14.

Przegląd prasy

Ogarnia mnie lekkie przerażenie, gdy zaglądam przez szybę do wnętrza kiosku RUCHU. Czego tam nie ma? Bez większego trudu można kupić „Płomyczek", „Ekran", „Kobietę i Życie", a także „Przyjaciółkę", nie mówiąc o innych tytułach tygodników, jak choćby „Polityka" czy „Przegląd Tygodniowy". Wiadomo — lato, urlopy. Ludzie z miast wyjechali na wczasy nad morze, w góry, nad jeziora, albo wręcz poza nasze granice, a prasa za nimi nie jeździ. Stąd i mniejszy na nią popyt. Ale to wszystkiego jeszcze nie tłumaczy, gdyż kłopoty z nakładami zaczęły się już na przełomie maja i czerwca, a w niektórych przypadkach nawet wcześniej. Wydawcy, dziennikarze i kolporterzy zastanawiają się nad tym, dlaczego tak się dzieje? Jakie są tego przyczyny?

I oto za pośrednictwem Polskiej Agencji Prasowej wiele dzienników — w tym „Dziennik Łódzki" i „Głos Robotniczy" — omówiły rezultaty ankiety *„Polityka informacyjna: prasa — telewizja — plotka"* przeprowadzonej i opracowanej przez specjalistów z Centrum Badania Opinii Społecznej. Ankietę tę omówił też na łamach „POLITYKI" (nr 30 z 26 lipca 1986 roku) Jacek Mojkowski w artykule zatytułowanym *„Informacja w roli głównej"*. Opracowanie „Polityki" jest oczywiście obszerniejsze, bardziej wyczerpujące niż PAP, ale w obu

BRAKUJE PODSTAWOWEJ WIADOMOŚCI

jak wielka była liczba badanych ludzi, z jakich pochodzili oni rejonów kraju, jakie reprezentowali zawody, czy byli to mieszkańcy miast, czy też również mieszkańcy wsi. Bez tych wiadomości cała masa interesujących faktów traci jakikolwiek sens. Staje się sztuką dla sztuki, omówieniem dla omówienia, zabawą samą dla siebie. Żeby jednak nie być gołosłownym podam kilka przykładów.

Przykład pierwszy. Otóż wszystkim powinno być wiadomym, a już przede wszystkim opracowującym ankietę i omawiającym ją także, że w Polsce istnieje kilkanaście dzienników będących pismami PZPR, które wychodzą na kilka województw. „Trybuna Robotnicza" na przykład ukazuje się w województwach obejmujących również Beskid, „Gazeta Krakowska" całe Podhale, „Gazeta Robotnicza" Karkonosze i inne rejony południowego zachodu Polski. „Sztandar Ludu" wychodzi w Lublinie i obejmuje obszar dawnego, „dużego" województwa lubelskiego. Z gazetami tymi czytelnicy z innych rejonów Polski mogą zetknąć się jedynie w okresie urlopu, jeśli spędzają go w górach lub w znanych uzdrowiskach Lubelskiego. Innego sposobu zetknięcia się z tymi gazetami nie ma, gdyż nie są sprzedawane poza rejonem, który jest im przepisany do obsługi.

Mam więc poważną wątpliwość, jak można porównywać poczytność „Trybuny Robotniczej" i „Gazety Krakowskiej" na przykład z rzeszowskimi „Nowinami", czy białostocką „Gazetą Współczesną", nie mówiąc już o „Głosie Robotniczym", który „obsługuje" województwa: łódzkie, piotrkowskie, sieradzkie, skierniewickie i płockie, na obszarze których nie ma większych uzdrowisk i ruch turystyczny jest tu raczej tranzytowy? Nie mając wiadomości, kto odpowiadał na pytania ankiety, nie mogę z faktów podanych przez Jacka Mojkowskiego w „Polityce" wyciągnąć żadnych wniosków, bo mogą one być mylące i fałszywe.

Przykład drugi. Tygodniki. Znów nieznane są kryteria, według jakich dokonywano porównań. Gdyby były one podane, być może nie nastąpiłyby dość dziwne i śmieszne zarazem nieporozumienia. Oto Jacek Mojkowski wymienia w „Polityce" wśród dziesięciu pism, które mają *„największą liczbę przeciwników"* — gdzie są również „Odgłosy" — „Przegląd Katolicki", a sprawozdawca PAP zalicza ten tygodnik do pism, które *„uwzględniając (...) wielkość nakładu"* cieszą się *„najwyższą renomą"*. Albo ja nie wiem, co to jest *„renoma"* — opinia, sława, rozgłos, wziętość — albo sprawozdawca PAP czegoś nie rozumie. Wymienia on zresztą obok „Przeglądu Katolickiego" inne pisma, które mają się cieszyć największą *„renomą"*, mało znane pismo, przeznaczone głównie dla odbiorców z LZS — „Wiadomości Sportowe". A może po prostu chodziło o „Przegląd Sportowy"? Przyznam się też, że nie znam czasopisma pt. „Rodzina". Ale z tego jeszcze nic nie wynika.

Przykład trzeci.

NIEOBECNI I NIECHCIANI

Wśród nieobecnych na rynku wymieniono również „Odgłosy". Znaleźliśmy się wśród innych tygodników regionalnych w zasadzie, choć też sprzedawanych poza miejscem ukazywania się, jak choćby wrocławskie „Sprawy i Ludzie", katowickie „Tak i Nie", poznańskie „Wprost", bydgoskie „Fakty" i bliżej mi nie znane „Sygnały". Czyżby chodziło w tym przypadku o pismo dla kolejarzy?

Co to znaczy nieobecni? Jacek Mojkowski wyjaśnia to następująco: *„których ankietowani nigdy nie widzieli na rynku, ani o nich nie słyszeli"*. Bywa. I nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Ale pod warunkiem, że wiem, kim byli ankietowani. Popularność „Trybuny Robotniczej" pozwala sądzić, że byli to w większości mieszkańcy Śląska. „Tak i Nie" miało w tym czasie nakład ok. 140 tys. egzemplarzy. Trudno, aby było na Śląsku nieobecne. „Sprawy i Ludzie" mają — przynajmniej w tym czasie, gdy była robiona ankieta — 50 tys. egzemplarzy. Jakąś część tego nakładu można kupić poza Dolnym Śląskiem. „Odgłosy" miały w pierwszym półroczu średni nakład 42,5 tys. egzemplarzy i też część tego nakładu, około 3 tysięcy sprzedawano poza Łodzią i najbliższymi województwami. Jest to jednak mała ilość, abyśmy byli zauważeni w kraju.

Ale zaraz rodzi się kolejna wątpliwość. Jeśli należymy do grupy pism nieobecnych, to w jaki sposób możemy mieć tylu przeciwników? Wątpliwość goni wątpliwość!

Możemy być jednak zadowoleni, że nie znaleźliśmy się w grupie pism niechcianych oraz w grupie pism *„najmniej kontrowersyjnych"*. Nie mogę odmówić sobie satysfakcji i nie wymienić tych pism: „Przyjaciółka", „Kobieta i Życie", „Przekrój", „Panorama", „Polityka", „Gospodyni", „Razem", „Veto", „Prawo i Życie", „Nowa Wieś". Otóż część z tych pism znalazła się w grupie *„10 najbardziej potrzebnych"*, których *„nakłady (...) nie powinny być obniżane"*. Jak to zauważył słusznie Zastępca — autor przeglądu prasy w „Dzienniku Łódzkim" — z zestawień tych jasno wynika, *„czego Polak oczekuje w prasie"*. Ale czy to dobrze, że tego oczekuje?

SENS TAKICH BADAŃ

widzę w tym, że wydawcom, redakcjom i kolporterom pomagają one usprawniać rynek czytelniczy. A zatem Centrum Badania Opinii Społecznej powinno zapoznać wydawnictwa prasowe, redakcje i kolportera — być może za pośrednictwem RSW „Prasa-Książka-Ruch" — z pełnym materiałem wynikającym z badań. Czytelników „Odgłosów" mogę zapewnić, że redakcja zwróciła się już do CBOS z prośbą o przesłanie nam pełnego materiału wynikającego z opracowania ankiety i zostało to nam obiecane, a więc gdy już będziemy tym dysponowali, to przedstawimy własne jego omówienie. Wyciągniemy też z tego niezbędne wnioski i wykorzystamy je w naszej redakcyjnej pracy. Uważamy bowiem, że zachodzą na rynku prasowym zmiany, których jeszcze być może do końca nie znamy i nie rozumiemy. Ale jeśli tych zmian nie poznamy i do nich nie dostosujemy się, to możemy znaleźć się szybko poza rynkiem prasowym. I nie tylko my zresztą!

W Centrum Badania Opinii Społecznej w 1984 roku podobne badania przeprowadził Jan Ruszkowski, a ich wyniki omówił na łamach „TYGODNIKA WSPÓŁCZESNEGO — ARGUMENTY" (nr 31 z 3 sierpnia 1986 roku) H. WAN. w artykule zatytułowanym: *„Czy klasie robotniczej grozi kulturalna izolacja"*. Jan Ruszkowski przebadał 2,2 tys. robotników z fabryk w całej Polsce, które zatrudniają więcej niż 3 tys. osób.

Badania te — choć ich głównym celem było poznanie kulturalnych zainteresowań i potrzeb robotników — w części swojej odpowiadają na pytanie:

CZEGO LUDZIE OCZEKUJĄ?

Co ich interesuje? Skąd czerpią informacje, wiadomości, jak zaspokajają swoje kulturalne potrzeby?

I tak. Wiadomości w radiu słucha 71,2 proc. badanych, a DTV ogląda 90,6 proc. Z ankiety relacjonowanej przez Jacka Mojkowskiego i PAP wynika, że źródłem informacji dla badanych są: dla 85 proc. — telewizja, dla 64 proc. — prasa, dla 55 proc. — radio, dla 8 proc. — konferencje rzecznika rządu. Poza tym — bo przecież każdy korzysta z kilku źródeł informacji — 29 proc. czerpie informacje z własnych obserwacji, 19 proc. — od rodziny i znajomych, 12 proc. — z radia zachodniego, 11,5 proc. — z rozmów prowadzonych w miejscu pracy, 9 proc. — dowiaduje się o wszystkim w kolejkach i tramwaju, 36,5 proc. badanych korzysta tylko z informacji oficjalnych, a 1,3 proc. nie korzysta z tych źródeł w ogóle.

Ale wróćmy do ankiety Jana Ruszkowskiego. „Porannych sygnałów" w programie I PR słucha — 70,8 proc. badanych robotników, „Polityki dla wszystkich" — 66 proc., a dorywczo — 27,7 proc. „Lata z radiem" — 79,2 proc. badanych, „Koncertu życzeń" — 73,9 proc.

Inaczej sprawa przedstawia się z telewizją. „Publicystyki DTV" nie ogląda 40,9 proc. badanych robotników, a 38,8 proc. czasami ogląda. „Faktów — Wydarzeń — Aluzji" nie ogląda 37,8 proc. badanych, a „Telewizyjny Koncert Życzeń" ogląda 80 proc. badanych. Jeśli do tego dodamy wyniki ankiety omawianej przez Jacka Mojkowskiego w „Polityce", to okazuje się, że Teatrem Telewizji interesuje się 3,3 proc. badanych, lokalnym programem — 6,4 proc., sportem — 16 proc., publistyką polityczną — 26 proc., a społeczno-gospodarczą — 15 proc. Tylko ciągle nie wiem, kim są ci badani?

Jan Ruszkowski w swojej ankiecie zapytał też o książki. 70 proc. ankietowanych robotników odpowiedziało, że czyta. Z tego 42,5 proc. — książki sensacyjne i kryminalne, 27,2 proc. — o tematyce wojennej, 19,3 proc. (brawo!) — czyta poezję, 17,5 proc. — literaturę klasyczną, a 17 proc. — literaturę o tematyce obyczajowej. To też jest dość istotna i ważna informacja dla redakcji tygodników, które na swoich łamach zamieszczają prozę, bądź nawet — jak choćby „Odgłosy" — publikują powieści w odcinkach.

Od pewnego czasu niepokoi nas wszystkich

PROBLEM WIARYGODNOŚCI

W ankiecie relacjonowanej przez Jacka Mojkowskiego w „Polityce" padło takie pytanie: *„Czy są takie dziedziny życia społecznego i politycznego, w których to, co mówi się i pokazuje w TV oraz pisze w gazetach rozmija się z prawdą?*

Tak — odpowiedziało 46,5 proc. badanych, nie — 38,7 proc., nie wiem — 14,5 proc.

„Z przedstawionych danych wynika — napisał Jacek Mojkowski — *że oficjalne środki przekazu mają wręcz monopol w kształtowaniu obrazu sytuacji kraju. Fakt ten w połączeniu z deklarowanym małym zaufaniem do pozainstytucjonalnych form przekazu prowadzi do dwóch konkurencyjnych hipotez: albo opinia publiczna nie nadąża za ilością informacji podawanych przez oficjalne źródła, albo też owa opinia przestała się interesować sytuacją w kraju"*.

Odpowiedź na te pytania trzeba znaleźć możliwie szybko, bo jeśli skojarzymy z tymi przypuszczeniami spadek popytu na prasę w ostatnim czasie, to jest to sygnał, którego nie wolno pod żadnym pozorem zbagatelizować.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Rocznicowo – w pojedynkę

Jak każda historyczna rocznica, tak i minione lipcowe święto pobudziło wielu do snucia wspomnień, innych do publicznych refleksji, a mnie akurat, przyznam się, żadna rocznicowa tematyka nie przychodziła do głowy (ale czy najważniejsze jest terminowe „odfajkowywanie" rocznic?). Raptem ni stąd, ni zowąd dotarło do mojej świadomości, że wówczas, po utworzeniu w Chełmie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, żadna wieść o tym w okupowanej Warszawie do mojego najbliższego środowiska nie dotarła i dopiero po wyzwoleniu, przeżywanym w Krakowie, usłyszałem po raz pierwszy o Bierucie, Osóbce i innych współtwórcach ludowego państwa. Obchodzę więc rocznicę wydarzenia, które uszło wtedy mojej uwagi.

Nie chodzi przecież o to, że akurat ze mną tak się działo, lecz o to, iż podobne sytuacje były udziałem ogromnej, jak sądzę, części Polaków w okupowanym „General Gouvernement". Poza bowiem stosunkowo nielicznym środowiskiem, przedwojennej czy okupacyjnej lewicy, ogół Polaków był zupełnie niezorientowany w wydarzeniach rozgrywających się od połowy 1944 r. na wyzwalanych ziemiach polskich.

I może dlatego tak po omacku badaliśmy wtedy, my młodzi, ten lewy polityczny brzeg, na który nas, nieprzygotowanych, wyrzuciła historia i zawiłymi meandrami zdążaliśmy do utożsamienia się z nową Polską, inną dla wielu niż ta, którą zapamiętaliśmy sprzed wojny i której nadejście zapowiadali nasi rodzice.

Nie dość może wyrozumiale traktowaliśmy wewnętrzne trudności starszych, zwłaszcza ze środowisk, które przewrót społeczny wysadził z siodła, ich pewien rodzaj demonstracyjnego bojkotu państwowych stanowisk, polegający na nieprzyjmowaniu pracy „u nich". A że w kraju brakowało fachowców i w ogóle inteligencji do ambitnych przedsięwzięć odbudowy i przebudowy, m.in. na skutek fizycznego jej wyniszczenia przez okupanta, nowa ludowa władza podtrzymywała swoją nieustającą ofertę pod adresem inteligencji, zdając sobie sprawę, iż przeważnie związana jest ona pochodzeniem i poglądami z przedwojenną burżuazją i sanacyjnym aparatem władzy.

Trudno było się jednak nie irytować (albo nie szydzić), gdy się obserwowało objawy totalnego negatywizmu w stosunku do absolutnie każdej decyzji władz: od akcji zwalczania analfabetyzmu („Kto nam będzie ulice zamiatał, kiedy wszystkich nauczymy pisać"), do przeprowadzania wielodzietnych robotniczych rodzin z suteren i poddaszy do zarekwirowanych komfortowych mieszkań. („Będą w wannie króliki trzymać albo węgiel, a kąpać nigdy się nie przyzwyczają"). A gdy po kraju rozeszła się pogłoska, że nowo odbudowanemu mostowi Józefa Poniatowskiego grozi zawalenie, wiele osób „z towarzystwa" zacierało ręce („A co, nie mówiłem że ciemnota bez nas nie da sobie rady!"). Niechętnie też odnoszono się później do budowy Nowej Huty („Jesteśmy krajem rolniczym, to po co nam stal?"), potem niektórzy szeptali, że kombinat będzie otoczony drutem, a do Krakowa wydawane będą specjalne przepustki, tylko dla „swoich". Przytaczam dokładnie, to co wtedy skrupulatnie odnotowywałem z zakresu mentalności społecznej.

Może ktoś powiedzieć, że winę za brak emocjonalnej więzi społeczeństwa z państwem ponosi wyłącznie obóz rządzący w PRL, zwłaszcza że przedwojenna „sanacja" przywiązywała wielką wagę do zaszczepiania w społeczeństwie kultu państwowości polskiej, jako dobra samego dla siebie, poniekąd niezależnego od wypełniających go treści. Stąd przymiotnik „państwowotwórczy" miał w ustach przedstawicieli władzy posmak najwyższego wyróżnienia.

Sądzę, że niezależnie od błędów, m. in. propagandowych, jakie mogły popełniać po wojnie czynniki prosocjalistyczne doszło u nas do głosu nastawienie, które i przed wojną nieobce było bodaj większości naszego społeczeństwa. Dla opozycyjnej prawicy (prawicą był też rządzący OZON), reprezentowanej przez endecję i jej narodowo-radykalny odłam, państwo przedstawiało sobą wyłącznie wartość służebną narodowi, nie zaś całemu społeczeństwu i jego narodowym mniejszościom. Dla części lewicy robotniczej i chłopskiej państwo sanacyjne, jako burżuazyjne i eksploatatorskie wobec świata pracy, było eo ipso wrogie ludowi. A dla mniejszości narodowych, stanowiących blisko trzecią część ludności, ówczesna Polska nie była, mówiąc oględnie, dość troskliwą matką i nie każdy Polak rozumiał, że osłabia to organizm państwowy (próbował to zmienić Gabriel Narutowicz i za to zginął).

Innymi słowy, począwszy od okresu państw zaborczych, które zawładnęły naszymi ziemiami, i wcześniej — od czasów szlacheckiej „złotej wolności", gdy wierzono głęboko, iż „Polska nierządem stoi" a egzekwowanie przez władzę (króla) powinności od obywateli na rzecz państwowej wspólnoty odczuwane było jako „grób wolności"; od tak więc dawna, przez okres międzywojenny do dziś, instytucja państwa u niezbyt wielu Polaków cieszy się należną estymą.

JERZY KWIECIŃSKI

PS. Pana R.S. z Łodzi zapewniam, że pisząc „Pasożytów" nie miałem na myśli inwalidów. Ale Pański odzew dał mi sporo do myślenia. Dziękuję.

J.K.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

można będzie przeczytać:

— artykuł **Stanisława Rudolfa** o zasadach tworzenia i działania brygad partnerskich w przemyśle,

— rozważania **Mariana Podlaszewskiego** o głupich warchołach i fałszywych patriotach oparte o najnowsze wydarzenia i tekst XVI-wieczny,

— szkic, w którym **Lucjusz Włodkowski** zastanawia się, czy w czasie Powstania Warszawskiego istniały warunki dla wylądowania w Warszawie I Samodzielnej Brygady Spadochronowej oraz o tym, jakie były realne możliwości pomocy z Zachodu,

— reportaż **Teresy Jerzykowskiej** z brzezińskiej „Daminy",

— „Esej na kanikułę" **Urszuli Kołakowskiej** o erotykach **Jana Andrzeja Morsztyna** z licznymi cytatami tych erotyków,

— reportaż **Marka Koprowskiego** z Opola pt. „Nie pomoże puder, szminka..." w dwu częściach: I „Była afera" i II „Polska piosenka psuje się od środka" oraz **Romana Kubiaka** z Sopotu i wyboru Miss Polonia,

— opowieści **Eugeniusza Iwanickiego** o różnych, nielegalnych sposobach bogacenia się i **Jakuba Łaskiewicza** o takich, co nie orzą, nie sieją, a żyją i to nieźle, tylko że sprawiedliwość ich i tak dosięga.

UWAGA! W najbliższych numerach „Odgłosów" pełne i wszechstronne omówienie ankiety Centralnego Ośrodka Badania Opinii Społecznej pt. **„Informacja: telewizja — prasa — plotka"**. Ankietę omawia **Marian Podlaszewski**, komentuje — w świetle tego, co ukazało się w „Polityce" i omówieniu Polskiej Agencji Prasowej — **Lucjan Bogusz**.

A także, jak zawsze: poezja, proza, listy, felietony.

WŁADYSŁAW MARIA GRABSKI

To jest spór o koncepcję rozwoju

Zmiany zachodzące w ZSRR po XXVII Zjeździe KPZR z dużą uwagą były i są interpretowane przez różnorakie ośrodki informacji i polityki krajów zachodnich i rozwijających się

W OPINIACH PRASY

„Washington Post" przedstawił szerokie omówienie uchwały XXVII Zjazdu KPZR w zasadzie bez komentarza. Omawiający uchwałę artykuł „New York Timesa" stwierdzał m.in., że *„mimo, iż zasadnicze decyzje zostały podjęte przez kierownictwo radzieckie jeszcze przed zjazdem, uchwała będzie przez najbliższe 5 lat służyć, jako kryterium radzieckiej polityki wewnętrznej i zagranicznej"*. Gazeta wybijała oceny zachodnich dyplomatów, według których *„żadna ze zmian zaprezentowanych podczas zjazdu nie miała charakteru zasadniczej strukturalnej transformacji"*. Dziennik dodaje jednak, że *„uchwała stanowiąca odbicie koncepcji Gorbaczowa i Ryżkowa zawiera, jak na warunki radzieckie, znaczące zmiany"*. Trzeba tu dodać, że opinie te dotyczyły głównie systemu politycznego ZSRR, a nie nowych ocen ideologicznych i całości koncepcji przyśpieszenia społeczno-ekonomicznego.

Prasa USA i europejskich krajów państw NATO dostrzega problem wzrostu siły wewnętrznej Kraju Rad i polityczno-militarnej. W niektórych komentarzach przez ten pryzmat rozpatrywane są kwestie realizacji Uchwały XXVII Zjazdu. „Washington Post" powołując się na źródła dyplomatyczne, wyraził ocenę, iż *„zarówno Gorbaczow jak i Ryżkow są zwolennikami gruntownych zmian w gospodarce radzieckiej, lecz wydają się być niezdecydowani co do konkretnych rozwiązań"*. Zamieszczony w tym piśmie artykuł redakcyjny koncentruje się na kwestii reform w ZSRR i ich konsekwencji dla USA. Przedstawiona w nim została ocena, iż *„proponowane na zjeździe zmiany oparte są na dyscyplinie: więcej krytyki, cięższej pracy, mniej korupcji i picia"*. Stwierdzono: *„podejmowane w ZSRR reformy mają być ostrożne i podejmowane na próbę oraz mają mniej obowiązujący charakter niż wydaje się to na Zachodzie"*.

Pogląd powyższy wskazuje na to, że zachodnie agencje komentując uchwały XXVII Zjazdu stwarzają stereotyp: *„to na razie tylko słowa"*. Żadne przyśpieszenie elektroniczne czy biotechnologiczne w cywilnej warstwie życia krajów socjalistycznych nie zafunkcjonowało.

Po zakończeniu zjazdu prasa amerykańska, japońska i zachodnioeuropejska koncentrowała swoje doniesienia na zmianach personalnych w kierownictwie KPZR. I tak np. „Washington Post" komentując te zmiany wybija ocenę zachodnich dyplomatów, iż *„umacniają one poparcie dla polityki reform przywódcy radzieckiego, jednak pozostający w BP i KC przedstawiciele „starej gwardii" stanowią potencjalne źródło sprzeciwu"*. Za znaczące w różnych komentarzach zachodnich uznaje się, że w składzie nowego KC KPZR znajdują się pozbawieni swych innych funkcji Tichonow, Bajbakow, Ponomariow i Kuzniecow, a Szczerbicki oraz Kunajew zostali ponownie wybrani w skład Biura Politycznego. Mimo to większość zachodnich dyplomatów w Moskwie stwierdza „Washington Post" uznała XXVII Zjazd za sukces Michaiła Gorbaczowa. „Washington Times" podkreśla, że *„mimo zmian personalnych, zjazd utrzymał ciągłość w zakresie polityki zagranicznej i wojskowej ZSRR"*. Utrzymanie w składzie KC Ponomariowa, Kuzniecowa, Tichonowa i Bajbakowa dziennik uznaje za *„smarowanie mechanizmu" zmian i dążenie do gładkiego przejścia między generacjami"*.

Spekulacje dotyczące układów instytucjonalno-personalnych w kierownictwie ZSRR są charakterystyczne dla tej orientacji interpretatorów zmian w ZSRR, która bazuje na przekonaniu, że stanowią one elementarne źródło wiedzy o tym, jakie sprawy i w jakim czasie uznawane są za najważniejsze. Problem wysokiej rangi spraw marynarki wojennej ma więc nie tylko symboliczną wymowę. Cała prasa amerykańska bezpośrednio po XXVII Zjeździe w czołówkach swych artykułów wybijała powołanie na sekretarza KC A. Dobrynina. Według zgodnych spekulacji prasy amerykańskiej Dobrynin będzie zajmował się w KC polityką zagraniczną. Według ocen prezentowanych przez „Washington Post" i „Washington Times" nominacja A. Dobrynina oznacza dążenie M. Gorbaczowa do tego, by Sekretariat KC był głównym organem kształtującym politykę zagraniczną, a MSZ zajmowało się głównie jej realizacją.

REALIA METODY PRZYSPIESZANIA POSTĘPU

w ZSRR oddziaływują na teorie i praktykę rozwojową całego socjalistycznego systemu. Oddziaływują na kształt światowej ekonomiki. Według danych wypracowanych w toku przygotowań do XXVII Zjazdu KPZR główne kierunki rozwoju gospodarczego i społecznego ZSRR zostały skoordynowane z podobnymi wskaźnikami poszczególnych krajów całej socjalistycznej wspólnoty. Wymieniono też szereg ocen i informacji prognostycznych dotyczących sytuacji w światowej ekonomice socjalistycznego systemu. Z analizy tych danych wynika, że już w najbliższych latach do 1990 roku przewiduje się w ZSRR podniesienie tempa wzrostu dochodu narodowego z 3 do 4 proc. rocznie, a w przyszłości w trzynastej i czternastej pięciolatce do 5 proc., a nawet więcej. Warunkiem osiągnięcia tego stanu rzeczy jest wzrost wydajności pracy.

Michaił Gorbaczow w referacie przedstawionym na XXVII Zjeździe zaakcentował potrzebę zwiększenia do końca stulecia wydajności pracy 2,3—2,5 raza przy jednoczesnym obniżeniu energochłonności dochodu narodowego o 1,4 raza oraz metalochłonności — prawie dwukrotnie.

Podnoszenie wewnętrznych i międzynarodowych stosunków ekonomicznych *„na wyższy poziom"* w końcu XX stulecia wymaga koordynacji tak przedsięwzięć inwestycyjnych jak i modernizacyjnych we wszystkich ogniwach systemu RWPG. Sprawy powyższe podjęły po XXVII Zjeździe KPZR wszystkie zjazdy bratnich partii socjalistycznej wspólnoty. Akcentowano na nich, że współczesna faza rewolucji naukowo-technicznej i informacyjnej wymaga:

— nowej polityki inwestycyjnej i strukturalnej odpowiadającej parametrom światowej nowoczesności technicznej i technologicznej;

— bardziej oszczędnej niż w latach poprzednich polityki nakładów na nowe budownictwo i zwiększenie mocy produkcji;

— zwiększenia nakładów na modernizację techniczną i reorganizację już istniejących przedsiębiorstw, w których często daje o sobie znać zjawisko dekapitalizacji środków trwałych.

„Oceniając osiągnięcia najmniej jesteśmy skłonni poddać się hipnozie pozytywnych wyników...", stwierdzał w trakcie XXVII Zjazdu KPZR I sekretarz KC Komunistycznej Partii Łotwy — Borys Pugo. Jest coś symbolicznego w tym stwierdzeniu jednej z najbardziej otwartych na postęp technologiczny republik radzieckich. Borys Pugo był zdania, że proces reformy gospodarczej dopiero się rozpoczyna. Stąd akcentował znaczenie uchwał plenum kwietniowego stwierdzając jednoznacznie: *„trzeba maksymalnie wzmocnić kontrolę i nadzór nad ich wykonaniem, aby nie zdarzyło się tak jak poprzednio, kiedy to wciąż na nowo powracało się do tego, co już dawno należało zrobić"*.

Subiektywne z pozoru wyobrażenie

O NIE WYKORZYSTANYCH REZERWACH

charakteryzowało wielu mówców z wielu republik. To co było specyficzne dla refleksji przedstawiciela Łotwy, to zrozumienie jedności problematyki humanistycznej i instrumentalnej, technicznej, prakseologicznej w jej spójnym metodologicznym związku i więzi. A oto niektóre charakterystyczne sformułowania, którymi posłużył się Borys Pugo:

— *„pewne osiągnięcia zanotowaliśmy w dziedzinie intensyfikacji słowa, podczas gdy intensyfikacja działań wciąż jeszcze jest powolna"*;

— *„Nie można stracić z pola widzenia i innego aspektu przebudowy psychologicznej — najtrudniejszego i najbardziej złożonego etapu przyśpieszenia"*;

— *„Najważniejsze, że zrozumiano obiektywnie nieuniknioną konieczność wyposażenia produkcji w nową technikę, potrzebę nowego, pozbawionego rutyny podejścia"*;

— *„Życie stawia wymóg, aby w najbliższym okresie stworzyć ogólnogospodarczy system przetwarzania i przekazywania informacji na bazie ujednoliconej (a nie zróżnicowanej w poszczególnych resortach, jak obecnie i dlatego wielojęzycznej) sieci techniki obliczeniowej"*;

— *„Jakość produkcji całej naszej pracy jest głównym ogniwem, za które trzeba się natychmiast zabrać wszystkimi siłami"*.

„Osiągnięcia ustalonych rubieży związane jest bezpośrednio ze zwiększeniem się odpowiedzialności kolektywów instytutów naukowo-badawczych i biur konstrukcyjnych" — stwierdzał Jurij Sołowiew I sekretarz Leningradzkiego Komitetu Obwodowego KPZR. Wskazał on, że rozwój przemysłu cechuje nierównomierność. W małych i źle zorganizowanych zakładach warunki pracy i bytu są niezadowalające *„a wydajność jest 1,5 — 2-krotnie mniejsza niż w wielkich zjednoczeniach"*.

Mówca nawiązywał do tych treści rozmów i spotkań, które padły w trakcie spotkań M. Gorbaczowa kilkanaście miesięcy przed XXVII Zjazdem z aktywem leningradzkim. Ale od tego okresu podjęto już program „Intensyfikacja — 90". Celem jego jest *„ujawnienie rezerw, które należy bezzwłocznie wykorzystać"*.

Jednocześnie Jurij Sołowiew sygnalizował całą złożoność niewerbalnej, lecz organizacyjno-produkcyjnej i naukowo-technicznej analizy treści „przyśpieszenia" pojętej jako program, który instancje partyjne wraz z najwyżej kwalifikowaną kadrą powinny podjąć i jako system prac, które partia powinna umieć kontrolować i korygować z uwzględnieniem warunków rozwoju. Stąd postulat opracowania nowego sprzętu technicznego o wysokich parametrach niezawodności i konkurencyjności, stąd także zwrócenie uwagi na jakościowy charakter mających nastąpić przemian m.in. poprzez zabezpieczenie nowoczesnych technologii wytwarzania tego sprzętu, którym można czynić postęp naukowo-techniczny i wdrażać nowe technologie.

Jurij Sołowiew akcentował: *„Duże znaczenie przywiązujemy do szerokiego upowszechnienia inicjatywy komitetów partyjnych czołowych leningradzkich zjednoczeń w sprawie tworzenia kompleksów naukowo-technicznych"*. Wyjaśniał też istotę tego *„przedsięwzięcia"*. Ta nowa forma integracji nauki z produkcją umożliwia ściślejszą partyjną kontrolę nad skracaniem wszystkich stadiów cyklu *„badania — produkcja"*. Dzięki niej także przedsiębiorstwa już od pierwszych prototypowych wyrobów mogą prawie o jedną trzecią zmniejszyć pracochłonność produkcji, zapewnić wysoką jakość wyrobów, znacznie przyśpieszać modernizację wytwarzania i tempo odnawiania asortymentu wyrobów.

Wystąpienie przedstawiciela organizacji leningradziej zawierało szereg sformułowań odbiegających od optymistycznych ocen sugerujących, że postanowienia czerwcowej moskiewskiej narady w sprawie postępu naukowo-technicznego są rzeczywiście realizowane. Stwierdzano w nim, np. w nawiązaniu do powyższych konstatacji:

— *„inicjatorzy tych innowacji muszą dosłownie »na bagnety« pokonywać przestarzałe stereotypy"*;

— *„Trwa nadal rozpraszanie sił i środków na niezliczone drobne badania i opracowania"*;

— *„Zbyt powoli torują sobie drogę nowe, postępowe formy wynagradzania pracy inżyniera"*;

— *„W warunkach resortowego rozproszenia poziom techniczny tych przedsiębiorstw oraz charakter ich specjalizacji nie odpowiada wymogom rewolucji naukowo-technicznej"*;

— *„...znaczne zasoby siły roboczej i środków materialnych absorbowane są produkowaniem wyrobów przestarzałych, o niskiej jakości"*.

WIDZENIE SPRAW „CAŁEGO CZŁOWIEKA"

w zmiennym i świadomie kształtowanym społeczeństwie jest metodologiczną inspiracją dla prób analizy szans i możliwości rozwoju tak ilościowego jak i jakościowego socjalistycznej ekonomiki w wymiarze wspólnoty i świata. Tak jeden, jak i drugi aspekt wywiera znaczący wpływ na system narodowych, regionalnych i globalnych przeobrażeń społeczno-gospodarczych. Są one czasem różnie interpretowane i rozumiane w ramach dyskusji przedzjazdowych w takich państwach RWPG, jak np. w Czechosłowacja, Bułgaria, Polska czy Węgry. Dominuje jednak to co uniwersalne — ogólne. Cechą wspólną tych rozważań jest świadomość podobnego celu „przyśpieszenia" we wszystkich państwach socjalistycznej wspólnoty. Jest to taka restrukturalizacja gospodarki, która by stworzyła milionom ludzi nowoczesny warsztat wysokoefektywnej pracy. Konsekwencją tego manewru ma być znaczne rozszerzenie wpływów gospodarki i polityki socjalistycznej w świecie.

Agencje światowe — w tym Reuter — podkreślały, że wypowiedź radzieckiego ekonomisty, prof. Abla Aganbengjana odwołująca się do doświadczeń zmian w gospodarce NRD, Bułgarii i Węgier, rzuciła nowe światło na problem autonomii i samofinansowania się przedsiębiorstw w ZSRR. Podejmując zaś problem jakości i wdrożeń innowacji technologicznych, a także likwidacji barier i zapór biurokratycznych, uczony ten również wyjaśnił, w jaki sposób państwo uniknie bezrobocia, kiedy wdrażane będą nowe technologie uwalniające ok. 20 mln robotników od pracy ręcznej do końca bieżącego stulecia. Stwierdził, że zagwarantowanie pracy dla wszystkich obywateli jest jednym z podstawowych zadań państwa radzieckiego.

Problem gospodarki „czynnikiem ludzkim" w ZSRR nie podlega na razie jakiejkolwiek schematyzacji i uproszczeniom poza tymi regulacjami, które przewiduje radzieckie prawo pracy. Agencja AFP pisze w materiale poświęconym obradom XXVII Zjazdu KPZR, że we wszystkich niemal głosach delegatów podejmowano problem krytyki i samokrytyki. Cytowano przykłady pozytywne, lecz główną uwagę koncentrowano na negatywnych. Ton tym wypowiedziom — stwierdza AFP — nadało wystąpienie Jegora Ligaczowa. Z naciskiem podkreślał on, że wszystkie bez wyjątku organizacje partyjne powinny być dostępne dla kontroli i dla krytyki. Agencja przytacza także fragmenty krytycznych uwag delegatów pod adresem ministerstw i resortów, jak np. słowa Nikołaja Jermakowa z obwodu Kemerowo, który zarzucił ministerstwu przemysłu węglowego prowadzenie nieprzemyślanej polityki, bowiem w ciągu 20 ostatnich lat w Zagłębiu Kuźnieckim nie uruchomiono żadnej nowej kopalni.

„Delegaci — pisze agencja — *podejmowali też sprawę zanieczyszczenia środowiska. Np. przedstawiciel Kazachstanu podał, że odpady przemysłowe, nagromadzone w tej republice, sięgają już 5 mld ton, ich ilość nadal rośnie, natomiast nic jak dotąd nie zostało zrobione dla ich utylizacji. Delegat z Ałtaju mówił o ogromnych stratach, jakie powodują opóźnienia w sprzęcie plonów: żniwa i omłoty planowane są na 2 tygodnie, a przeciągają się nawet do 2 miesięcy wskutek braku środków transportu"*.

Fascynacja sprawami człowieka, jego szansami rozwoju i samorealizacji, już w „Programie KPZR" stanowiła zapowiedź przewartościowań w sposobach widzenia tego wszystkiego co stwarza *„nowych ludzi"* i *„nowe społeczeństwa"*. Jest to problem zarówno polityczny, jak i ekonomiczny czy kulturalny. W ZSRR zwraca się bowiem szczególną uwagę na stan świadomości ludzi, ich sposób pracy i życia. W depeszy zatytułowanej *„Ponowna afirmacja realizmu socjalistycznego"*, agencja AFP dość niechętnie pisze, że zjazd przeciwstawił się jakiejkolwiek liberalizacji w odniesieniu do literatury i sztuki. Na potwierdzenie tego przytacza opinie jej zdaniem wysokiej rangi osobistości, które podkreślały z naciskiem, że obowiązującą w literaturze i sztuce metodę i zasadę stanowi doktryna realizmu socjalistycznego. Komentatorzy zachodni nie ukrywają, że sprawy te posiadają wielki wpływ na formowanie się postaw i poglądów ludzi żyjących w ZSRR. Tę samą tendencję wyraził, zdaniem AFP Aleksander Czakowski podczas konferencji prasowej, komentujący idee XXVII Zjazdu. Stwierdził on kategorycznie, że nigdy w Związku Radzieckim nie będą publikowane książki o treści antyradzieckiej czy antyludowej. Również Gieorgij Markow, także podczas konferencji prasowej, zapowiedział zdecydowanie, że realizm socjalistyczny pozostanie obowiązującą doktryną w odniesieniu do literatury i sztuki.

AFP nawiązując do wypowiedzi Leonida Zamiatina, krytykującej prasę zachodnią za publikowanie listów obywateli radzieckich, odbywających kary więzienia, oraz ostro potępiającej propagowanie w ZSRR zachodnich wideokaset o szkodliwych treściach amoralnych i antyludowych sugerowała jakoby problem wolności twórczych jednostki pozostawał jedną z nie do końca rozwiązanych kwestii. Poważne głosy tymczasem dostrzegają ów problem w całej złożoności sporu o *„jakość człowieka"*, jego osobowości, charakteru, rozwijanych zdolności i predyspozycji a *„jakość społeczeństwa"*, które stwarza rozumne ramy dla wszystkich form twórczej aktywności ludzkiej.

Widzenie spraw „całego człowieka" stanowi przedmiot wielu studiów i analiz, których istota zmienia współczesną kulturę polityczną socjalistycznych społeczeństw. XXVII Zjazd KPZR podkreślił, że oświata radziecka, podobnie jak i system wychowawczy, pośrednio i bezpośrednio oddziaływuje na wszystkich ludzi. Wskazuje się na edukacyjny charakter tych stanowisk pracy, które utworzono dzięki wdrażaniu nowych technologii. Podkreśla się także, że w skali wielopokoleniowej przemiany w materialnych i duchowych warunkach życia wymagają nowych programów edukacyjnych i wychowawczych. Ich istota polega na docenianiu wyobraźni, inicjatywy, twórczego ryzyka i konstruktywnej umiejętności korzystania z najnowszych osiągnięć nauki, techniki, organizacji i informacji. Dysproporcje w nowoczesnym pojmowaniu procesów inwestycyjnych same w sobie zawierają ładunek tych propozycji, które KPZR w pierwszym rzędzie adresuje sama do siebie, w dalszym zaś do wszystkich ogniw decyzyjnych i planistycznych odgórnie wcielanej w życie reformy systemu społeczno-gospodarczego.

Jest to proces niełatwy. Charakteryzując go Igor Ligaczow zwrócił uwagę na potrzebę przezwyciężenia autokratycznych nawyków decydowania o ludziach bez ludzi.

SPOSOBY ODCZYTYWANIA

tego co współcześnie dzieje się w Związku Radzieckim są różnorodne. Dominuje pogląd, że *„nowe przyśpieszenie"* dotyczy zarówno przeobrażeń polityczno-kadrowych jak i programowych. Po prostu nowi ludzie muszą pracować po nowemu, a to po to, aby jakość osiąganych przez nich wyników nie odbiegała od jakości tych, które są wyznacznikami postępu w świecie współczesnym.

Rzecz znamienna — jeszcze w trakcie XXVII Zjazdu KPZR w Stanach Zjednoczonych, na zachodzie Europy podkreślano, że przełomowe znaczenie zmian w rzeczywistości radzieckiej i ogólnosocjalistycznej polega na krytycznej analizie tak teraźniejszości, jak i przeszłości. W licznych komentarzach przypominano, że przed zjazdem w różnych kręgach interpretatorów spraw radzieckich krążyło wiele przewidywań, iż nowy sekretarz generalny będzie prowadził politykę w kierunku *„chruszczowizmu bez Chruszczowa"*. I tak np. „Washington Post" zauważał, że realia *„ery Gorbaczowa"* nie w pełni potwierdzają tę tezę. Eksponował myśl, że wpływ Leonida Breżniewa jest wciąż i wszędzie obecny. Zmieniał on bowiem rzeczywistość z pozoru niczego nie zmieniając. Pyta się więc czy *„breżniewizm bez Breżniewa"* jest przyszłością Kraju Rad?

Pogląd powyższy z różnych pozycji powtarzały także i inne agencje komentujące zmiany i przeobrażenia, o których istocie informowały już dokumenty kwietniowego plenum z 1985 r. Wskazywano też, że reformy wywołane praktyką XX Zjazdu posiadały w historii państwa radzieckiego ograniczony charakter we wszystkich dziedzinach życia. Zostały one niejako wtłoczone w schematy nowego, ale przecież coraz mniej elastycznego systemu decyzyjnego i planistycznego. Stwierdzenia te m. in. służyć miały wyjaśnieniu niektórych niepowodzeń Nikity Chruszczowa. Zdaniem ekspertów z Zachodu polegały na tym, że pragnął on, aby umiarkowane reformy pozastrukturalne sprzed dwudziestu lat były realizowane przez ludzi, których ukształtowała sprzeczna z ich duchem rzeczywistość ideowa, społeczno-gospodarcza i kadrowa okresu, który na trwałe skojarzył się z *„błędami i wypaczeniami"*.

Wiele agencji zachodnich usiłowało również nadać charakter politycznej sensacji wobec krytycznych głosów, które wywołały referaty Michaiła Gorbaczowa i Nikołaja Ryżkowa w ocenie zapóźnień rozwojowych w niektórych dziedzinach postępu naukowo-technicznego i gospodarczego.

Ujęcia powyższe bazowały na przypuszczeniu, że inność *„ery Gorbaczowa"* od *„ery Breżniewa"* wywoła potrzebę tak daleko idących przewartościowań i korekt, że utrzymanie tzw. ciągłości w życiu partii i państwa przynajmniej w sferze personalnej — okaże się niemożliwe. Wszystkie oficjalne radzieckie wypowiedzi na ten temat świadczyły jednak o tym, że spór o przyszłość wywołany dyskusją i realiami czasów XXVII Zjazdu jest przede wszystkim projekcją optymalnych lub zbliżonych do optymalnych stanów, które powinny zaistnieć. To spór o koncepcje rozwoju a nie rozrachunek.

Czasy nadziei i rozczarowań (12)

Rozbiła się bania strajków studenckich

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

O siemnastego października zakończyły się rozmowy pomiędzy roboczym zespołem Komitetu Rady Ministrów ds. Związków Zawodowych i grupą negocjacyjną KK „Solidarności". Nikt z nas nie przypuszczał wówczas, że do gwałtownej zmiany sytuacji w Polsce pozostało niecałe dwa miesiące. Ciągle żyliśmy nadzieją, że wielki proces odnowy zainicjowany przez PZPR po masowym proteście klasy robotniczej w końcu doprowadzi do porozumienia z „Solidarnością".

To prawda, że nadzieja była w tamtych dniach ważną kategorią polityczną, ale jeszcze ważniejsza była rosnąca niepewność co do przyszłości naszej Ojczyzny. Bardzo dobrze pamiętam te przygnębiające dni. Konflikty mnożyły się jak przysłowiowe grzyby po deszczu, kto żyw pisał protesty, siał teleksy wprost na wyścigi ogłaszano pogotowia strajkowe i strajki. Rosła nerwowość i wyraźny strach przed jutrem. Umacniało się przekonanie, że okręt z napisem Polska nabiera coraz więcej wody. Wśród zaniepokojonych obywateli ujawniali się demagodzy sprawiający wrażenie ludzi ogarniętych jakimś amokiem. Nie trafiały do nich już żadne zdroworozsądkowe argumenty. Mimo że upłynęło już kilka lat od tamtych czasów, mam je tak wyraziście zakodowane w pamięci, jakby to było wczoraj.

— Powiedziałeś — mnożące się konflikty...

Było ich wiele, ale dwa z nich zasługują na odnotowanie, bo choć rozgrywały się lokalnie, to miały znaczenie ogólnopolskie i buiwersowały opinię publiczną od Tatr do Bałtyku. Pierwszy z nich miał miejsce w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu, drugi w szkolnictwie Lublina i województwa. Obydwa ciągnęły się przez kilka miesięcy i praktycznie rzecz biorąc definitywnie zostały przecięte przez wprowadzenie stanu wojennego. W jednym i drugim konflikcie jako zaangażowane strony uczestniczyli członkowie kierownictwa partii, rządu, rektorzy, władze szczebla wojewódzkiego, słowem setki osób z kierowniczych gremiów PRL, no i druga strona — „Solidarność" oraz NSZ. Jeżeli chodzi o mnie, to jest rzeczą oczywistą, że musiałem brać udział zarówno w jednym, jak i drugim konflikcie. Wynikało to z tego, że nic co dotyczyło „Solidarności" nie mogło mi być w tym czasie obce. No, ale nie mój udział w obu sporach był najważniejszy. Znacznie ważniejszą sprawą były przyczyny powstania obu konfliktów, intencje tych, którzy je wywołali, a także wszystko to, co działo się wokół nich, a co dawało wiele do myślenia o stanie umysłów wielu osób, od których można było oczekiwać znacznie więcej rozwagi i poczucia odpowiedzialności niż od zwykłych zjadaczy chleba. Ale, nie uprzedzajmy wydarzeń.

Zacznijmy od Radomia. Konflikt, który rozpalił namiętności na skalę ogólnopolską faktycznie zaczął się już 28 kwietnia 1981 roku. W tym to dniu Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność" Wyższej Szkoły Inżynierskiej wysłała pismo do ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki, w którym zażądała odwołania prof. Michała Hebdy z funkcji rektora. W uzasadnieniu wniosku zarzucano mu nadmierną centralizację zarządzania, stosowanie autokratycznych metod kierowania uczelnią, forsowanie błędnej polityki kadrowej; brak dyscypliny w gospodarce finansowej uczelni itp. Minister nie wrzucił pisma do kosza, lecz powołał zespół dla zbadania wysuniętych zarzutów. Zespół nie stwierdził uchybień w gospodarce finansowej uczelni, a inne braki występujące np. w sferze organizacji procesu dydaktycznego i badawczego, nie były zawinione przez Hebdę, lecz wynikały z przyczyn obiektywnych. WSI w Radomiu należy do młodych, rozwijających się uczelni, które potrzebują jeszcze sporo lat zanim stworzą własną stabilną kadrę. Co się zaś tyczy autokratycznych metod kierowania uczelnią, to był to bez wątpienia w tym okresie zarzut chwytliwy, ale można go było postawić każdemu kierownikowi, który dbał o porządek, przestrzeganie istniejących przepisów itp. W toku rozwijającego się konfliktu poznałem Hebdę i jako żywo nie odniosłem wrażenia, że mam do czynienia z dyktatorem. Natomiast nie można było wątpić, że jest to człowiek o silnej konstrukcji psychicznej, zdecydowany walczyć o swoje racje do upadłego.

W połowie sierpnia minister na podstawie protokołu opracowanego przez wspomniany zespół stwierdził, że nie znalazł podstaw do odwołania Hebdy ze stanowiska rektora WSI. Była to słuszna decyzja. Przy podejmowaniu jej bynajmniej nie chodziło o pokazanie miejscowej komórce „Solidarności", że i tak „postawimy na swoim", lecz o niewychodzenie poza granice zdrowego rozsądku. Skoro nie było podstaw do odwołania Hebdy, to nie należało tego czynić, nawet gdyby dziesięć innych organizacji „Solidarności" tego się domagało. Senat WSI po otrzymaniu decyzji ministra postanowił kontynuować akcję wyborczą, bowiem w uczelni tej sposobiono się do wyboru rektora. Ordynację wyborczą przyjęto w wyniku prawie czteromiesięcznych prac i konsultacji. Ordynacja wzorowała się na podobnych dokumentach obowiązujących w innych uczelniach. W WSI, najwięcej kontrowersji wzbudziły kryteria doboru kandydatów na rektora. „Solidarność" zakładała, że kandydatem może być każdy profesor lub doktor habilitowany, nie pełniący nieprzerwanie funkcji rektora przez dwie ostatnie kadencje. Nie było to żądanie przypadkowe, bowiem Hebda pełnił funkcję rektora już po raz drugi, chodziło więc o wyeliminowanie go z grona kandydatów. Przeciwko temu wnioskowi zaprotestowała Rada Zakładowa ZNP uważając, że każdy samodzielny pracownik naukowy zatrudniony w szkole winien mieć prawo ubiegania się o funkcję rektora. Wokół tej sprawy rozgorzał spór wewnątrz szkoły. Kadra naukowa a częściowo i studenci, podzieliła się na dwa obozy: zwolenników i przeciwników rektora. Temperatura sporów i kłótni rosła z dnia na dzień. Nie bez wpływu na pogłębianie nastroju wrogości pomiędzy zwaśnionymi stronami był fakt, że „Solidarność" w WSI miała naprzeciw siebie silną organizację Związku Nauczycielstwa Polskiego, a więc nie mogła powoływać się na to, że większość nauczycieli akademickich udziela jej poparcia. W przeciwieństwie do wielu innych uczelni, w WSI pokaźna liczba nauczycieli nie padła na kolana przed „Solidarnością", zachowała własne zdanie i uparcie przy nim tkwiła. Jest rzeczą oczywistą, że sytuacja ta doprowadzała do wściekłości co bardziej bojowo nastrojonych działaczy miejscowej „Solidarności".

Ciągnące się przez kilka miesięcy spory wokół ordynacji wyborczej, kwestionowanie przez Komisję Zakładową „Solidarności" wyboru elektorów, chociaż wszystko odbywało się w majestacie prawa oraz na zasadach, jakie obowiązywały w innych uczelniach, spowodowało, że minister przedłużył kadencję władz WSI o dwa miesiące, tj. do 31 października 1981 roku. Miarą uczciwego, prostolinijnego postępowania Hebdy było złożenie przez niego na ręce ministra prośby o zwolnienie go z funkcji rektora i zarazem z pracy w resorcie nauki, szkolnictwa wyższego i techniki. Minister przyjął rezygnację z dniem 31 października, co oznaczało, że Hebda może jednak stanąć do wyborów. 15 października Senat podjął decyzję o przeprowadzeniu wyborów rektora w głosowaniu bezpośrednim, powszechnym, równym i tajnym w dniu 27 października. Prawo do zgłaszania kandydatur mieli wszyscy w terminie od 19 do 31 października, przy czym kandydować mógł każdy profesor i doktor habilitowany. W dzień po posiedzeniu Senatu Komisja Zakładowa „Solidarności" ponowiła wniosek o odwołanie rektora i zagroziła strajkiem w razie niespełnienia tego żądania. Stanowisko to zyskało poparcie kierownictwa Regionu Ziemia Radomska. 21 października ministerstwo przedstawiło swój pogląd na zaistniałą sytuację. W przesłanym do Radomia dokumencie czytamy m.in., że ministerstwo podtrzymuje swoje dotychczasowe stanowisko, iż wszystkie sprawy związane z trybem i sposobem wyboru rektora winny być rozstrzygnięte przez społeczność uczelni". 22 października przeprowadzony został w WSI dwugodzinny strajk ostrzegawczy. Na dzień 26 października „Solidarność" WSI proklamowała strajk właściwy.

Wybory rektora odbyły się 27 października, zgodnie z zatwierdzoną przez Senat ordynacją wyborczą. Paragraf 9 ordynacji stwierdzał: „rektorem Wyższej Szkoły Inżynierskiej im. Kazimierza Puławskiego w Radomiu może zostać w wyniku wyborów ten z kandydatów, który w wyniku powszechnego głosowania uzyska przynajmniej 50 proc. plus 1 oddanych, ważnych głosów wyborców razem, bez względu na liczbę biorących faktycznie udział w głosowaniu". O stanowisko rektora ubiegało się siedem osób, wśród nich także kandydaci cieszący się poparciem „Solidarności". W wyborach wzięło udział 669 pracowników na 1166 uprawnionych (57,37 proc.) oraz 503 studentów na 1437 uprawnionych (41,38 proc.). Ogółem oddano 1272 głosy (48,4 proc. wszystkich uprawnionych). Ważnych głosów oddano 1245. Jak wiadomo w niejednym kraju burżuazyjnej demokracji stopień frekwencji w różnego rodzaju wyborach jest podobny lub nawet niższy. Nikt z tego powodu nie organizuje jednak strajku. Hebda otrzymał 751 głosów, czyli 60,32 proc. ważnych głosów. Najpoważniejszy kontrkandydat Hebdy, prof. W. Tomassi otrzymał 368 głosy, czyli 29,7 proc. W dwa dni później Senat WSI zatwierdził wyniki wyborów. 1 listopada minister wręczył Hebdzie nominację na rektora. Jest rzeczą oczywistą, że gdyby to Tomassi otrzymał przy tej samej procedurze 60 proc. głosów, a Hebda 29 proc., to nie byłoby już żadnej „sprawy WSI". No, ale wyszło nie tak, jak życzyła sobie miejscowa „Solidarność". Należało się więc spodziewać, że mimo iż z punktu widzenia przestrzegania zasad demokracji autorom ordynacji wyborczej niczego nie można było zarzucić, konflikt będzie trwał. I tak też się stało. Muszę jeszcze przypomnieć, że wybory w WSI odbywały się w warunkach niecodziennych. W szkole trwał już strajk okupacyjny, zorganizowany przez Komisję Zakładową „Solidarności" oraz NZS. Budynki uczelni stały oblepione plakatami a Komisja Uczelniana NZS sformułowała postulaty: żądano społecznej konsultacji regulaminu wyborów przyjętego przez Senat, pełnej prezentacji kandydatów na rektora, nieocenzurowanego dostępu do poligrafii uczelnianej i korespondencji teleksowej. Rzecz jasna, że organizatorzy strajku domagali się odwołania Hebdy ze stanowiska rektora, a także wypłaty wynagrodzenia pracownikom uczelni za czas udziału w strajku. „Strajkujemy aż do zwycięstwa" oświadczyli organizatorzy strajku. Warto jednak dodać, że w strajku brało udział 400 pracowników i studentów, podczas gdy uczelnia zatrudniała w owym czasie 2373 pracowników i studentów. Był to więc strajk mniejszości, która postanowiła narzucić swą wolę większości. Nie był to pierwszy ani ostatni przypadek w ciągu tych szesnastu brzemiennych w skutki miesięcy. Hebda zajął rozsądne stanowisko. Powiedział, że „mogę odejść, ale niech to będzie wola większości społeczności akademickiej". A woli tej większości w WSI nie było!

Bojowy duch, jaki wstąpił w „Solidarność" i NZS WSI, udzielił się także innym ośrodkom akademickim. W listopadzie akcje protestacyjne łącznie ze strajkami ogarnęły kilkadziesiąt uczelni. Obradująca 7 i 8 listopada we Wrocławiu Krajowa Komisja Koordynacyjna NZS na znak solidarności ze strajkującymi studentami WSI oraz protestu przeciwko wstrzymaniu wejścia projektu ustawy o szkolnictwie wyższym pod obrady Sejmu, wezwała organizacje uczelniane NZS do proklamowania w dniu 12 listopada w godz. od 8 do 14, 6-godzinnego strajku okupacyjnego na uczelniach. Zwróćmy uwagę na nowy element rozpoczynającego się ruchu strajkowego. Sprawa projektu ustawy o szkolnictwie wyższymi Projekt został przygotowany przez Społeczną Komisję Kodyfikacyjną powołaną przez ministerstwo. Na posiedzeniu Rady Ministrów w dniu 16 listopada postanowiono przekazać „w najbliższych dniach" projekt do Sejmu, ze szczegółowymi uwagami rządu. Naszym zdaniem projekt ustawy nie był doskonały. „Rząd, stwierdziła Rada Ministrów, popiera w pełni ideę samodzielności i samorządności szkół wyższych... jednocześnie traktuje je jako instytucje mieszczące się w ogólnym systemie państwa, a więc podlegające jego niezbędnej inspiracji i kontroli. Między innymi rząd powinien mieć wpływ na kształtowanie założeń planów i programów nauczania oraz ilości studiujących na poszczególnych kierunkach studiów, po to, by uwzględniając potrzeby gospodarki i kultury narodowej, zapewnić zatrudnienie wszystkim absolwentom". Uważam, że Rada Ministrów miała bezsporne prawo do wyrażania swego zdania o przedłożonym projekcie prof. Resicha, który przewodniczył wspomnianej komisji. Zdanie to o niczym jeszcze nie rozstrzygało, ale rzecz w tym, że był to już czas, kiedy bardzo poważne autorytety odmawiały nam prawa zajmowania innego stanowiska, aniżeli różne „ciała społeczne". Faktycznie żądano od nas, abyśmy w każdej sytuacji podporządkowywali się opinii danego środowiska. Jeśli wyrażaliśmy sprzeciw, to bez jakichkolwiek wahań nazywano nas przeciwnikami odnowy.

Krytyczne uwagi, jakie zgłaszaliśmy pod adresem przedstawionego projektu ustawy, były powszechnie znane. Zarówno szef rządu, jak i ci ministrowie, którzy byli bezpośrednio zainteresowani, nie ukrywali swoich poglądów. Były one znane także środowisku akademickiemu. Nie było więc przypadkiem, że do punktu wyjściowego, tj. solidaryzowania się z częścią strajkujących studentów WSI dołączono sprawę projektu ustawy. „Ktoś" doszedł do wniosku, że trzeba nacisnąć na rząd, ponieważ uznano, iż w ten sposób zostaniemy zmuszeni do zaakceptowania projektu Resicha bez jakichkolwiek zastrzeżeń. No i rozbiła się bania strajków studenckich.

10 listopada rozpoczął się strajk okupacyjny w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie. W trzecim dniu strajku dołączyła do niego organizacja uczelniana Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. 13 listopada w odpowiedzi na wezwanie NZS strajkowano już w wielu uczelniach. W Uniwersytecie Warszawskim Komitet Zakładowy „Solidarności" zorganizował jednodniowy tzw. strajk czynny. Polegał on na tym, że wprawdzie odbywały się zajęcia, ale dotyczyły one zagadnień nie objętych programem studiów. Co tu dużo mówić, wygłaszane wykłady przesiąknięte były duchem antysocjalistycznym i antyradzieckim. NZS Uniwersytetu Warszawskiego proklamowało strajk okupacyjny. Jeśli wierzyć „Życiu Warszawy" (14—15.XI) ówczesny prorektor UW, prof. dr Władysław Fiszdon, poproszony o ocenę sytuacji w uczelniach, powiedział: „Studenci mają w swych żądaniach rację, choć ich reakcja — strajk okupacyjny — jest skrajna i bardzo dla uczelni kłopotliwa". Nic więc dziwnego, że profesor zakończył swą wypowiedź następującym stwierdzeniem: „Pozostaje czekać na dalszy bieg wypadków". Tak, czekać na bieg wypadków! W drugiej połowie listopada na terenie UW nocowało ok. 3 tys. studentów. Czarne flagi na bramie Uniwersytetu Warszawskiego wisiały do 13 grudnia. 16 listopada do strajku okupacyjnego przystąpili studenci Politechniki Warszawskiej. Oczywiście nie wszyscy. Na Politechnice studiowało wówczas 14 tys. dziewcząt i chłopców, a okupowało budynki 2300 studentów. W SGPiS strajkowało ok. 1200 studentów, budynki SGGW przy ul. Rakowieckiej okupowało 450 osób. 17 listopada strajk okupacyjny ogłoszono w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. W strajku brało udział ok. 1300 studentów, tj. 27 proc. ogółu studentów. 25 listopada akcje protestacyjne, głównie w postaci strajków objęły 70 wyższych uczelni. Kierownictwo NZS poinformowało, że w strajkach bierze udział 15 proc. studentów.

Dziś nie ma już potrzeby szczegółowego opisywania każdego z tych strajków; wystarczy stwierdzić, że praktycznie rzecz biorąc normalne życie w większości uczelni wyższych zostało sparaliżowane. Dodać też należy, że organizatorzy strajków chętnie posługiwali się demagogią i nie stronili od plasków, obrażających Hebdę, ministra, władze oskarżeń, które znajdowały wyraz w niewybrednych hasłach. Jeśli ktokolwiek w tych dniach znalazł się w pobliżu parkanu okalającego np. Politechnikę Warszawską, to nie mógł nie popaść w głęboką zadumę nad losem Rzeczypospolitej.

Ale to jeszcze nie koniec sprawy. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, jakie stanowisko wobec agresywnej postawy NZS i części studentów zajęli nauczyciele akademiccy. Rzadko głośno protestowali, część z nich obdarzała strajkujących sympatią, a większość zajmowała stanowisko neutralne. Zdawali się mówić: niech biorą się za iby, tj. władza i rebeliancko nastawiona część studentów.

Nie można także pozostawić bez komentarza działalności, jaką w związku z konfliktem w WSI rozwinęło dostojne grono rektorów. 9 listopada do Radomia przybyła komisja Konferencji Rektorów Szkół Technicznych, której przewodniczył rektor Politechniki Warszawskiej, prof. Władysław Findeisen. Nie była to pierwsza interwencja z zewnątrz. Już 29 października WSI w celach koncyliacyjnych odwiedzili profesorowie J. Janowski, J. Layko, M. Roman i A. Stelmachowski. Grupa prof. Findeisena uznała, że należy opracować nową ordynację wyborczą — a więc faktycznie stanęła po stronie strajkującej mniejszości — ponieważ obowiązująca została zatwierdzona przez „Senat o niewłaściwym składzie". (!) Jednocześnie grupa rektorów stwierdziła, że nie wolno dopuścić do tego, by w nowej ordynacji znalazła się klauzula blokująca możliwość kandydowania prof. Hebdy. Tuż za tym postulatem następował kolejny: na czas do zakończenia wyborów funkcje rektora w WSI powinna pełnić inna osoba niż Hebda. Mediacja Findeisena i jego kolegów nie spowodowała wygaszenia źródła konfliktu. Było to niemożliwe, skoro proponowano, zgodnie z życzeniem strajkujących naruszenie autonomiczności i samorządności uczelni. Stwierdzenie o niewłaściwym składzie Senatu nie mogło w żadnym wypadku ułatwić pozyskania dla takiego rozwiązania osób, które wchodziły w skład Senatu. Trzeba także przypomnieć, że w tych dniach zaczęła się już rozwijać ogólnokrajowa akcja strajkowa organizowana przez NZS. W gruncie rzeczy, gdyby rektorzy chcieli wnieść wartościowy i potrzebny krajowi wkład w rozładowanie sytuacji, to powinni byli przede wszystkim nie dopuścić do organizowania akcji strajkowej, tym bardziej że dobrze wiedzieli, iż jest ona organizowana przez mniejszość. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Po nieudanej interwencji Findeisena i jego kolegów, w drugiej połowie listopada nastąpiły dalsze mediacje. 21 listopada udała się do Radomia delegacja rektorów reprezentujących szkoły wyższe. Składała się z rektora Politechniki Warszawskiej i Politechniki Łódzkiej, Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Poznańskiego oraz Wyższej Szkoły Teatralnej. W rozmowach ze stronami konfliktu uczestniczyli także prof. Jan Szczepański, jako przewodniczący Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz szef tego resortu. Również i te rozmowy nie doprowadziły do przełamania impasu, ale „sukcesem" było to, że strony uczestniczące w konflikcie przedstawiały swoje stanowiska poprzez wymianę pism. Do rozmów przy wspólnym stole nie doszło... o ile sobie przypominam, to kiedyś Henry Kissinger w ten sposób doprowadził Arabów i Izraelczyków do wymiany poglądów. Gdy dziś próbuję odtworzyć sobie okoliczności towarzyszące konfliktowi w WSI, to chce mi się po prostu śmiać, ale wówczas nie było nam do śmiechu. Dzisiaj wydaje się wręcz niezrozumiałe, że poważne autorytety naukowe angażowały się w ugłaskiwanie pewnej grupy osób o jednoznacznych zamiarach awanturniczych. No, ale idźmy dalej. 25 listopada z inicjatywy i z udziałem Jana Szczepańskiego odbyło się w Warszawie spotkanie z delegacjami WSI. Także bez skutku. 6 grudnia w Warszawie odbyła się konferencja rektorów wyższych uczelni, która w wydanym oświadczeniu postanowiła prowadzić dalsze działania „mediacyjne zmierzające do przeprowadzenia demokratycznych wyborów akademickich w WSI Radom". W oświadczeniu zawarta była także przestroga pod adresem władz. „Konferencja Rektorów stwierdza, czytamy w oświadczeniu, że w przypadku nierozwiązania konfliktu w Radomiu podejmie działania jako organ koordynujący działalność protestacyjną polskiej społeczności akademickiej". Ciekawe na czym mogłyby polegać owe działania. Czyżby rektorzy także chcieli strajkować?

Gdzieś pod koniec listopada, a może już na początku grudnia, dokładnej daty nie pamiętam, w godzinach wieczornych otrzymałem telefon z Kancelarii I sekretarza KC zapraszający mnie do niego na godz. 22. Szczepański zwrócił się do Jaruzelskiego z prośbą, aby przyjął kilku rektorów dla przedstawienia mu stanowiska w sprawie konfliktu w WSI. W tych dniach strajki studenckie ogarnęły już prawie cały kraj. Jaruzelski, zawsze gotów do wysłuchania każdego, kto zgłaszał gotowość działań mediacyjnych, przyjął propozycję Szczepańskiego. Spotkanie trwało do pierwszej w nocy i zakończyło się... niczym. Obecni w gabinecie I sekretarza rektorzy w istocie rzeczy reprezentowali znany już nam punkt widzenia. Faktycznie chcieli, aby rząd przyjął postulaty strajkującej mniejszości, akceptowane przez rektorów. Na to nie można było się zgodzić. W czasie tego spotkania siedziałem naprzeciwko rektora Akademii Medycznej w Warszawie, prof. Nielubowicza. Może się mylę, ale wydawało mi się, że Nielubowicz odczuwał całą niedogodność sytuacji, jaką stworzyli jego koledzy. Spokojnie wysłuchiwałem kolejnych wypowiedzi, ale w pewnej chwili uznałem, że muszę także powiedzieć coś, co leżało mi na sercu. Wyraziłem zdumienie, że panowie rektorzy w swych wystąpieniach w ogóle nie zajmują się tym, co napawa wielkim niepokojem każdego, kto z boku przygląda się temu, co dzieje się na wyższych uczelniach. Przecież, mówiłem, rozwija się w całym kraju bezprzykładna nagonka na profesora Hebdę. Mury uczelni oblepione są plakatami, które sięgają moralnego dna. Dlaczego, zapytałem, nikt z panów rektorów nie protestuje przeciwko pomiataniu kolegą profesorem? Czy naprawdę są to sprawy, obok których można przechodzić w milczeniu, obojętnie?

Nie otrzymałem na to pytanie odpowiedzi. Spotkanie, które podsumował Jaruzelski, nie przyniosło żadnych korzystnych wyników. Konflikt w Radomiu trwał. Ostatnim jego akordem było „Oświadczenie Konferencji Rektorów w nocy z 9 na 10 grudnia br. Poznań". Taki jest dosłowny tytuł tego dokumentu. Zachowałem go. Widnieją na nim moje podkreślenia pochodzące z 1981 roku. Osobliwy to dokument i myślę, że warto poświęcić mu nieco uwagi, ponieważ z jego treści wynika, że zamet w głowach i w sytuacji politycznej w przeddzień 13 grudnia osiągnął już szczyty.

W punkcie pierwszym, autorzy oświadczali, że konferencja jest „jedynym" przedstawicielem wyłonionym w drodze wyborów władz szkół wyższych. Konferencja, czytamy w tym zadziwiającym dokumencie, spełnia swoje funkcje przez wyrażanie opinii i inicjowanie działania we wszystkich istotnych sprawach środowiska akademickiego, orzeka w sprawach spornych i reprezentuje środowisko akademickie we władzach centralnych. Obwołanie się rektorów państwowych uczelni najwyższą reprezentacja szkół wyższych nastąpiło bez jakiegokolwiek współdziałania z rządem. Godzi się też przypomnieć, że istniała Rada Główna Szkolnictwa Wyższego. Naprawdę nie chciałbym profesorów i rektorów urazić, ale takie ustawienie się na mile pachniało nawiązaniem do niesławnych praktyk polskiej anarchizującej magnaterii i co pomniejszych szlachetków. No, ale było, minęło, wszyscy po drodze zmądrzeliśmy.

C.D.N.

Nie tylko Zygmunt Kałużyński oskarżał Kościół o wypaczanie nauki Jezusa Chrystusa

Ksiądz prof. Mieczysław Żywczyński twierdził, że w każdym Kościele musi dojść do rozszczepienia na rygorystów i oportunistów. Przełom pojawia się wraz z przejściem od elitarności do masowości. Gdy chrześcijan było mało, można było dbać o czystość wiary, a później w rozrastającym się Kościele z coraz większym trudem godzono zasady religijne z życiem moralnym. I stąd paradoks — im chrześcijan więcej, tym chrześcijaństwo słabsze.

Z czasem Kościół pogodził się z koniecznością tolerowania w swoich szeregach ludzi naruszających etykę chrześcijańską. Interes instytucji wymagał wzrostu ilościowego. W bilansie materialnym tak samo liczyły się dary członków niemoralnych jak moralnych. Nie mogli jednak tego zrozumieć i nie chcieli zaakceptować rozmaici rygoryści, asceci, odnowiciele, reformatorzy, którzy z całą powagą traktowali naukę Jezusa Chrystusa.

W ostry konflikt z Kościołem wszedł również znany powszechnie pisarz Lew Tołstoj. Autor tak popularnych powieści, jak *„Wojna i pokój"*, *„Anna Karenina"*, *„Zmartwychwstanie"*, doszedł do wniosku, że Kościół wypaczył zasady ewangeliczne, że głosi i czyni zupełnie co innego niż zawarte jest w doktrynie Jezusa z Nazaretu. Osobiste przemyślenia i obserwacje doprowadziły pisarza do wystąpienia z własną wizją chrystianizmu. Jest to kwestia niezwykle ciekawa, lecz raczej mało znana. Warto więc chyba przedstawić ją Czytelnikom „Od-

głosów". Warto choćby z tego względu, żeby pokazać, iż nie pierwszy Zygmunt Kałużyński (i z pewnością nie ostatni) oskarżył Kościół o sprowadzanie wiernych z prawdziwej drogi Chrystusowej.

Należy zacząć od podkreślenia, że

HRABIA LEW TOŁSTOJ Z JASNEJ POLANY

był człowiekiem bardzo głęboko religijnym. I taki charakter mają też wszystkie bodaj jego utwory. Skąd zatem wziął się wspomniany zatarg z rosyjskim Kościołem prawosławnym? Otóż w pewnym momencie swego życia pisarz uświadomił sobie sens nauki Jezusa Chrystusa i bezsens religii reprezentowanej przez Kościół.

Uważne studia teologiczne — nawet w językach greckim i hebrajskim, których specjalnie się uczył — przekonały go, że oficjalna religia chrześcijańska niewiele ma wspólnego z czystą doktryną ewangeliczną. Tołstoj odkrył, że w kolejnych wiekach nawarstwiały się kłamstwa i oszustwa uprawiane przez duchownych: często niewierzących i w dodatku kierujących się nikczemnymi celami.

Na podstawie swoich badań Lew Tołstoj zakwestionował podstawowe dogmaty kościelne. W jego koncepcji Bóg nie jest naiwnie pojętą osobą, lecz Zasadą duchową rządzącą światem Przyrody i Historii. A Jezus Chrystus nie jest żadnym bogiem, lecz Człowiekiem wybitnym, który najlepiej wyraził wolę Boga. Za niepoważne i podważające ludzką godność uznał pisarz idee łaski boskiej, zmartwychwstania, odkupienia, nieba i piekła. Jezus według niego umarł za Prawdę, a nie za rodzaj ludzki. Myśl o Odkupieniu stanowiła dla Tołstoja *„jeden z najbardziej mylnych i szkodliwych dogmatów kościelnych"*.

Prawdziwa religia powinna — w zgodzie z rozumem i wiedzą — wiązać człowieka z nieskończonością życia oraz kierować jego postępowaniem. Zadaniem religii jest ukazanie ludziom sensu świata i ich własnej egzystencji. „Wiara — uczył Lew Tołstoj — to siła życia". Bez religii człowiek nie wiedziałby po co i jak żyć. Istotą prawdziwej religii jest etyka, natomiast wszystkie fałszywe wyznania koncentrują uwagę wiernych na dogmatach i obrzędach.

Poglądy swoje prezentował Lew Tołstoj w traktatach filozoficzno-moralnych oraz egzemplifikował w twórczości literackiej. Kitty Szczerbacka z powieści *„Anna Karenina"*, powstałej w latach 1873—77, dokonała odkrycia, że *„poza życiem instynktownym, którym dotychczas żyła, istniało życie duchowe. Klucz do tego życia dawała religia, ale religia nie mająca nic wspólnego* (podkr. S.K.) *z tą, którą Kitty znała od dzieciństwa, a która polegała na bywaniu na porannych i wieczornych nabożeństwach w Przytulisku, gdzie można było spotkać znajomych i na uczeniu się na pamięć, pod kierownictwem popa, starosłowiańskich tekstów"*.

Jeszcze dalej posunął się Lew Tołstoj w powieści *„Zmartwychwstanie"*, pochodzącej z lat 1889—99. Wykpił jednoznacznie ceremoniał mszalny. W rozdziale XL części pierwszej napisał, że nikomu z uczestników mszy nie przyszło do głowy, iż Jezus Chrystus *„zabronił właśnie tego wszystkiego, co tutaj czyniono, zabronił nie tylko takiego bezmyślnego gadulstwa i bluźnierczego odprawiania czarów z chlebem i winem przez kapłanów-nauczycieli, lecz najwyraźniej zabronił ludziom nazywać nauczycielami innych ludzi, zabronił odprawiania modłów w świątyniach, kazał modlić się każdemu w samotności..."* A następnie stanowczo stwierdził: *„Nikomu z obecnych nie przychodziło do głowy, że wszystko, co tutaj robiono, było największym bluźnierstwem i naigrawaniem się z tego właśnie Chrystusa, w imię którego wszystko to się działo"*.

Czytelnicy *„Zmartwychwstania"* mogli wyciągnąć niebezpieczny wniosek, że zamiast ulegać autorytetom, należy wierzyć i być wiernym sobie samemu. A wtedy przestaną istnieć różne wyznania, ludzie się zjednoczą i będą dla siebie jak bracia. W literackiej postaci tępego i cynicznego przywódcy Cerkwi, Toporowa, łatwo można było upatrywać nadprokuratora Najświętszego Synodu, Pobiedonoscewa. (Przemawiając 8 marca 1881 r. na radzie ministrów człowiek ten zdecydowanie wypowiedział się przeciwko wprowadzeniu konstytucji i parlamentu, przeciwko uwolnieniu chłopów, wolności prasy i tym podobnym wzorom zagranicznym).

Nic więc dziwnego, że Kościół prawosławny zmuszony był zareagować. Uczynił to zresztą dość późno. W dniu 24 lutego 1901 r. ogłoszono decyzję Najświętszego Synodu o ekskomunice, czyli wyklęciu, wyłączeniu ze społeczności wiernych. W uroczystych słowach obwieszczono:

„Znany na świecie pisarz, Rosjanin z urodzenia, prawosławny z chrztu i wychowania, hrabia Tołstoj, skuszony swoim wyniosłym umysłem, hardo powstał przeciwko Panu i jego Chrystusowi oraz jego świętej godności, jawnie przed wszystkimi wyrzekł się matki, która go wykarmiła i wychowała, Kościoła prawosławnego".

W głównej konkluzji stwierdzono, że Kościół nie uważa już Lwa Tołstoja za swego członka i nie zmieni postanowienia dopóty, dopóki pisarz nie wyrazi skruchy.

Jednakże Lew Tołstoj wcale się nie przestraszył i nie zamierzał niczego odwoływać. Ponieważ otrzymał dużo listów — popierających i potępiających — odpowiedział na wyzwanie Synodu.

Przede wszystkim stanowczo zaprzeczył, jakoby wystąpił przeciwko Bogu. W rzeczywistości — pisał — jest tylko przeciw Kościołowi, gdyż przekonał się, że jego nauka to *„teoretycznie podstępne i szkodliwe kłamstwo, praktycznie zaś zbiór najprymitywniejszych przesądów i czarownictwa, przesłaniający zupełnie cały sens nauki chrześcijańskiej"*. Tołstoj nazwał prymitywnym czarownictwem sakramenty chrztu i namaszczenia, a także kult obrazów i relikwii, potępił kapłaństwo i przystępowanie do komunii. A dalej zdecydowanie podkreślił, że *„nauka Chrystusa polega nie na owych czarnoksięstwach, modlitwach, mszach, świecach, obrazach, lecz na tym, by ludzie miłowali się wzajem, nie odpłacali złem za zło, nie osądzali i nie zabijali wzajemnie..."*

Pisarz rosyjski twierdził, że królestwa bożego nie trzeba szukać w zaświatach, albowiem ono jest w nas samych. Należy tylko zmienić się wewnętrznie i postępować według przykazań Jezusa Chrystusa. Za-

Oto Tołstojowski pentalog (w miejsce Dekalogu), którym winien kierować się w życiu każdy chrześcijanin:

1) nie tylko nie zabijać, lecz również nie gniewać się, nie pogardzać nikim i żyć w zgodzie ze wszystkimi;

2) nie tylko nie cudzołożyć, ale także unikać rozkoszowania się urodą kobiet i być wiernym jednej wybrance;

3) nie przyrzekać niczego pod przysięgą;

4) nie tylko nie odpłacać „oko za oko", lecz nadstawiać drugi policzek, gdy uderzą w jeden, przebaczać, znosić w pokorze krzywdy, nie odmawiać tego, czego inni żądają;

5) nie tylko nie nienawidzić wrogów ani wojować z nimi, ale kochać ich, pomagać im i służyć.

Niechludow uświadomił sobie, że w realizacji tych pięciu przykazań zawiera się *„jedyny sens życia ludzkiego"*, a każde odstępstwo jest błędem pociągającym za sobą natychmiastową karę. Ci, którzy wypełniają ów pentalog, osiągają pełnię szczęścia.

W interpretacji Lwa Tołstoja chrystianizm jest religią bez hierarchii i liturgii kościelnej. Publiczne modły i nabożeństwa oraz nazywanie duchownych ojcami traktował pisarz jako przejawy zuchwałego nieposłuszeństwa wobec Jezusa Chrystusa.

Lew Tołstoj zredukował de facto chrystianizm do moralności opartej na absolutnej miłości bliźniego. Przy czym głęboko był przekonany, że taki właśnie sposób życia pozwala osiągnąć szczęście. W listach wysłanym liście do syna, Michała, w październiku 1895 r. napisał: *„Główną i podstawową pokusą, przed którą ostrzega nauka Chrystusa, jest wiara, że szczęście polega na zaspokajaniu osobistego pożądania"*.

Czy sławny pisarz rosyjski miał rację? Czy prawidłowo odczytywał nauki Jezusa? Czy słusznie krytykował Kościół? Na te pytania każdy sam musi sobie odpowiedzieć? Trzeba po prostu sięgnąć do Ewangelii, przyjrzeć się funkcjonowaniu Kościoła i rzeczywistej religijności chrześcijańskiej, oraz podsumować własne przeżycia.

Trudno zaprzeczyć, że panujący od wieków w Polsce i na świecie typ religijności zasadniczo różni się od tego, który głosił i praktykował Jezus z Nazaretu. Ale trzeba też przyznać, że żadna z istniejących wielkich religii nie przetrwała w formie nadanej jej przez założyciela.

RELIGIA JEST ZJAWISKIEM HISTORYCZNYM,

dlatego zmienia się w zależności od przekształceń społecznych, politycznych i kulturalnych.

Artysta malarz Marian Ruzamski (1889—1945) powiedział kiedyś, że nie jest chrześcijaninem, bo jest to ponad jego siły. Fałszowanie tej wielkiej idei pozostawia księżom i wyznawcom. Można zrozumieć taką postawę, lecz warto przy tym zastanowić się, czy słuszne jest oskarżanie Kościoła o fałszerstwo i oszustwo? Otóż nie wierzę w to, żeby jakaś grupa mogła dowolnie, według swego widzimisię, ukształtować tak wielką formację społeczno-religijną jak Kościół rzymskokatolicki, prawosławny czy protestancki. Nie wierzę również, że nad właściwą ewolucją Kościoła czuwał Duch Święty, bo zbyt dużo błędów popełniali papieże, biskupi, księża, sobory, synody, episkopaty. Uważam natomiast, że religia chrześcijańska jest wynikiem działania określonych praw społecznych i psychicznych.

„Kościół zawsze był taki, jaki w danych okolicznościach mógł być". Słów tych nie napisał, jak można by sądzić, jakiś marksista, lecz ksiądz katolicki prof. dr Mieczysław Żywczyński. A w innym miejscu mówił on: *„Można przyjąć, że nawet gdyby nie istniał Luter, to i tak reformacja dokonałaby się pod nazwiskami innych reformatorów. Analogicznie jest z sektami chrześcijańskimi. Były one pewnego rodzaju koniecznością"*.

Do czego zmierzam? Po prostu, chcę stwierdzić, że religia jest taka lub inna w zależności od potrzeb, interesów i charakterów ludzi, a mniejsze znaczenie ma ortodoksja. Panujący typ religijności chrześcijańskiej, choć niezgodny z nauką Jezusa Chrystusa, jest wygodny dla ludzi i potrzebny im. Ewangeliczny chrystianizm zaś jest piękną, lecz w szerszej skali nieziszczalną utopią.

Jakie szanse na urzeczywistnienie mają np. następujące przykazania:

„Słyszeliście, że powiedziano: «Oko za oko i ząb za ząb». A ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstąp i płaszcz. Zmusza cię kto, żeby iść za nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące. Daj temu, kto cię prosi i nie odwracaj się od tego, kto chce pożyczyć od ciebie.

Słyszeliście, że powiedziano: «Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził». A ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują... Jeśli bowiem miłujecie tych, którzy was miłują, cóż za nagrodę mieć będziecie? Czyż i celnicy tego nie czynią? I jeśli pozdrawiacie tylko swych braci, cóż szczególnego czynicie? Czyż i poganie tak nie czynią? Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski" (Mt 5, 38—48).

Kto z praktykujących chrześcijan nie zna cytowanego fragmentu Kazania na Górze? Nie ma chyba takich osób. A kto ze znawców Ewangelii zaprzeczy, że wymienione tu przykazania mają w nauce Jezusa podstawowe znaczenie? Sami redaktorzy Biblii Tysiąclecia w odpowiednim przypisie zaznaczają, że kazanie to uchodzi za *„kodeks moralności chrześcijańskiej"*. I co z tego wszystkiego wynika? Tylko tyle, że nieliczni życiowi „kamikadze" usiłowali postępować w myśl wskazanych zasad. Natomiast ogół chrześcijan (duchownych i świeckich) szedł z prądem oportunistycznym. Tak było, jest i (najprawdopodobniej) będzie. Albowiem doktryna ewangeliczna jest piękna, lecz *„nieżyciowa"*.

Jezus przestrzegał wybranych dwunastu uczniów, żeby mieli się — uwaga! — *„na baczności przed ludźmi"*. Powiedział, że posyła ich jak *„owce między wilki"* oraz radził i zalecał, aby byli *„roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie"*. Rozumiał więc, że jego naśladowcy nie będą mieli łatwego życia. W świecie społecznym bardziej liczą się, niestety, interesy niż ideały. Ludzie wrażliwi i dobrzy często wprawdzie byli podziwiani przez bliźnich, lecz rzadko odnosili sukcesy. Pozostawała im wtedy nadzieja na wieczną nagrodę w niebie. Taką nadzieją żyła też większość dotkniętych przez zły los i cierpiących niesprawiedliwie.

„Religia jest westchnieniem uciśnionego stworzenia, sercem nieczułego świata, jak jest duszą bezdusznych stosunków. Religia jest opium ludu". Autor tych zdań (Karol Marks) dość lapidarnie wyraził istotę religii, ale nie doceniał chyba ludzkiej potrzeby *„optymowania"* życia, nie doceniał — innymi słowy — potrzeby złudzeń i nadziei.

Katolicyzm pozwala wiernym żywić szczególnie dużo złudzeń i nadziei. Może dlatego ma najwięcej wyznawców (ok. 800 mln, czyli 17 proc. ludności świata). Jeśli ludzie bardzo pragną mieć właśnie takie złudzenia i nadzieje, na które pozwala doktryna Kościoła rzymskokatolickiego, to sprawą drugorzędną dla nich jest zgodność tego wszystkiego z nauką Jezusa Chrystusa. W związku z tym artykuły podobne do „Sprowadzania z drogi" Zygmunta Kałużyńskiego mogą poruszyć wiele osób, ale mniej zachęcą do głębszego myślenia, a nielicznych tylko przekonają. Religia jest wszak głównie domeną wiary i przeżyć, a nie racji naukowych. Nieprzypadkowo przecież śpiewa się w Kościele, że wiarą ukorzyć trzeba zmysły i rozum swój.

OD IV WIEKU W ŁONIE KOŚCIOŁA

istnieją dwa nurty: rygorystyczny i oportunistyczny. Pierwszy, zdecydowanie mniejszościowy, polega na ścisłym przestrzeganiu norm religijnych w życiu codziennym. Drugi zaś toleruje słabości i odchylenia wiernych, zadowalając się deklaracjami wyznania wiary i udziałem w niektórych praktykach kultowych. Zmiana układu sił na korzyść nurtu oportunistycznego nastąpiła w sytuacji, kiedy bycie chrześcijaninem stało się korzystne.

STANISŁAW KAWCZYŃSKI

Nasz Bełchatów

Świat, który musi zaginąć (2)

ROMAN KUBIAK PAWEŁ TOMASZEWSKI

Kominy. Dwa ogromne betonowe słupy pomalowane w białe i czerwone pasy, trzysta metrów wysokości, dwadzieścia pięć średnicy przy podstawach. Nad nimi chmura żółtego dymu — ciężkiego, kłębiastego. To elektrownia „Bełchatów I" w Rogowcu — coraz lepiej znów widoczna, gdyż po zakreśleniu szerokiego koła wokół kopalni odkrywkowej węgla brunatnego zbliżamy się do niej — tym razem z południowej strony.

Drogi, którą jedziemy, nie ma jeszcze na żadnej mapie. Szeroka wstęga asfaltu upstrzona cielskami ogromnych wywrotek pędzących w obu kierunkach. Wywrotki mkną środkiem, a poboczem wolniutko toczy się chłopska furmanka z dobytkiem. Piaskowy kredens, trzy taborety, przykryty ceratą stół.

DREWNIANY CZAS MUSI UCIEKAĆ PRZED STALOWYM

Droga wbija się w sosnowy las. Las rośnie na żółtej skarpie nafaszerowanej korzeniami, które wypruły spychacze. Wygląda to jak brocząca rana po precyzyjnie zadanym cięciu: prostym, celnym.

Jedziemy tą nową, nieznaną drogą, bo stary szlak naniesiony na stare mapy już nie istnieje. Powinien być tutaj, na skraju lasu, po prawo. Był jeszcze przed miesiącem. Teraz ryją tam ziemię spychacze, błyszczy ramię koparki. Teren zawsze zmienia się szybciej niż mapy. Tutaj, wokół wielkiej odkrywki — niemal z dnia na dzień.

— *W tej samotnej chacie u stóp zwałowiska jeszcze niedawno mieszkali ludzie* — mówi doktor Kurowski. — *Pamiętam staruszkę, małą, zgarbioną...*

Podchodzimy bliżej. Zaglądamy do środka przez okna, z których powyrywano już nawet futryny. Na szczątkach kuchennej podłogi dogorywa kupka rupieci, wśród których widać też świeże butelki po wódce i tanim winie. W kącie wala się święty obrazek — pamiątka pierwszej komunii. Krystyna... Przybladłe, zatarte litery. Ludzie zostawili tu kawał swego życia. Zostawili pole, dom, ogród, nieskażoną przyrodę. Dziś na skraju pobliskiego lasu schną kilkudziesięcioletnie brzozy, a dawne rzeczki i strumyki płyną tylko wtedy, gdy spadnie duży deszcz.

Pod Bełchatowem i drogi, i rzeki są okresowe.

PRZED NAMI KUCÓW

— jeszcze jedna wieś, która raz na zawsze starta zostanie z powierzchni ziemi. Podobny los spotkał już Piaski, Czyżów, Wolę Grzymaliną. Ich dawni mieszkańcy dostali inne gospodarstwa lub — do wyboru — bloki w Bełchatowie. Tych z Kucowa czeka to samo. Siedzą już prawie na walizkach. Sto czterdzieści metrów pod nimi zalega węgiel, który trzeba wykopać i spalić, zamienić w tak potrzebne megawaty, ale przecież także — w popiół, pyły, dwutlenek siarki i inne szkodliwe związki.

Z wygodnego asfaltu skręcamy w wiejską, wyboistą drogę, po obu stronach której, zdawałoby się, sielski widok: kwitnące wzdłuż rowów robinie, leniwie kołysane wiatrem łany zboża, beztroskie dzieci na podwórkach. Już po chwili jednak złudzenie

pryska — w tle pojawiają się zielone stacje pomp głębinowych, mijamy kanały odprowadzające z nich wodę, jakieś zgoła nierolnicze maszyny i urządzenia, rozsypujące się mury wysiedlonych domostw, porośnięte już tylko chwastami ugory i... stop. Dalej jechać nie wolno. Tablice ostrzegawcze. Oto jesteśmy bowiem u samych wrot brunatnego piekła, które za rok, dwa, pięć pochłonie powoli cały Kuców a potem jeszcze Aleksandrów i Faustynów — następne podbełchatowskie wsie bez jutra.

Przez betonowy mostek nad szczelnym, betonowym kanałem idziemy ku brzegowi odkrywki. Ten kanał spełnił już swoje zadanie i wkrótce wraz z mostem wysadzony zostanie w powietrze. Ich szczątki pożre wielka koparka, którą widać stąd jak na dłoni, a pędzące bez wytchnienia taśmociągi poniosą parę kilometrów dalej, na rosnące wciąż zwałowisko.

Zatrzymujemy się tuż nad krawędzią głębokiej na dwieście metrów dziury. Spoglądamy w dół. Potężne kamazy wyglądają na jej dnie jak dziecinne zabawki, a ludzie (wytężamy wzrok — patrz! tam obok tego baraku)... a ludzie do złudzenia przypominają spowolnione mrówki. Tak, to trzeba było koniecznie zobaczyć, aby zrozumieć, co się tu od dziesięciu lat dzieje i co dziać jeszcze będzie przez prawie pół wieku. Niektórzy mówią: romantyka wielkiej inwestycji, cywilizacyjne przeobrażenia... A nas ogarnia zaduma nad tym gigantycznym grobem, w którym grzebie się nasz zielony świat. I mamy prawo tak myśleć, czując się jego częścią.

— *Tu była kiedyś Wola Grzymalina* — przerywa ciszę doktor Kurowski — *stały domy, drewniany kościół z XVI wieku, zabytkowy dworek — siedziba nadleśnictwa, do którego prowadziła piękna, lipowa aleja. A tu były lasy, tu pola, łąki, płynął strumień... Jeszcze w osiemdziesiątym roku byliśmy tu ze studentami na letnim obozie. Mam zdjęcia...*

Patrzymy w pustą przestrzeń i to „tu" brzmi jakoś dziwnie, podejrzanie. Podobnie, jak informacja, że w latach sześćdziesiątych spotykano „tu" jeszcze wydry — już wówczas będące w Polsce rzadkością. Potwiedzi to potem także nadleśniczy Stefan Łyczba i doda, że wydry żyły też w pytowickich stawach, którym wodę zabrała kopalnia. W ogóle sporo było kiedyś rozmaitej zwierzyny: jelenie, dziki, lisy, zające, bażanty, kuropatwy, cietrzewie... Kiedyś — bo zwierzęta nie czekają aż stalowe kolosy wkroczą do ich domu, do lasu. Bażant wie, że bez wody nie ma życia, że wysychają jego ulubione bagna, więc już parę lat temu wyniósł się stąd na dobre. Wyginęły cietrzewie, uciekły jelenie, którym asfalt, beton i stal przegrodziły ścieżki do wodopojów. Na zwierzęta, które zostały i starają się przystosować do nowych, mniej korzystnych warunków bytu, czekają z kolei gęsto zastawione sidła. Kłusownictwo bywa często niezłą rozrywką dla robotników rozrzuconych po barakach małych i wielkich placów budowy. I to jest również „romantyka" bełchatowskiej inwestycji — obok tysięcy rzuconych w las pustych butelek, obok kradzieży i dewastacji, obok nudy, jaką wieje po fajerancie.

OSIEM KILOMETRÓW NA ZACHÓD

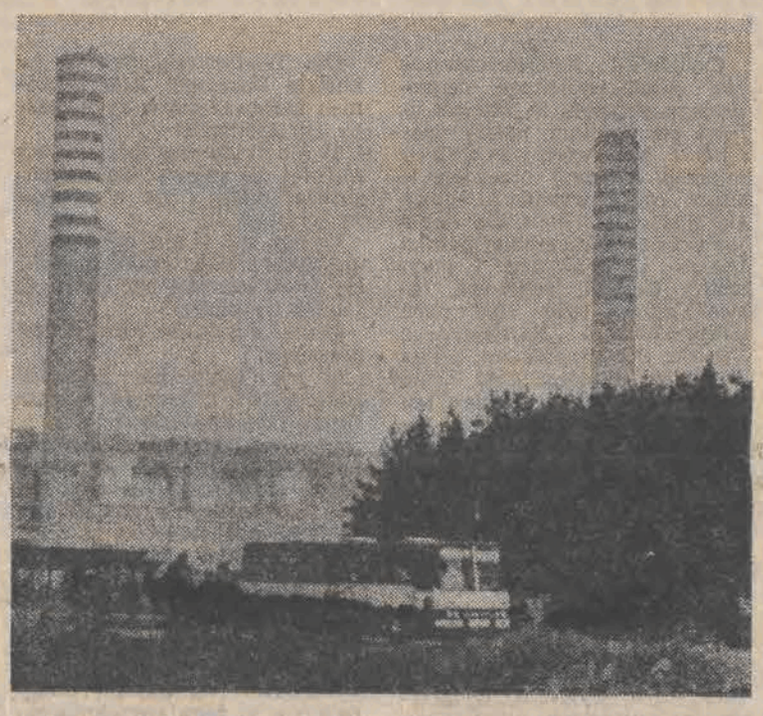

miennej, a jeszcze dalej — drugie złoże węgla, nazywane „szczercowskim". Kiedyś zakładano, że szczercowski węgiel, którego jest mniej niż bełchatowskiego, może stanowić energetyczną rezerwę zagłębia. Ale kraj potrzebuje coraz więcej i więcej megawatów, więc jest decyzja — kopać! Dlatego na koniec jedziemy pod Szczerców obejrzeć miejsca, które jeszcze są, a których za kilkanaście lat również nie będzie, zobaczyć „krajobraz przed bitwą". Świat, który musi zaginąć.

Po drodze nie widać prawie nic. Pola jak pola, lasy jak lasy, wsie jak wsie, ludzie zajęci swoimi małymi sprawami. Jak okiem sięgnąć — spokojne życie dalekie od przemysłowego pośpiechu. Ale już gdzieś za Trząsem nowy trakt wżyna się w sosnowy bór, pod Chabielicami — ogrodzony teren, baraki, maszyny i materiały budowlane. Pokazują się też dobrze znane nam już zielone konstrukcje pomp wysysających życiodajną wodę spod lasów, łąk i pól kryjących węgiel; widoczne są niebieskie tablice z napisem „Hydrobudowa".

Naukowcy ostrożnie szacują, że systematyczne odwadnianie szczercowskiego złoża utworzy drugi lej depresyjny o promieniu ponad dwudziestu kilometrów. Będzie to oczywiście zabójcze dla całej flory sąsiadującej z nową odkrywką. Lekkie ziemie mogą po latach ulec całkowitej degradacji, a plony — w szybkim tempie zmaleć nawet o siedemdziesiąt procent.

Za Chabielicami stajemy na skraju lasu, nie opodal wąskiej drożyny solidnie rozjeżdżonej kołami wywrotek i innego ciężkiego sprzętu. W dali — zwały ziemi, stalowe ramiona koparek.

— *Pod tym lasem na lewo jest węgiel* — mówi doktor Kurowski i rozkłada wielką mapę. — *Wokół pola, łąki, ale węgiel jest tu, więc tego lasu nie będzie. Po jego wycięciu taśmociągi odrzucą nadkład tam, na zachód i usypią drugą sztuczną górę. Góra zajmie czterysta czterdzieści hektarów. Tam też na razie rośnie las. Na miejscu wsi Bogumiłów powstanie drugie składowisko popiołów, stykające się niemal z pierwszym w dawnym uroczysku Lubień. Krótko mówiąc, przewidywany scenariusz wydarzeń taki sam, jak pod Bełchatowem. Zmieni się tylko czas i miejsce akcji.*

— A stan środowiska?

— *W sumie na pewno będzie dużo gorszy od tego, jaki dziś obserwujemy. Tu czas nie jest sprzymierzeńcem przyrody.*

Dowiemy się również, że samo odkrywanie szczercowskiego węgla zniszczy następne blisko dwa tysiące hektarów. Mechaniczne piły powalą jeden z najcenniejszych kompleksów leśnych w regionie, Wolę Wydrzyną, gdzie występują rzadkie gatunki roślin... górskich. Przed laty postulowano utworzyć tam rezerwat. Nieaktualne! Po co chuchać i dmuchać na coś, czemu pisana nieuchronna śmierć?!

Jesteśmy dwanaście kilometrów od miejsca, gdzie ryją dziś stalowe potwory zdejmujące nadkład. Za ich plecami dwustumetrowy dół, przed nimi — dwadzieścia kilka, trzydzieści lat pełzania. Dalej ziemia kryje pokład soli ka-

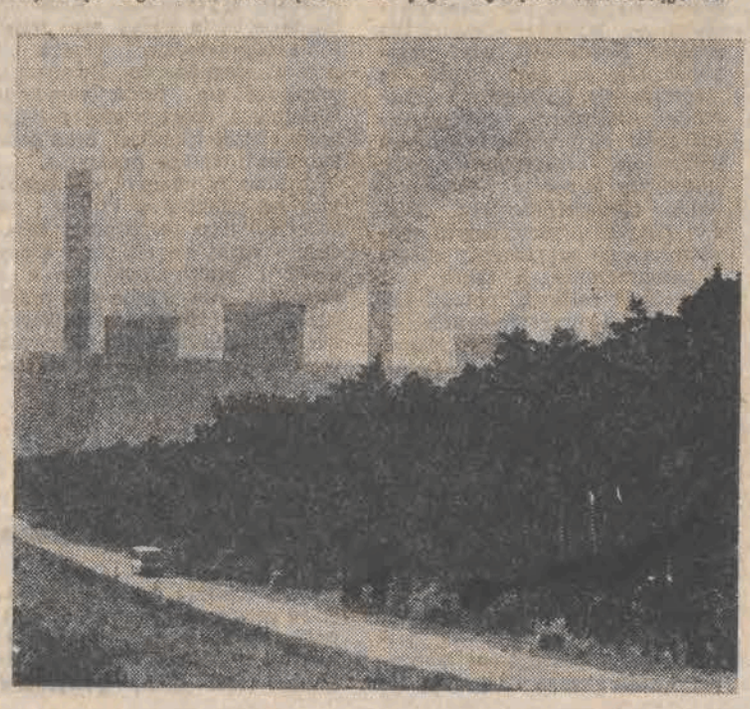

NA ZACHÓD OD ELEKTROWNI „BEŁCHATÓW I"

w Rogowcu. Tutaj, w Osinach zbudowana ma być elektrownia „Bełchatów II", spalająca węgiel ze szczercowskiego złoża. Zbudowane zostaną gigantyczne gmachy, chłodnie i kominy, z których kłęby żółtego dymu dołączą do rogowieckich. Doktor Kurowski twierdzi, że projekt budowy dwóch tak wielkich siłowni w układzie wschód-zachód i tak małej odległości od siebie jest wyjątkowo niekorzystny. Nastąpi nakładanie się zanieczyszczeń atmosfery wzdłuż osi przeważających wiatrów z zachodu, nie zaś ich rozrzedzenie, co obniżyłoby stopień zagrożenia dla środowiska. W zasięgu emisji obu elektrowni znajdzie się ogółem pięćdziesiąt zatwierdzonych i trzydzieści projektowanych rezerwatów przyrody. Wystarczy powiedzieć tylko tyle i aż tyle.

— *Z roku na rok zmniejszać się będzie powierzchnia lasów w Bełchatowskim Okręgu Przemysłowym, ich zasobność i produkcyjność. Najbardziej ucierpią siedliska wilgotne i bagienne, mniej — suche, głównie porośnięte przez sosnę. Czego jednak nie zniszczy lej depresyjny, zniszczą później zanieczyszczenia powietrza, na które sosna jest bardzo wrażliwa. W ogóle lasy będą tu coraz mniej odporne. Zostaną poważnie zubożone gatunkowo w wyniku degradacji gleby, odwodnienia i zasiarczenia. Ułatwi to przy tym znacznie życie niszczącym je szkodnikom, z którymi często trudno dać sobie radę. Ale tak się zawsze dzieje, gdy człowiek „poprawia" naturę. Taka jest cena szybkiego i taniego uprzemysłowienia, gdy liczą się przede wszystkim doraźne korzyści, a nie uwzględnia się długotrwałych strat.*

Badania geologiczne szczercowskiego złoża wykazały, że węgiel zawiera w nim bardzo dużo siarki — przeciętnie jeden i jedną dziesiątą procenta, czyli dwukrotnie więcej niż w złożu bełchatowskim. Za każdą wytworzoną z niego kilowatogodzinę zapłacimy zatruciem dawką dwudziestu trzech gramów dwutlenku siarki. Każdy gram dwutlenku siarki, to śmierć zaledwie jednego liścia. Osiny w ciągu doby wytwarzać będą czterdzieści osiem milionów kilowatogodzin energii.

Ekolodzy postulują cichutko, by raz jeszcze rozpatrzyć celowość budowy drugiej kopalni i elektrowni, zanim... Optymiści powiadają jednak, że jakoś to będzie.

Jakoś? To znaczy — jak?

Są kraje, gdzie

KAŻDA NOWA ELEKTROWNIA

musi być wyposażona w instalację odsiarczającą. W Polsce nie ma takiego przepisu, nie uruchamia się też takich instalacji. Najprawdopodobniej nie będzie też jej miała „Bełchatów II" w Osinach. Dlaczego? Bo po prostu nie stać nas na to — powiedzą nam w Rogowcu, w dziale ochrony środowiska. Zresztą co tu dużo mówić o odsiarczaniu, skoro...

Już nazwa tego skromnego, czteroosobowego działu w elektrowni „Bełchatów I" jest tylko eufemizmem. Być może zajmuje się on ochroną, ale środowiska — na pewno nie. Ale niechby chociaż dokładnie badał zachodzące w tym środowisku przemiany — i to nie! Wiele tematów badawczych od lat jest w powijakach, brakuje precyzyjnego, pomiarowego sprzętu — analizatorów. Na przykład zamiast ciągłego kontrolowania emisji tego, co przez kominy w Rogowcu wydostaje się do atmosfery, emisję mierzy się... dwa razy do roku — wyraźnie wbrew zaleceniom Państwowej Inspekcji Ochrony Środowiska po kontroli w 1984 roku. Inne zalecenia też nie są w pełni realizowane. Pozostały tylko na papierze. A papier jest cierpliwy.

Czy mamy jeszcze jakieś pytania?

Nie. To, co zobaczyliśmy i usłyszeliśmy, chyba wystarczy. Nie mamy więcej pytań.

■

Bułgarskie migawki
— Ty, Polak! Chczesz funty?...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

GDZIE W ŁODZI W WOLNĄ SOBOTĘ...?

A więc jednak! Udało się! Całą rodziną jedziemy na wakacje do Bułgarii! I to prawie na trzytygodniowe „wywczasy". Początkowa euforia nieco przygasa, gdy okazuje się, że podróżować będziemy pociągiem, bowiem samolot jest jednak „ciut" za drogi. Trudno, choć po wielu latach samochodowych wojaży trudno zmieścić się w jedną, z konieczności, walizkę.

Ponieważ miały być migawki bułgarskie, więc z polskich, a też zebrałoby się na osobny materiał, „sprzedam" tylko jedną. Przysłowiowego konia z rzędem temu, kto w wolną sobotę w niemalże milionowym mieście kupi rzecz drobną acz do wyjazdu niezbędną — znaczki opłaty paszportowej. W Łodzi taka operacja jest niemożliwa! Osobiście, pewnej czerwcowej soboty, zjeździłem wszystkie banki, oddziały PKO, biura turystyczne. Pustynia. Wszystko zamknięte na głucho. Dyżurną pocztę znalazłem, ale potrzebnych mi znaczków na razie tam nie sprzedają. Wymarzony wyjazd stanął pod znakiem zapytania. Płacz w domu, załamywanie rąk i tylko taksówkarz był zadowolony, bo „wybiło" mu nieco ponad dwa tysiące złotych...

A jednak jesteśmy zaściankiem! I głupie ambicyjki trzeba schować w kieszeń! Pojechałem do Warszawy i wspomniane znaczki bez kłopotu kupiłem w dyżurującym oddziale „Orbisu"...

W POCIĄGU

Pociąg do Warny pędzi niecałe dwie doby, obserwując malowniczą skądinąd, dwukrotnie przeprowadzaną, operację wymiany podwoziowych wózków, dochodzi się co prawda do wniosku, że gdyby komuś zależało, to czas przejazdu można by skrócić o ładnych kilka godzin. Ale komu ma zależeć? Poza podróżnym oczywiście. A ten niech się cieszy, że w ogóle jedzie. W drodze powrotnej, na dworcu w Warnie, z lekkim przerażeniem przyglądałem się czterem rodakom, którzy wytworną metodą „pod palec" opróżniali na peronie dużą butlę „Grozdowej". Raczyć się ciężką rakiją przed podróżą, w taki upał?

— *Cóż się pan tak dziwisz?* — śmiał się przechodzący opodal konduktor. — *Oni mają kuszetki, a tam bez „głuszenia" przez dwie doby w sześć osób się nie wytrzyma...*

W WARNIE

Starożytna i wiecznie młoda Warna cieszy oko błękitem morza i nieba. Powstała przed 26 wiekami, kiedy to żeglarze z greckiego Miletu przybyli na ziemie zamieszkałe przez trackie plemię Kobizów i po długich walkach założyli tu swoją kolonię Odessos — ok. 580 r. pne...

Niedobrze? Ma być tylko o pogodzie i parę porad z serii: „co idzie"? No, więc niestety nie mam dobrych wieści: przez dwa tygodnie na przełomie czerwca i lipca było pochmurnie, choć ciepło, sporo burz. A co w tym roku „idzie"? Naprawdę nie wiem, bo miałem parę spraw ciekawszych na głowie aniżeli śledzenie na bieżąco takich tematów. Ale powie wam to z pewnością każdy celnik, wystarczy tylko spytać...

W tym miejscu kilka (czy tylko kilka...) osób przestaje już interesować się tym tekstem. I bardzo dobrze, jesienią wznowimy wydanie (poprawione i uzupełnione) „Małego przemytnika", ale teraz będzie tylko o plażach, niektórych dziwnych acz pokrewnych naszym obyczajach, oryginalnej kuchni i morskich kąpielach.

NA PLAŻY

Każdy, kto był choć raz w Bułgarii, wie doskonale, że na wielu odcinkach ich plaże nie umywają się do naszych, nadbałtyckich. Kamieniste, najeżone resztkami muszli, no, takie bardziej gruboziarniste. Za to woda cieplutka, jeszcze przezroczysta (nawet w pobliżu Warny), zasobna w ryby i małże. Łowienie tych ostatnich to niemalże narodowy sport. Wszędzie, gdzie tylko natknąć się można na podwodne skałki, buszują uzbrojeni w maski i płetwy poszukiwacze tego przysmaku. Smażone na blasze, na kamieniach, wprost na plaży, doskonale smakują pod lekko schłodzoną rakiję czy czerwone wino.

O temperaturze wody nie wspomnę, bo tu w maju temperatura morza nierzadko sięga 25—28 stopni Celsjusza. Pławili się więc niemal wszyscy, a co bardziej pewni swych umiejętności pływackich wypuszczali na kilometrowe nawet eskapady.

LUDZIE WSZĘDZIE SĄ JEDNACY

Nie od dziś ulubionym tematem wielu mistrzów dziennikarskiego pióra są niegrzeczni kelnerzy, opryskliwe panienki na poczcie, ruszające się niczym muchy w smole sprzedawczynie, leniwi budowlani i tym podobne, klasyczne przypadki. Drodzy felietoniści! Mistrzowie ciętej niczym brzytwa publicystyki! Nie narzekajcie, nie krytykujcie w czambuł tylko swojaków. Inni też pracują... nie gorzej!

PRZYKŁAD PIERWSZY

W uroczym pensjonacie, w którym mieszkał tuż nad samym morzem niżej podpisany, na korytarzu, vis a vis wejścia do mego pokoju, pękł tynk na ścianie. Ot, niewielki feler, odprysk wielkości dłoni. Z dziwną, polską satysfakcją obserwowałem zmagania z „awarią" bułgarskiego specjalisty. Przez jeden dzień pracowicie odkuwał resztę tynku pogłębiając elegancko otwór, następnie — zagipsował. I zniknął. Zostawiając na korytarzu uroczy bałagan. A cały następny dzień sprzątał niewielkie rumowisko...

PRZYKŁAD DRUGI

Wśród pań odpoczywających w tymże samym domu wczasowym wieść buchnęła radosna: w Warnie „odnaleziono" sklep, w którym w sprzedaży są francuskie kosmetyki po cenach znacznie niższych niż, po przeliczeniu, w naszym „Peweksie". We wskazanym kierunku udała się karna ekspedycja, w której, z dziennikarskiego obowiązku, uczestniczyłem i ja. Byłem świadkiem, jak jedna z pań nabyła drogą kupna między innymi perfumy pod tytułem „Charlie". Za jedne 28 lewa, co podobno było sporą okazją. Aliści w domu okazało się, że buteleczka jakaś inna (jedna z dziewczyn miała opakowanie oryginalne, przywiezione z Polski), napis nieudolnie podrobiono, a perfumy — co najważniejsze — w ogóle nie pachną! Powiało grozą. Ale nie było żadnej afery, zaledwie krótka wymiana zdań. Ekspedientka, popierana przez Bułgarki z kolejki, w ogóle nie chciała z naszymi paniami rozmawiać. Kierownikiem to jest tu ona, a na żądanie pokazania ich „knigi żałob" wybuchnęła jedynie gromkim śmiechem. I dodała:

— *Ne ma problema, sprzedajcie perfumy w Rumunii, jeszcze zarobicie...*

PRZYKŁAD TRZECI

Sceneria: środek sezonu, upalne popołudnie, wnętrze eleganckiego sklepu z pamiątkami w jednym z bardziej ekskluzywnych hoteli Złotych Piasków. Troje Francuzów, znudzona sprzedawczyni i ja, dyskretny obserwator. Oni — zdecydowanie chcą nabyć jakieś prawie oryginalne, ludowe „skorupy", nie mogą się tylko zdecydować w jakim kolorze. Ona — ma wyraźnie dość klientów, upału, ciągłego podawania czegoś tam, a poza tym oni mówią tak niezrozumiale. Więc oni próbują: po niemiecku, po angielsku; chcą te filiżanki, ale w innym odcieniu. Ona nic nie rozumie, przynosi z widocznym wysiłkiem z zaplecza jeszcze jeden komplet, ale też nie w takim jak Francuzi proszą kolorze. Jeszcze raz usiłują jej to wytłumaczyć, ale już jest za późno. Czerwona ze złości sprzedawczyni wskazuje jednocześnie drzwi i bardzo wyraźnie wymawia jedno internacjonalistyczne słowo: — *Won!!!*

Oni grzecznie, potulnie opuszczają sklep, są lekko zdziwieni, przecież nic złego nie zrobili. Ale tu już chyba nie przyjadą, na Majorce obsługują jednak nieco grzeczniej...

PRZYKŁAD CZWARTY

Poręczna trafika przy drodze do Złotych Piasków. Poręczna, bowiem trunki w dużym wyborze, po cenach detalicznych, bez wszędobylskiej marży. Kilka rodzajów brandy, szampany, rakija, miętówka, a i wiele z nich w praktycznych, stugramowych „szczeniaczkach". Sklepik otwarty z dwugodzinną przerwą na sjestę do późnego popołudnia, czyli — wszystko gra. Na drzwiach wywieszka, ekspedientka wymieniona z nazwiska, jest i adres, telefon domowy. Ale — by nie było za różowo: trafika bardzo często jest zamknięta! Za którymś z rzędu „podejściem", gdy sklepik wciąż nieczynny, pytam o przyczynę jej koleżankę z kiosku (z gazetami). Lekko zdenerwowany tłumaczę, że byłem tu już trzy razy tego dnia w godzinach pracy i — wciąż nieczynne. Tamta spokojnie mi wyjaśnia, że szefowa z trafiki jest w... Wielkim Tyrnowie. A kiedy wróci — nie wie. Czy w ogóle wróci — też nie wie. Dlaczego nie ma zastępstwa ani wyjaśnienia, przecież teraz sezon, masę klienetów odchodzi z kwitkiem... A ta spokojnie:

— *Ona jest w Wielkim Tyrnowie, czakaj małko...*

NA ULICY NAJWIECEJ... POLAKÓW

Dosyć tych przykładów! W końcu jedziemy do Bułgarii odpocząć, po słońce, wodę, relaks. Nerwy zostawić należy w domu, byle czym nie dać się wyprowadzić z równowagi. Czy rzeczywiście jedziemy odpoczywać? W pierwszych dniach lipca na ulicach pięknej Warny słychać było niemal wyłącznie polski język. Oczywiście, pomyślisz pewnie Czytelniku: jedni zachwalali uroki rzymskich term, inni rozwodzili się nad pięknem wykutego w skałach klasztoru Aładża, jeszcze inni głośno wymieniali uwagi dotyczące kapitalnego zbioru ikon w cerkwi świętego Atanasa czy choćby wspominali wycieczkę do mauzoleum Władysława III zwanego Warneńczykiem. Być może są i tacy, jednak ucho notuje zgoła inne, też frapujące teksty:

— *Jaśka, leć do wozu po torby, tu są puszki ananasa!...*

— *Panie, gdzie pan dostał takie bluzki? No coś pan, to ja panu powiem gdzie widziałem „szetlandy"...*

— *Kochany, nie wiesz pan gdzie tu tanio można kupić trochę marek czy „dolców"? Bo przyjechaliśmy z Burgas, ale tam drogo, chcą po trzy osiemdziesiąt...*

— *Władek — trzymaj kolejkę! Skoczę po Stefana, trzeba wziąć ze setkę tych koszulek...*

— *Jak to po co mi dziesięć kostiumów kąpielowych? One po „dychu" chodzą u nas w komisach, a w ogóle to g... to panią obchodzi...*

Taaak, jakoś mniej sympatycznie wygląda deptak w Warnie okraszony tego typu tekstami. A innych się nie słyszy prawie. Przeważają też na plaży, w kawiarniach... Bułgarzy, których — takie odnoszę wrażenie — gwałtowny turystyczny boom w latach minionych nieco zaskoczył i w wielu sytuacjach nie bardzo wiedzą jak się po europejsku zachować, przystosowali się szybko. Pytam o cenę arbuza, a facet do mnie niemal czystą polszczyzną:

— *Ty, Polak, co tam arbuz, nie chczesz funtów ani marek?*

Pierwszy dzień na plaży, przestrzegam syna przed długimi wypadami w morze, podchodzi ratownik i od razu:

— *Jak sze tu czujecze? Dobre? A szego szuka? Jeszt u mnie i marka i dolara, być tu wieczorem...*

W BUŁGARII JEDNAK JEST PIĘKNIE!

Ale poza tym — wspaniale! Morze — wiadomo, ciepło, tony owoców, opalone dziewczyny, wspaniała kuchnia i wieczory w kafejkach na plaży, których pełno wokół Warny, Drużby, Złotych Piasków. Wspaniałe tereny do uprawiania wielu dziedzin sportu: baseny, korty tenisowe, narty wodne, windsurfing i wiele innych atrakcji. Odpoczywamy, buzie do słonka, w garści lodowaty „szweps" lub obowiązkowo chłodzone piwo. Luz, relaks, odpoczynek jakiego u nas, mimo wszystko, nie znajdziesz. I dlatego, by nie mącić sympatycznego w sumie, wakacyjnego obrazu, daruję sobie opis podróży przy użyciu Polskich Kolei Państwowych. Do tematu jeszcze wrócę, a po cóż teraz psuć nastrój. Bo zobaczenia w Bułgarii!

Lekcja obywatelskiego

ze str. 1

Gdyby, Kochani Rodzice, przyszło Wam do głowy odwiedzić nas, to może się zdarzyć, że będą kłopoty z identyfikacją pociech, ponieważ bywamy do siebie podobni, czyli mocno przybrudzeni. A wszystko za sprawą węgla, którego nam nie dowieźli przez prawie cały turnus, więc nie było czym palić pod kotłami z ciepłą wodą. Lecz nie martwcie się zbytnio, gdyż panu wuefmenowi udaje się od czasu do czasu pożyczyć gdzieś taczkę koksu i wtedy jest powszechne święto mycia.

Ale i tak mamy więcej szczęścia niż nasi rówieśnicy z kolonii w Darłowie, bo tamci nawet nie mają od kogo pożyczyć wiadra koksu, a naczelnik miasta kazał im zbierać chrust w lesie, co też czynią, żeby po uszy nie zarosnąć brudem.

W tej sytuacji nijak nie zgadza nam się szkolna wiedza wkuwana na lekcjach geografii z aktualną rzeczywistością. No bo niby jak to jest: nasz kraj na węglu stoi i drugiego takiego ze świecą szukać, a tymczasem o worek koksu trzeba żebrać, albo zbierać chrust na rozpałkę?

Na naszej kolonii są dzieci swoje i obce — czyli my. Dla swoich dzieci jadłospis przygotowują ich mamusie i ciocie, bo im nie wszystko smakuje, a nam musi. Tak było na przykład z jajkami na parze, których połowa wylądowała na śmietniku. Dzieci swoje wprost przepadają za wędlinami i mięsem wszelakim, co zresztą dostrzegli dietetycy na kontroli, nakazując zmienić jadłospis przeładowany tłuszczami.

Trudno powiedzieć, kto naszą kolonią rządzi, bo rządzić chce wielu. Chyba najmniej ma do powiedzenia pani kierowniczka, bo jak chce wydać polecenie, to niektóre panie mówią, że jest za młoda i nie ma wyższej szkoły, więc może im skoczyć.

Skoczyć może pani zastępczyni oraz paniom praktykantkom ze szkoły wyższej w Zgierzu. One wszystkie bardzo się polubiły i chyba niedługo zaprowadzą nowe porządki, bo pani zastępczyni kierowniczki powiedziała, że na drugi turnus przyjedzie z całą rodziną.

Na razie w powietrzu wyczuwa się coś paskudnego, a ogólna atmosfera także pachnie prochem.

Kilka dni temu panie praktykantki kazały nam podpisać się na dużej kartce papieru pod jakimś listem. Te dzieci, które potrafią już szybko składać literki powiadają, że było tam napisane, iż jesteśmy głodni, brudni, a na kolonii panuje bałagan. Wychowawczyniom sprzeciwiać się nie wolno, więc każdy podpisał się tak jak potrafi. Tylko po co dorosłym osobom takie kłamstwa?

W zeszłą niedzielę była u nas milicja, bo rano przyjechał Mercedesem jeden rodzic z Łodzi i przy wszystkich wyzwał kierowniczkę od złodziei, ponieważ skądś dowiedział się, że jego dzieci na kolonii w Przedborzu głodują, być może dostał list z taką informacją. Zrobiła się straszna draka przy użyciu pikantnych słów, którą przerwali dopiero milicjanci. Ten pan ma publicznie przeprosić kierowniczkę albo stanie przed kolegium.

Od tej wesołej historii, niektóre wychowawczynie komisyjnie ważą porcje obiadowe, a pani kierowniczka popłakuje sobie w kąciku.

Pewnego dnia zostaliśmy bez opieki i robiliśmy co dusza zapragnie, bo dwie panie praktykantki nic nikomu nie mówiąc ulotniły się z kolonii na cały dzień. Oj, można było łazić po dachach, a nawet iść sobie samemu nad rzekę! Jak się sprawa wydała, to koleżanka tych dwóch powiedziała, że panie musiały pilnie iść do dentysty. Ale jedyny dentysta w mieście akurat był na urlopie, a praktykantki nie wracały. Zjawiły się dopiero pod sam wieczór, mocno z siebie zadowolone i z tajemniczymi minami. Później wygadały się, że były w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie sobie tylko znanym sposobem nakłaniały pana z telewizji, żeby obsmarował cały ten burdel.

Następnego dnia nad rzekę nie poszliśmy, choć upał był okrutny. Panie kazały nam trzymać się w kupie na boisku, same zaś na zmianę warowały przy bramie, chyba na kogoś czekając.

Około południa nadjechał wreszcie Fiat, który przywiózł panów z telewizji. Zawsze jak przyjeżdża telewizja, to jest uciecha na sto dwa. Ale tym razem zrobiło się markotnie, bo kamerzysta od razu sfilmował wybite szyby, które wczoraj rąbnęliśmy piłką od nożnej. Trochę się nawet zmartwiliśmy, że z powodu garści szyb pan redaktor fatygował się w taki upał aż z Piotrkowa. Następnie panowie długo czegoś szukali aż w końcu nakręcili film ze śmietnika naszych sąsiadów oraz ze zdewastowanego kortu tenisowego — również sąsiadów. Potem panie praktykantki i pielęgniarka mówiły do mikrofonu, że jest im tutaj bardzo źle, ciężko, nudno i w ogóle do kitu. Nas też wypytywali o różne sprawy, głównie o to, czy jest fajnie, ale chyba nie gadaliśmy co należało, więc kamerę wyłączyli i odjechali.

18 lipca 1986 roku w wieczornym Dzienniku Telewizyjnym cała Polska obejrzała mrożący krew w żyłach „skandal w Przedborzu". Że niby warunki sanitarne są u nas potworne, że chorujemy zbiorowo i nie mamy lekarza, że brodzimy po kostki w gnoju i chlipiemy pomyje — aż cud, że żyjemy jeszcze. Na dowód czego pokazano stłuczone szyby oraz kort i śmietnik sąsiadów. Całe szczęście, że na straży naszych zmaltretowanych ciał i duszyczek czuwają umęczone samarytanki w osobach pań praktykantek oraz pielęgniarki.

Nasze głosy i rozmowa z panią kierowniczką na antenę nie poszły.

Po programie natychmiast pobiegliśmy przemyć uszy i oczy, bo zaszła uzasadniona obawa, że nasze receptory szwankują, zapewne skutkiem upałów.

Wiemy, Kochani Rodzice, że bardzo przeraziliście się „ujawnioną" martyrologią swych pociech i zaraz chcieliście przyjść nam z odsieczą, dziwiąc się szczerze, że od ostatnich Waszych tu odwiedzin tak wiele zmieniło się na gorsze.

Mocno naszą sytuacją przejęły się władze Łodzi, bo już następnego dnia o świcie przybyła specjalna komisja: instruktor Wydziału Oświaty KŁ PZPR, sekretarz KD ze Śródmieścia, wicekurator Urzędu Miasta Łodzi oraz dyrektorka z Komunalnego Przedsiębiorstwa Usług Socjalnych — organizatorka naszych kolonii. Komisja długo i dokładnie wszystko oglądała, ze wszystkimi rozmawiała i pod wieczór zgodnie orzekła, że telewizja odwaliła kawał paskudnej roboty, licho wie w jakim celu. Nas to zbytnio nie zaskoczyło, bo też mamy oczy. Spisano więc protokół, w którym stoi, iż reportaż z kolonii był nieobiektywny i nieuzasadniony.

Na koniec pani dyrektorka ze strony organizatora, która nareszcie połapała się co jest grane i kto komu podkłada świnie, zwołała małą wywiadówkę personelu, po której pani zastępczyni kierowniczki i jedna wychowawczyni spakowały walizki.

Po cichu liczyliśmy, że mów zostaniemy bez opieki i poszalejemy zdrowo, lecz na miejsce tamtych pań zaraz zgłosiły się miejscowe dziewczyny, które chyba są niemądre, bo za głupie sześć tysięcy złotych aż palą się do pilnowania cudzych bachorów.

Paniom praktykantkom właśnie skończył się czas praktycznego sprawdzianu zawodowego, który chyba zdały pomyślnie, albowiem dostały dobre opinie, żeby w przyszłości dalej mogły swym przykładem osobistym wychowywać dzieci.

Bardzo szkoda, że tak ciekawe wakacje już się kończą i trzeba będzie wracać do normalnej szkoły, która prawdziwego życia nie uczy, tylko wstawia głodne kawałki o takich duperelach jak uczciwość, sumienna praca, moralność, sprawiedliwość itd.

Lekcja poglądowa, którą odebraliśmy na pewno nie pójdzie na marne, za co jesteśmy naszym szanownym wychowawcom niezmiernie wdzięczni.

Ostatnio nieco zmodyfikowaliśmy nasze popularne zabawy, bo jakoś niezręcznie straszyć Babą Jagą, kiedy lepiej tę rolę spełnia telewizja.

ROMAN KUBIAK

Jacek Chyliński

Marsjanie — 1970

Nie znając siły własnych głosów
zaczęli krzyczeć
Z tąk do miast
przenosić białe Ptaki snu
by nimi przyćmić wieczny
blask satelitów

Mieli żyć —
symfonią łuków elektrycznych
w domach bez ścian
z pustymi oczodołami pragnień

Patrząc w dal
szli jak zwierzyna
przeznaczeni na odstrzał
wierzyli — bez Myślenia

A czarny wulkan Przeznaczeń
groził sykiem swych Prawd
żelazem roztopionego lęku
żądał śpiewu Ciszy

Pożegnanie z ojcem

Ciszę trzymam w dłoniach
Lekko jak wtedy filiżankę kawy

Na Piazza del Monte
Żal drętwotą ogarnia Ciało
Wiosna
jakże się z nią rozstać

To miłość skazana na zapomnienie
Na zagładę w obłokach codzienności
Zostawiła w spadku martwe skrzypce
którym moje dłonie
nigdy nie dadzą już Życia

Za chwilę zamknę furtę
cmentarnej bramy
i wtopię się w kamień ulicy

Szklana kula

Zamknęłaś się w szklanej Kuli
Odgrodziłaś Krata
Siła swego Wiatru kazałaś
aby Wzrok odpłynął Łodzią w głąb
Ciemnej pieczary — twego Centrum
Żyliśmy do tej pory
W pociągu bez sensu bez wczoraj
Gdy w Nocy usłyszałem Drogę
która Twoim głosem krzyczała
Chcę Cię zobaczyć — Widzieć
Wyskoczyłem z pędzącego Życia
by poznać rozgrzeszenie
Zobaczyłem Las który płonął
I ludzi zmęczonych ucieczka
Jak zwierzęta ze starego sztychu
Pędzili do swych Słońc
Czy to Nasz świat
Toczy się siła rozpędu — Tęskni szalony
Kto dał nam Prawo
Do krat które zimne
takim Ciepłem Parzą
Możemy się Kochać
Nie po raz pierwszy i nieprzypadkowo
Albo uciec chwila jak nasze lata
w huśtawce Drogi
Możemy też jeść winogrona
Czytać spalone księgi
Możemy też być tacy różni
Jak pocałunki wyjęte z koszyka
Zdejmujesz z szyi szmaragdy
Liczysz dzień po dniu
Mogłabyś mnie w nich rozpoznać
ale ten kapelusz i ta ulica
Zostały w pędzącym pociągu
Pytasz czy przyjdę
dotknąć rękami Twojej Kuli
by wpuścić do niej trochę Lata
Dziś spotkałem Ludzi
pod trzema filarami Mostu
Mieli długie brody i jedli
Pył Gwiezdny
Mówili że są Szczęśliwi
bo zaczęły się dobre Czasy

Nie zapomnieć

Henryka Hartenberga nie trzeba chyba bliżej przedstawiać — jest on pisarzem znanym i cenionym przez czytelników i krytykę. Chociaż posiada w swym dorobku także tom opowiadań, to jego literacką wizytówkę tworzą jednak głównie utwory poetyckie. Henryk Hartenberg jest poetą dojrzałym — uczuciowo i intelektualnie — i ta dojrzałość stanowi generalny wyznacznik jego poezji, toteż charakter wydanego właśnie nowego zbioru wierszy tego autora nie powinien nikogo zaskoczyć. „Znaki pamięci" są dziełem pisarza ukształtowanego wewnętrznie, wyzbytego nierozważnej, młodzieńczej kokieterii i nonszalancji, panującego bez trudu nie tylko nad słowną tkanką swych utworów, lecz również nad ich zawartością myślową. To właśnie z doświadczenia i warsztatowej rutyny autora bierze się ogromna przyswajalność tej poezji, nie zamkniętej w ciasnym kręgu prowincjonalnego estetyzmu, adresowanej w gruncie rzeczy do szerszego kręgu czytelników. Wiersze Hartenberga pozbawione są jakże często niejednoznacznych uniesień, mylących wahań formy, bezprzedmiotowych, jałowych dywagacji i dygresji — jest to poezja konkretna, zmierzająca ku jasno wytyczonemu celowi, stonowana, niemal „szeptana". Takie potraktowanie materii poetyckiej jest w przypadku tym, to wypada lojalnie przyznać, bronią obosieczną, jako że łatwość odbioru tych utworów osiągnięta jest w znacznej mierze kosztem zarówno tematycznej, jak i konstrukcyjnej różnorodności i wielości. W tym kontekście paradoksalnie zabrzmieć powinno stwierdzenie, iż pewna jednostajność i monotonia, jakiej byłoby się można dopatrywać w wierszach zamieszczonych w „Znakach pamięci", nie jest ani nużąca, ani zniechęcająca. Wynika ona po prostu z niezwykle rzadko na gruncie poetyckim spotykanej zwartości i spoistości tekstów.

Motywem przewodnim, łączącym wszystkie trzy części, na jakie podzielone są „Znaki pamięci", jest ciągłość, ciągłość historii, tradycji, oraz ich oddziaływanie i znaczenie dla współczesności. Poeta chętnie i często posługuje się licznymi cytatami z nader ważnych dla naszej kultury dzieł literatury polskiej, odwołując się w ten sposób do przeszłości z którą zerwać nie wolno, która jest glebą i pożywką czasu teraźniejszego, stanowi realny, nieunikniony punkt odniesienia. Umożliwia to uzyskanie większej ostrości spojrzenia, nadaje głębszy sens i aktualność poruszanym przez autora zagadnieniom. Miejscami Hartenberg przypomina (w obu znaczeniach tego słowa) Tuwima z „Kwiatów polskich", przeprowadzając między różnymi stylami i epokami niewidzialną linię, wiążąc w ten sposób w jedno całe zespoły zagadnień, o których wciąż trzeba dyskutować, a których wspólnym mianownikiem jest historia. Nie oznacza to bynajmniej, że poezja „Znaków pamięci" jest bezosobowa czy bezduszna — historię tworzą ludzie, i w centrum zainteresowania pisarza znajduje się człowiek wraz ze wszystkimi swymi uwarunkowaniami, ze swym okrucieństwem, moralnym upadkiem i wielkością:

„Ja o dziejach człowieka
Uwikłanego w sens i bezsens groźnego
Czasu który trwa w nas w naszej krwi"

Dialog z przeszłością, jaki podejmuje autor, jest niewolny od łagodnych, pastelowych akcentów osobistych, wyraźnie zaznaczających obecność poety w utworach, odzwierciedlających jego zaangażowanie emocjonalne i niejako uwierzytelniających szczerość wypowiedzi. Ten brak dystansu pomiędzy twórcą a twórczością, prowadzona często w pierwszej osobie narracja liryczna powodują, iż autor jawi się odbiorcy jako człowiek z krwi i kości, biorący na siebie pełną odpowiedzialność za słowo, usiłujący poznać świat poprzez naturalny wymiar własnej osobowości i własnych, nierzadko gorzkich, doświadczeń.

Zerwanie z tradycją kulturową, z dziedzictwem historii grozi katastrofą, odrzucenie przyswajanych z takim trudem przez wieki wartości humanistycznych doprowadzić może do zburzenia fundamentów wznoszonego wspólnymi siłami gmachu cywilizacji. Są sprawy, o których, parafrazując słowa poety, nie wolno zapomnieć, na które nie wolno zobojętnieć — nie wolno zamilknąć.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Henryk Hartenberg — „Znaki pamięci", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986, wyd. I, nakład 1000 + 300 egz.

Rozdarty świat

Jednym z bardziej uchwytnych a przeto i charakterystycznych dla literatury polskiej podziałów pozwalających na globalny ogląd i — co więcej — pozwalających uchwycić przemienność „światoobrazów" wyłaniających się z wyraźnie określonych systemów aksjologicznych jest przeciwstawienie: „rustykalności" oraz „urbaniczności". „Wieś" i „Miasto" stanowią bowiem jedno z podstawowych tematologicznych „nacechowań" naszej literatury sytuując zarazem literackie światopoglądy w opozycyjnych szeregach, które krytyka towarzysząca różnie określała: „autentyczne — formalne", „mitologiczne — socjologiczne", „łagodne — ostre" „uniwersalizujące — temporalne". Ta dwudzielność poetyckich postaw jest najczęściej traktowana instrumentalnie — przywołuje się ją jako rzecznika obrony sformułowanych poetyk (programów poetyckich). Tak np. autentyzm (prąd i postawa poetycka) silnie wiąże się z „wiejskością" (z „poglebiem") mitologizując osobnicze doświadczenie poetyckie, zaś swego czasu Nowa Fala preferując temporalność (Tu i Teraz) czy interwencyjność poezji przywoływała Miasto i Masę zresztą bez radosnej eksplikacji tych dwu składników awangardowej jeszcze poetyki, bowiem Miasto było zdemonizowanym obszarem „asfaltowej pułapki", zaś Masa najczęściej symbolem wyobcowania oraz zdepersonalizowanych, z zewnątrz sterownych zachowań zbiorowych.

Poetycka twórczość Feliksa Rajczaka konsekwentnie plasuje się w rejonach „wiejskości", wyraźnego geograficznego zakorzenienia, zaś w aprobowanej literackiej tradycji bliska jest formułowanej oraz realizowanej poetyce autentyzmu. Nie oznacza to bynajmniej, że autor „Wrót" nieuchronnie już do końca musi być zamknięty w szufladce autentyzmu czy autentyzmów — bowiem ta postawa poetycka uległa znacznym przekształceniom i tylko w podstawowych założeniach jest wierna formułowanym w latach trzydziestych programowym normom poetyckiej wizji S. Czernika.

Wydany przez LSW tomik „Wrota" prezentuje niemal wszystkie walory uwidocznione we wcześniejszych tomach F. Rajczaka, wprowadza jednak nową tonację stylistyczną: „dojrzałej" (wcześniej można było mówić o „intuicyjnej") obrony wartości plebejskich (czy prowincjonalnych) „łagodny" (ale nie czułostkowy) obraz świata wyrastającego z doświadczeń codziennych, ale niemal rytualnych, bowiem wiążących się z przywołaniem „Czasu mitycznego" w sposób naturalny uwikłanego w „wiejskość" tej poezji, świadomości rozdarcia (tak charakterystycznej przecież dla poezji T. Nowaka) między stosem wsi a wielkomiejskimi, nęcącymi niekiedy modelami życia „w tłumie".

Pisząc o „sakralizacji świata", pojęciu religijnego przeżycia (moglibyśmy tu wprowadzić zamiennie „przeżycia poetyckiego") Mircea Eliade mówi o dwudzielności sfer „sacrum" oraz „profanum" — o rozdarciu świata: (...) „rozdarcie przestrzeni pozwala na ustanowienie świata, gdyż ono to odsłania **punkt stały**, oś wszelkiej przyszłej orientacji, wszelkiego ukierunkowania... Sacrum przejawiając się ustanawia ontologicznie świat... **Aby żyć w świecie**, trzeba go **ustanowić**, założyć, a żaden świat nie może się narodzić w „chaosie" z jednorodności i względności przestrzeni świeckiej. ...(s. 61/62).. i dalej: „Wrota, otwierające się ku wnętrzu kościoła, zaznaczają przerwanie ciągłości. Próg, dzielący dwie przestrzenie, wskazuje zarazem na dystans między dwiema modyfikacjami istnienia — świecką i religijną" (64). Przytoczyłem te cytacje z Eliadego nie gwoli pseudoerudycyjnym popisom, ale dlatego, że tytuł tomu („Wrota") podrzuca nieuchronne kojarzenia z pojęciem hierofanii przestrzennej wyłożonej w pracach cytowanego badacza. I tak też chyba należałoby ten tytuł interpretować: jako otwarcie przestrzeni sakralnej, przestrzeni poetyckiej, ale zarazem jako metonimię „wiejskości" i plebejskości i nadto jeszcze — nostalgiczną zadumę nad „czasem minionym" (wrota mogą tu oznaczać także „przeszkodę", zamknięcie świata wartości, które nie znajdują dla siebie miejsca w stechnicyzowanym świecie współczesnym). Wydaje mi się, że spoza całej „sielskiej" (a gorzka jest ta sielskość) poetyckiej materii przebija przede wszystkim palimpsestowy „zapis" czasów minionych („Wymarli we wsi wszyscy gospodarze. Próchnieją kosy, rdzą zachodzą pługi"), stąd dramatyczne, ale i bezradne gesty ponawiania arkadii prowadzące wszakże do konstatacji o niemożliwym już akcie „pojednania świata" („Ludzie z tamtej strony widzę was jak w lustrze"... „Stara kultura rolna pozdrawia cywilizację i chłopa w atomowej koronie"). Trwanie w „przestrzeni zamkniętej", przestrzeni sakralnej musi być przeto ciągłym oczekiwaniem na **znak** — na potwierdzenie tej hierofani ustanowionej poetyckim piórem.

Jest to nadto trwanie w świadomości zdezintegrowanej, w dialektycznej opozycji między mitologicznym czasem wsi a „gorącym" czasem życia „miejskiego" Powrót na wieś, powrót do „korzeni" jest równoznaczny z uładzeniem, ostateczną harmonią — powrotem do Matki Ziemi.

Ów „archetypiczny" światoobraz Feliksa Rajczaka domagałby się wnikliwszej interpretacji tym bardziej, że przecież nałożył nań poeta i swoją osobową „sygnaturę". Myślę wszakże, że krytycznoliterackie wywody (pomocne być może w pełniejszym rozwikłaniu odwiecznych poetyckich motywów) mogłyby zamącić „radość czytania" samych tekstów poetyckich. A do ich lektury szczerze zachęcam tych szczęśliwców, którym udało się „Wrota" kupić.

HENRYK PUSTKOWSKI

Feliks Rajczak — Wrota, LSW, Warszawa 1986 r. ss. 76, cena 100 zł.

Z półki recenzenta

SUMIENIE NARODU?

Na dobrą sprawę ta książka nie wymaga reklamy: wystarczy przejrzeć tytuły rozdziałów — „Poeta i czekista", „Odwilż, czyli kociokwik intelektualistów" itp. Mówiąc ogólnie można byłoby zatytułować tę książkę jako „Literatura i polityka", bowiem zostały w niej przedstawione zależności pomiędzy twórcami a decydentami kultury w okresie minionego 40-lecia, a także poddany krytyce mit o posłannictwie naszej inteligencji i jej „rządzie nad duszami".

Barbara Fijałkowska: Sumienie narodu. KAW 1986. Str. 150. Cena 120 zł.

HISTORYCZNE BITWY

W serii „Historyczne bitwy" ukazała się kolejna publikacja: jest to „Szypka i Plewna 1877". Dla większości Polaków te nazwy nic nie znaczą. A przecież właśnie tam pod koniec ubiegłego stulecia rozegrały się wielkie bitwy wojny rosyjsko-tureckiej, w wyniku których zostały wyzwolone narody południowosłowiańskie spod wielowiekowej niewoli osmańskiej. I choć nie powstała wówczas Bułgaria, jaką znamy dziś, to przecież wysiłek zbrojny Rosjan przypieczętował dążenia wyzwoleńcze wielu krajów bałkańskich.

Bogusław Brodecki: Szypka i Plewna 1877. MON 1986. Str. 230. Cena 220 zł.

„PISMA" STANISŁAWA PIĘTAKA

Dwadzieścia dwa lata temu zmarł śmiercią samobójczą Stanisław Piętak. Dopiero dziś jego twórczość poetycka doczekała się tak pełnej i starannej publikacji. „Poezja Piętaka — czytamy we wstępie — oscyluje nieustannie między sielanką i elegią, między baśnią i apokalipsą, między mitem Anteusza i mitem Persefony. Jego Arkadia graniczy o miedzę z krainą mroku, Kymerią, przedprożem Hadesu".

Niniejsza rubryka nie jest tym miejscem, gdzie należałoby omawiać dorobek poetycki Piętaka, dlatego ograniczę się do polecenia czytelnikom wierszy tego niezwykłego poety.

Stanisław Piętak: Pisma, LSW 1986. Str. t. I — 604, t. II — 348. Cena 800 zł.

INDIE

Dla lubiących egzotykę polecam książkę Janiny Woźnickiej i Andrzeja Ryttela zatytułowaną „25 tysięcy kilometrów przez Indie". Książka — jak to zostało odnotowane na obwolucie — powstała z pasji poznawczej ludzi zafascynowanych tym pięknym i ciągle dla nas nie całkiem odkrytym krajem. A fascynacja musiała być wielka skoro autorzy — przecież nie historycy — potrafili tak ciekawie i sugestywnie przekazać swoje czteroletnie obserwacje dokumentując je dziesiątkami czarno-białych i kolorowych zdjęć.

Janina Woźnicka, Andrzej Ryttel: 25 tysięcy kilometrów przez Indie. Wyd. Sport i Turystyka 1986. Str. 294. Cena 950 zł.

DEMONY CUDZEGO STRACHU

Jedyny bodaj w Polsce „cyganolog" z prawdziwego zdarzenia Jerzy Ficowski napisał kolejną książkę poświęconą tej narodowości etnicznej związanej tak mocno z naszym krajem. Tym razem jest to rzecz z pogranicza odsłaniania tajemnic. A więc wypowiedzi znakomitej poetki Papuszy o Julianie Tuwimie, rzecz o głośnym niegdyś skandalicznym porwaniu plosenkarki Randii, incydent z życia słynnego plosenkarza Michaja Burano czy wreszcie opowieść o cygańskim rozbójniku. Słowem o Cyganach, jakich dziś już nie ma, którzy odeszli w przeszłość wraz ze swoimi taborami.

Jerzy Ficowski: Demony cudzego strachu. LSW 1986. Str. 262. Cena 250 zł.

DIABELSKIE SKRZYDŁA

Członek Akademii Francuskiej, niezwykle płodny i pracowity, Henri Troyat, jest ceniony przede wszystkim jako autor znakomitych monografii pisarzy rosyjskich (Dostojewskiego, Puszkina, Lermontowa, Tołstoja). Prezentowany dziś zbiór jego opowiadań pt. „Diabelskie skrzydła" należy do gatunku prozy oscylującej ku grotesce, choć z reguły każda rzecz posiada zaskakujące, czasem wręcz niezwykłe zakończenie. Te króciutkie opowiadanka zawierają także z reguły pewną konkluzję potwierdzającą fakt, że ciągle o sobie wiemy jeszcze bardzo mało.

Przekład Wiesławy Dworzańskiej.

Henri Troyat: Diabelskie skrzydła. WL 1986. Str. 256. Cena 250 zł.

Opracował: E. IW.

Kronika wypadków muzycznych

Niezapomniane przeżycia z Wenecji

Najwygodniej dojechać tam kolejką wąskotorową wyruszającą ze Żnina w kierunku Biskupina i Gąsowy. Pięć minut drogi od przystanku mieści się ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy ZSMP goszczący po raz kolejny uczestników międzynarodowych warsztatów artystycznych. Ich organizatorem jest działające w Bydgoszczy Międzynarodowe Centrum Animacji Muzycznej stowarzyszone w federacji Jeunesses Musicales. Podobnie jak w ubiegłym roku, hasłem spotkania były związki sztuki z ideą humanizmu i pokoju.

Program dziesięciodniowego pobytu w Wenecji obejmował tak różnorodne zdarzenia, że nikt, jak sądzę, nie pozostał zawiedziony w swych oczekiwaniach. Obok wykładów, prezentacji indywidualnych osiągnięć artystycznych oraz zajęć praktycznych, podejmowane były wspólne akcje, w których każdy mógł stać się współtwórcą sztuki. Bezpośrednim nawiązaniem do hasła warsztatów były wystąpienia Marka Greli omawiającego rolę współpracy kulturalnej w stosunkach międzynarodowych i Hiszpana Angela Bravo wskazującego na zależność między edukacją a możliwością porozumienia między ludźmi. Analizowano też obecność problemu wojny i pokoju w sztukach video i muzyce rockowej (Jugosłowianin Peter Barbarić) oraz w twórczości młodych kompozytorów radzieckich (Sergiej Biriukow z ZSRR). Japoński kompozytor Makoto Shinohara (goszczący zresztą nie po raz pierwszy na warsztatach) podjął się wprowadzenia nas w egzotyczny dla europejskiego ucha świat muzyki swego narodu.

Obok wykładów o muzyce (dotyczyły one również dorobku współczesnych kompozytorów polskich i rewolucyjnych poczynań Johna Cage'a) miały miejsce prezentacje sztuk plastycznych — m.in. grafik innego Japończyka Takashi Ikezewa i wykonanych rzadko stosowaną techniką gumy arabskiej fotografii Marka Grausza.

Wymienienie wszystkich tematów zajęć seminaryjnych zajęłoby wiele miejsca, a przecież nie one stanowiły dominantę programu warsztatów. Przyjętym celem było nie tyle dostarczenie wiedzy o sztuce, co wypracowanie praktycznych metod pobudzania instynktu muzycznego, potrzeby kreowania i odbioru muzyki, uczynienia z niej ważnego składnika świata, w którym żyjemy. Prowadzą do tego działania Józefa Brody z Istebnej, pokazującego jak wiele można zagrać na zwykłym listku, jak wycinać świstawki i fujarki... Te błahe z pozoru czynności stają się pierwszymi krokami na drodze wiodącej do poważnego celu: odzyskania utraconej jedności z naturą i kulturą. Zaproponowana przez Portugalkę Izabellę Monteiro zabawa z dzwoneczkami wydającymi różne wysokości dźwięku w bardziej naturalny i skuteczny sposób kształtuje zmysł estetyczny dziecka niż śpiewanie gam a na dodatek rodzi zapał do dalszej nauki.

Poznanie różnorodnych brzmień wydawanych przez otaczające nas przedmioty i proste instrumenty muzyczne staje się podstawą zbiorowych kreacji dźwiękowych i prowadzi do lepszego zrozumienia form artystycznych. W tej perspektywie muzyka ukazywała się nie jako pole wartości absolutnych, ale jako bodziec integrujący psychikę i kształtujący osobowość. Funkcja ta uwypuklona została w cyklu zajęć poświęconych muzykoterapii a prowadzonych przez Tadeusza Natansona, Macieja Kieryła i Władysława Pitaka. Umiejętność likwidowania stresów i napięć psychicznych staje się coraz ważniejszym warunkiem egzystencji w świecie pełnym niepokojów, toteż należy spodziewać się, iż w muzyce chętniej widzieć się będzie narzędzie terapeutyczne, oczyszczające i przystosowujące do otoczenia niż obiekt do czystej kontemplacji.

Janusz Kohut z kolei zaproponował coś w rodzaju terapii intelektualnej: w trakcie seansu medytacyjnego próbował pobudzić improwizacjami muzycznymi i głoszonym słowem nasze refleksje nad istotą miłości po to, abyśmy wypełnili to puste — jego zdaniem — dzisiaj hasło żywymi treściami. Innego rodzaju medytacja — oparta na praktyce Zen — stała się podstawą metody pracy warsztatowej nazwanej przez Jacka Ostaszewskiego (kierownika zespołu „Osjan" a jednocześnie ucznia jednego z mistrzów Zen), „Drogą dźwięku". Metoda ta obejmowała ćwiczenie koncentracji i szybkiej reakcji na gesty drugiej osoby, pobudzenie bioenergetyczne oraz akcje ruchowo-muzyczne oscylujące między biegunami swobodnej ekspresji indywidualnych stanów psychofizycznych i zdyscyplinowanych działań grupowych podporządkowanych ustalonym zasadom.

Duże zaangażowanie, jakie przejawiali uczestnicy zajęć praktycznych mogło świadczyć o potrzebie zyskania harmonii wewnętrznej i harmonii ze światem zewnętrznym, o tęsknocie za wspólnotą homo ludens zagrożoną przez stechnicyzowaną cywilizację.

Współczesna dążność sztuki do przełamywania granic pomiędzy jej poszczególnymi dziedzinami — muzyką, plastyką, teatrem... może być rozumiana jako bunt przeciw tej specjalizacji i konwencjom, jako chęć powrotu do pierwotnej jedności i autentyczności. Dlatego też naturalne i przekonywające wydawało się włączenie prostych form ruchu scenicznego do zespołu środków animacji muzycznej. Ćwiczenia parateatralne wprowadzone przez Ewę Lebecką i duńskiego aktora Carla Henrika Molgaarda znalazły swe przedłużenie w pracy nad spektaklem „Przygody Sindbada Żeglarza". Przypadkowo dobrana grupa osób (jedynym kryterium była chęć uczestniczenia w tym przedsięwzięciu) stworzyła pod kierunkiem reżysera Marka Mokrowieckiego opowieść o niespełnionych marzeniach wyrwania się z kręgu codziennych otępiających czynności i pustosłowia.

Jednak nie sam spektakl był najważniejszy, chociaż przybrał dość atrakcyjną dla obserwatorów formę artystyczną. Ważniejszym było to, że aktorzy-amatorzy (jedynym zawodowcem był Molgaard) nie przyzwyczajeni do tego typu działania przełamywali opory psychiczne podejmując różne zadania, uzyskiwali kontrolę nad gestami i odruchami, doświadczali na własnej skórze prawdy, że sztuka wymaga poświęcenia, gdy walczyli z piaskiem zasypującym usta i oczy oraz znosili ból uderzeń i upadków.

Nie mniejszym heroizmem wykazali się członkowie innej grupy teatralnej — Studia Formy Plastycznej GRAMMA z Szczytna rozgrywając część akcji swego spektaklu w wodzie: wieczór był wyjątkowo chłodny i publiczność dostawała dreszczy na ten widok. Znakomicie zagrała naturalna scenerii: rozległy brzeg jeziora, długie molo, powierzchnia wody poprzerastana szuwarami stawały się teatralnie nierealne, gdy blask reflektorów wydobywał je z ciemności. Trudno wyobrazić sobie lepsze miejsce dla inscenizacji mroczno-poetyckich obrazów ukazujących fundamentalne motywy ludzkiej egzystencji: walkę, miłość, śmierć, odejście w nieznane... Raz jeszcze nastąpiła synteza sztuki z naturą, gdy w dwa dni później, w blaskach zachodzącego słońca wykonano „Missa Pagana" skomponowaną przez Waleriana Krenza do poezji Edwarda Stachury. Któż nie uwierzył — patrząc na szeroką taflę jeziora, rozciągające się za nim łany zboża i pagórki porośnięte lasem — słowom poety mówiącym o sprawach prostych, lecz zasadniczych, o tym, że „dla wszystkich starczy miejsca pod wielkim dachem nieba".

Niezapomnianym przeżyciem była również nocna wizyta w Biskupinie. Niesłychanie to rzadka okazja móc siedzieć przy ognisku rozpalonym wewnątrz prasłowiańskiej kurnej chaty, zmierzyć się młodem pitnym przygotowanym przez niemieckich archeologów i słuchać Kwartetu im. Tomasza Jorgi grającego Muzykę Zielonej Fali, która wprawdzie nie odwołuje się aż do czasów prehistorycznych, ale znakomicie pasowała do nastroju biskupińskiej nocy. Jakże inaczej wyglądała ta stara osada następnego dnia w czasie akcji plastycznej: porozwieszane niczym serpentyny i porozrzucane po chatach taśmy perforowane miały nam uświadomić dystans między zgrzebną przeszłością i erą komputerową.

Wiele jeszcze imprez miało miejsce w ciągu tych dziesięciu dni lipca i choć program tegorocznych warsztatów nie był tak bogaty jak w roku ubiegłym i nie tak liczna była obsada gości zagranicznych (wielu z zapowiedzianych nie pojawiło się w Wenecji), to i tak nie było chwili wytchnienia. Niekiedy terminy zajęć pokrywały się wprawiając w rozterkę, z czego tu zrezygnować? Często koncerty, próby i spektakle kończyły się po północy a dyskusje przeciągały się do świtu i czymś naturalnym stawało się np. pożegnanie Makoto Shinohary przez dużą grupę osób o bladym świtaniu. Nie mniej serdeczna atmosfera, daleka od sztywności oficjalnych zakończeń, panowała ostatniego wieczoru zakończonego prawdziwym poematem gastronomicznym. Wszyscy żałowali, że warsztaty nie mogą trwać dłużej, że rozbudzona aktywność i wyobraźnia nie mogą na miejscu wydać dojrzałych owoców. I gdyby była pod ręką jakaś fontanna, ciskalibyśmy garściami monety po to, aby powrócić tam za rok.

JACEK SZERSZENOWICZ

Jan Riesser (1925–1986)

W ostatnich dniach nadeszła do Łodzi z Australii smutna wiadomość. 12 lipca br. zmarł w Brisbane w wieku 60 lat reżyser filmowy Jan Riesser, związany trzydziestoletnią pracą z naszą Wytwórnią Filmów Oświatowych.

Zmarły ukończył studia w Instytucie Filmowym w Krakowie, a następnie na Wydziale Reżyserii Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Znałem go jeszcze jako studenta, gdy na początku lat pięćdziesiątych bywał w nie istniejącej dziś kawiarni „Fraszka" przy ul. Piotrkowskiej 96, gdzie spotykała się łódzka młodzież artystyczna, by wieść długie i gorące dysputy o swym przyszłym miejscu w sztuce.

Potem nastało owych 30 pracowitych lat, które zaowocowało blisko 150 filmami krótkometrażowymi zrealizowanymi przez Riessera w barwach Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi. Po praktyce asystenckiej u boku arcymistrza Jarosława Brzozowskiego Jan, który mieszkał w tym czasie w Zakopanem, zajmował się w pierwszych latach samodzielnej twórczości ekranowej szczególnie (choć nie wyłącznie) tematyką tatrzańską. Jego film „Śladami Byrcynowych wspominków" zdobył w roku 1963 Grand Prix na Konkursie Filmów Turystycznych w Warszawie.

W latach następnych (może zadecydował o tym genius loci: reżyser przeniósł się wraz z rodziną do Gdańska) twórczość Riessera zdominowały filmy dotyczące morza i Wybrzeża. Wśród licznych tego rodzaju filmów na podkreślenie zasługuje seria obrazująca działalność polskiego przemysłu stoczniowego, którego rozwojowi reżyser towarzyszył z kamerą filmową przez długie lata.

Należy tu film „Suchy dok" o Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, który zapewnił autorowi II nagrodę na Konkursie Filmów Turystycznych (Warszawa 1965), Złotą Fregatę na Przeglądzie Filmów Morskich (Szczecin 1965) i dyplom na Międzynarodowym Festiwalu Filmów o Morzu w Mediolanie (1966).

Inny film o tematyce stoczniowej — „Trójka gigantów" — wyróżniony został Srebrną Fregatą w Szczecinie (1969) i nagrodą specjalną na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Technicznych w Budapeszcie (1970).

Obsypany nagrodami był także film Riessera „Gdańsk — Stare Miasto": Grand Prix (Statuetka św. Ambrożego) w Mediolanie (1963), Złoty Medal Expo 68 w Locarno i nagroda specjalna na Festiwalu Filmów Turystycznych w Spindlerowym Młynie (1970).

Łódzki akcent w różnorodnych realizacjach Riessera stanowił film „W przemysłowej Łodzi" (1963).

Talent filmowca potęgowała w przypadku Jana ogromna żywotność i temperament. Robota paliła mu się dosłownie w rękach. Ostatnie filmy realizował już trawiony ciężką chorobą.

Właśnie choroba stała się przyczyną przejścia Jana na rentę i wyjazd wraz z żoną do Australii, do mieszkającej tam wraz z mężem córki. Rachuba na zbawienny wpływ klimatu Queenslandu (północno-wschodnia część Australii) zawiodła. Janka nie ma już pośród żywych, choć nam, którzy z nim współpracowali, tak trudno w to uwierzyć. Szkoda, że zwłoki Jego spoczywają na dalekich antypodach, a nie w ziemi polskiej, którą kochał.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Polityka i imponderabilia

Nie bez zainteresowania bierze się do ręki najnowszą powieść Karola Józefa Stryjskiego zatytułowaną „Są jeszcze sprawy drobne", bo jest to druga po „Horynieckich" jego książka. Druga książka młodego autora zawsze jest przypadkiem ciekawym ponieważ weryfikuje aspiracje literackie debiutanta, a także stanowi jakby spłatę pierwszej raty czytelniczego kredytu zaufania. Po „Horynieckich" bowiem — aby ciągnąć to bankowe porównanie — Stryjski taki kredyt uzyskał. Pierwsza powieść była ambitną epopeją rodzinną (dalsze jej części oczekują na wydanie) skonstruowaną na szerokim tle społecznym i politycznym II Rzeczypospolitej. I jakkolwiek takich powieści dzisiaj się już nie pisze, to przecież wciąż cieszą się one powodzeniem u czytelników. A nie pisze się dlatego, że zadanie to trudne, mozolne i niepopularne zwłaszcza u krytyków zapatrzonych w awangadowe łamańce stylistyczne i quasi-psychologiczne autokreacje. Stryjski jednakowoż nie uląkł się dziewiętnastowiecznej konwencji i bodaj z sukcesem ominął jej płycizny i spowolniałe nurty.

I znów nie bał się podjąć kolejnego ryzyka. Tym razem zamierzył napisać współczesną powieść polityczną. Gatunek to wprawdzie w naszej powojennej literaturze często podejmowany, ale bez specjalnych — na ogół — efektów, tak artystycznych jak i ideowych. Na palcach jednej ręki można byłoby policzyć tytuły, które piszą się dobrze w czytelniczej pamięci. O przyczynach takiego stanu rzeczy dużo by mówić. Jedną z głównych — żeby już nie wdawać się w szczegóły zbędne w tej recenzji — są mało przewidywalne, przyszłe i obecne, meandry ideologiczno-perswazyjne w rzeczywistości społeczno-politycznej naszego kraju. Pisarz z reguły może odwołać się do tej rzeczywistości ex post, czyli wtedy, kiedy uprzedzili go już publicyści i komentatorzy, politycy i dziennikarze, kiedy podejmując jakikolwiek problem natrafią na wytyczony szlak, często z tabliczką wyraźnie określającą rygory poruszania się po oznaczonej dróżce. Nieobojętną też sprawą dla możliwości powieści politycznej jest ograniczoność obszarów polityki w które pisarz ma wgląd.

Tak czy inaczej Stryjski podjął się napisania powieści politycznej. Posłużył się w niej materiałem, którym mógł dysponować, a więc doświadczeniami własnymi, postaciami i emocjami znanymi z autopsji, ale i także tym, co znane mu było pośrednio jako politycznemu publicyście i wnikliwemu czytelnikowi dziennikarskich opisów polskiej teraźniejszości.

Bohaterem powieści jest Artur Szewerda, emerytowany działacz partyjny, który dożywając swoich dni wraca myślami do przeszłości. Można rzec, że jest to przeszłość typowa dla wielu biografii uwikłanych w powojenną historię, biografii niełatwych, ale i konsekwentnych mimo rozmaitych „etapów", „odwilży" i politycznych zmian. Szewerda, tuż po wojnie awansowany do pracy w powiatowym aparacie partyjnym, potem dzięki własnym zasługom, ale i także kolejnym — by tak rzec — politycznym zawęzieniom wstępuje na dość wysokie szczeble w hierarchii władzy. Nie są to szczeble jednak na tyle wysokie, abyśmy mogli w powieści Stryjskiego poszukiwać jakichś personalnych a rzeczywistych odniesień. Można więc uznać Szewerdę za jednego z szeregowych przedstawicieli aparatu władzy. Dlatego też dylematy jakie przyszło mu rozstrzygać nie mają charakteru spraw wielkich ani najważniejszych. Odchodzi z życia publicznego na początku lat osiemdziesiątych. Znajduje wreszcie czas na uładzenie „spraw drobnych", acz istotnych z osobistego punktu widzenia. I o tym jest właśnie powieść Stryjskiego.

Po przeczytaniu pierwszych rozdziałów można byłoby oczekiwać, iż kluczową dla powieści będzie postać Roberta, starszego syna Szewerdy (właśnie jego punkt widzenia przyjmuje narrator ograniczając swoją „obiektywną" wszechwiedzę), że autor zamierzył jakiś „dramat pokoleń". Dalej jednak na plan pierwszy wysuwa się ojciec (z jego perspektywy teraz kontynowana jest powieściowa narracja) i on staje się postacią najważniejszą. Sprawia to wrażenie jakby Stryjski nie był zdecydowany co do konstrukcyjnego zamysłu i fabularnych rozstrzygnięć, jakby nie wiedział rzecznikiem czyich racji ma pozostać — ojca czy syna. Zagubiła się więc, zapowiadana na początku, pokoleniowa polemiczność postaci (dialogi szeleszczą gazetą, a ich publicystyczność „wzmacniają" cytaty a to z „Polityki", a to z różnych oficjalnych przemówień) bo historia, notabene dość konwencjonalnie przywoływana, przysłoniła teraźniejszość. A z drugiej strony — jeśli to Szewerda senior ma być głównym bohaterem — gubią się w natłoku zdarzeń z przeszłości tytułowe „sprawy drobne", psychologiczne i moralne imponderabilia, które trzeba zrekapitulować, uładzić i przekazać pokoleniu następców.

Jednak przeczytałem tę powieść nie z recenzenckiego obowiązku i zachęcam do lektury innych: warto bowiem obserwować jak to co zwyczajne, codzienne i znane przybiera kształt powieściowej fabuły, jak życie przechodzi w literacki mit.

GRZEGORZ GAZDA

Karol Józef Stryjski, Są jeszcze sprawy drobne, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986, s. 245.

Festiwal w Cannes inaczej

Pierre Viot, urodzony w 1925, dyplom wydziału literatury i prawa, między innymi był w latach 1973-1984 dyrektorem naczelnym Centrum Narodowej Kinematografii, od 1985 prezydent Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes.

— Od dwóch lat jest pan prezydentem festiwalu. W zeszłym roku zapowiedział pan pewne zmiany, chciał pan z tego zrobić wielkie święto kina...

— Tak, jednym z moich zamierzeń było, aby Festiwal w Cannes stał się właśnie takim wielkim świętem kina. Przede wszystkim staram się zorganizować dużą liczbę spotkań samych uczestników. Codziennie w południe około 100 osób spotyka się przy szampanie. Wieczorem organizujemy kolację dla różnych grup uczestników. Lecz żeby było prawdziwe święto potrzebni są bohaterowie, i o to też się postaraliśmy. W tegorocznym Festiwalu są nimi Orson Welles, Simone Signoret i Roberto Rosselini. To właśnie im postanowiliśmy oddać hołd za ich wkład w rozwój kina. Mogła pani obejrzeć 40 minutowy fragment „Don Quichotte" Orsona Wellesa, dotąd nigdzie nie pokazywany. Oddamy też hołd Simone Signoret filmem zmontowanym z fragmentów jej wywiadów i filmów. Liczne są również spotkania organizowane przez samych uczestników. Ma to być święto radości z obcowania z nowymi filmami, ze spotkania z ich realizatorami i aktorami.

— A co zmieniło się dla uczestnika Festiwalu?

— Mam wrażenie, że ci którzy przyjechali na Festiwal mają przede wszystkim możliwość uczestniczenia w nim poprzez niezliczoną ilość projekcji najnowszych filmów. Chodzi o to, żeby zachowali wspomnienia z Festiwalu jak najlepsze, żeby to nie były tylko wspomnienia związane z wielkim napięciem, jakie towarzyszy im przez cały dzień spotkań, wywiadów, ale żeby czuli, że uczestniczą w Wielkim Święcie Kina.

— Czy zainteresowanie środków masowego przekazu jest duże?

— Co roku obecność środków masowego przekazu jest wielka. Dość chyba powiedzieć, że w 1986 roku mieliśmy w Cannes prawie 3300 dziennikarzy i 47 ekip telewizyjnych. Biorąc pod uwagę liczbę dziennikarzy jest to druga impreza cykliczna po Igrzyskach Olimpijskich.

— Czy mógłby pan ocenić tegoroczny Festiwal?

— Jeszcze przed rozpoczęciem Festiwalu wiedziałem, że będzie to wyjątkowy rok w historii kina. Kiedy z około 300 nadesłanych filmów trzeba było nam się zdecydować na 20 do przeglądu konkursowego, to naprawdę mieliśmy trudności z wyborem, gdyż było dużo filmów dobrych i bardzo dobrych. Mogę powiedzieć, że przyjęcie filmów przez publiczność i krytyków potwierdziły moje zdanie.

— Czy ma pan czas podczas trwania festiwalu, aby uczestniczyć w projekcjach filmów?

— Prawie wszystkie prezentowane filmy widziałem już przed festiwalem i bardzo mi się podobały.

— Czy preferuje pan jakiś rodzaj kina?

— Nie mogę powiedzieć, że lubię szczególnie jakiś gatunek czy też narodowość. Oglądając film zwracam uwagę na talent, jakość, styl realizatora oraz na zawartość myślową filmu i jego znaczenie. Kieruję się tym również przy wybieraniu filmów do Cannes i mam nadzieję, że będąc tu, oglądając 2-3 filmy dziennie uczestnicy Festiwalu mogą dowiedzieć się, co się dzieje w kinematografii światowej.

— Za rok odbędzie się jubileuszowy, 40 Festiwal w Cannes, czy przygotowuje pan z tej okazji jakieś dodatkowe imprezy?

— Oczywiście. Na przyszłoroczny 40 Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Cannes przewidzieliśmy dużą ilość dodatkowych imprez. Między innymi postanowiliśmy przerwać Festiwal na jeden dzień i od północy do północy świętować jubileusz. Prosimy każdą kinematografię, każdy kraj, kino polskie również, aby właśnie na ten dzień przygotowało coś o sobie. Chcielibyśmy, aby była to prezentacja, na przykład, osiągnięć kina polskiego, tego czym był film polski w ciągu ostatnich 40 lat.

Rozmawiała: MARIA CHARRIERE-WŁODARSKA

ze str. 1

Festiwal Krzysztofa Materny

i da kontrę tradycyjnemu śpiewaniu i analogicznej formule koncertu.

— *Wiesz stary, wszyscy czekają, że w tym roku, to ja dopiero pokażę, a ja tymczasem: cha, cha, cha! Ojej, mój brzuch.*

Mieczysław Szcześniak nie odstępuje swojej nauczycielki i opiekunki Krystyny Prońko.

Dlaczego w „Premierach" właśnie ci wykonawcy i te piosenki? Takie podstawowe pytanie zadawało sobie wiele osób oglądających festiwal. Kilka wyjaśnień na ten temat złożyła tuż przed koncertem jego reżyserka i prezenterka Barbara Borys-Damięcka:

— *Z ponad stu utworów komisja kwalifikacyjna wybrała do wykonania na festiwalu 24 piosenki. Tyle mieściło się w czasie przeznaczonym na koncert premier. Wykonawców proponowali autorzy piosenek albo realizatorzy koncertów. Mając gotowy materiał przystąpiłam do opracowywania scenariusza. Punktem wyjścia był układ całego programu pod względem atrakcyjności. Głównie chodziło mi o to, żeby koncert miał dobre tempo i zmienny nastrój, chroniący widownię przed znużeniem i aby zapowiedzi, wejścia i wyjścia wykonawców nie powodowały dłużyzn. Scenariusz uwzględniał także efekty świetlno-kolorystyczne i to jakie będą kolory, w którym momencie koncertu i punkcie scenografii „malowanej" światłem. Pracę z wykonawcami zaczęłam wcześniej w Warszawie. W ich trakcie zajmowałam się sprawą interpretacji, dykcji, aranżu. W amfiteatrze jest za mało czasu na próbowanie koncertów. Nie mieszczą się w nim wszyscy wykonawcy. Byłam przygotowana na trudne warunki pracy, ale nie przypuszczałam, że będzie to aż taka nerwówka.*

Pierwszy

KONCERT ROZCZAROWAŁ I ZASMUCIŁ,

zarówno jury (nie przyznało głównej nagrody), krytyków (orzekli, że to festiwal chybiony) i publiczność (w swoich reakcjach była tu nader oszczędna). Nie było w „Premierach" ani jednego przeboju, za to słuchaliśmy piosenek typowo festiwalowych — dopracowanych i wydumanych, z których żadna nie porwała publiczności. Było kilka nieporozumień repertuarowych i wykonawczych, ale w koncercie wystąpili ci, którzy bardzo chcieli się tu pokazać, bo kilka zaproszonych do konkursu gwiazd zdecydowanie odmówiło. Nie podobał się w Opolu Michał Bajor w roli prezentera, który będąc zawodowym aktorem zagrał swoją rolę, pozostając na estradzie zimnym, oficjalnym i sztywnym, nie nawiązując ani przez moment kontaktu z publicznością, co nawet przy koncercie o charakterze konkursowym jest wskazane. Po nieciekawych „Premierach" część widzów szybko pobiegła do Teatru im. J. Kochanowskiego na koncert piosenki aktorskiej i kabaretowej.

Po tym koncercie oblecywano sobie najwięcej. Niektórzy przyjechali do Opola specjalnie dla śpiewających aktorów. Z uwagi na duże zainteresowanie koncertem powtórzono go dwukrotnie. Uczestnicząc w popołudniowych próbach, szybko zorientowałem się, że to nie to, że powtórzenie kilku dobrych piosenek z Wrocławia, nie przesądza o niczym a wydłużenie koncertu do 30 pozycji, czyni go zbyt długim i nużącym, tym bardziej, że

10 PIOSENEK WRAZ Z WYKONAWCAMI MOŻNA ŚMIAŁO WYRZUCIĆ.

Zanim TVP pokaże koncert, zwrócę uwagę Czytelników na kilka ciekawych indywidualności: Krystynę Tkacz (co za ekspresja!), Agnieszkę Kotulankę (jaki wdzięk!), Wojciecha Wysockiego (jakże dojrzał w ostatnich latach) i grupę Andrzeja Strzeleckiego (nie zatrasmiałą wypowiedź jego twórcy Andrzeja Strzeleckiego:

— *Przyjeżdżam do Opola rzadko nie bez przyczyny. Ja się do tak konstruowanej imprezy niespecjalnie nadaję. Jest tu zbyt wiele elementów, na które reżyser nie ma wpływu. Nie decydowałem w stopniu zadowalającym ani o repertuarze, ani o występujących w nim artystach. Moje zadanie polegało na zrobieniu koncertu konkursowego, w którym ludzie występują, żeby wygrać nagrodę. Z materiału, jakim dysponowałem można zrobić widowisko typu estradowego. Jeśli przyjdzie taki moment, że będę mógł zrobić program dla Opola w wystarczającym czasie i z ludźmi, z którymi chciałbym pracować, to chętnie przyjadę. A tak nie ze wszystkim co tu zostało pokazane mogę się identyfikować. Życie kabaretowe kwitnie u nas obecnie tak, żeby było z czego wybierać. Jest to konstatacja stanu sezonu, z wyrwami, lukami. Ale przyjmując warunki, na jakich się tu pracuje, wziąłem na siebie pełną odpowiedzialność za rezultat.*

— Kto więc narzucił Andrzejowi Strzeleckiemu takie a nie inne kryteria, według których musiał „robić" koncert piosenki aktorskiej i kabaretowej?

Koncert „Rock Non Stop Opole 86" zgromadził na widowni głównie młodzież i do niej był adresowany. Przed koncertem tak wypowiedział się jego twórca Wojciech Mann:

— *Chcieliśmy zrobić koncert omijający najbardziej znane zespoły rockowe, najczęściej prezentowane na estradzie, w radiu i telewizji. Nie dlatego, że ich nie lubimy, lecz aby pokazać ludzi stanowiących klamrę spinającą muzykę rockową w całości. Nie ukrywam, że prezentujemy zespoły popularyzowane przez redakcję „Non Stopu". Opole nie jest dobrym miejscem dla muzyki rockowej. Festiwal wypracował własną formułę — dość uniwersalną, najczęściej pokazuje muzykę środka — zadowalającą różne gusta. Trudno oczekiwać tu sukcesu rocka, mając świadomość, że za kilka dni zacznie się Jarocin, że wiele imprez już się odbyło, a publiczność jest zmęczona. Tu pokazuję muzykę rockową adresowaną nie tylko do fanów, ale i do publiczności, która nigdy*

KRYZYS ROCKA TRWA W POLSCE NADAL,

może bardziej się pogłębił, przeżywa go również branżowe pismo.

Mówi Janusz Kondratowicz, kierownik literacki koncertu „Debiuty — Opole 86".

— *Debiuty to zaledwie pierwszy krok na estradzie zawodowej, na której nie ma taryfy ulgowej. Nie jest to przejście na estradę profesjonalną, lecz przełamanie pewnej bariery psychicznej, w tym momencie śpiewa się już nie tylko dla własnej satysfakcji. Z opolskich „Debiutów" wyszło wielu interesujących wykonawców. Mają one za zadanie nie tyle nobilitować, co ukierunkować młodych wykonawców i uświadomić im, że przede wszystkim powinni się uczyć. Jestem przeciwny kreowaniu gwiazd i gwiazdorów na kilka miesięcy, bo to nic nie daje. Oszołomienie popularnością jednego utworu i powolne odchodzenie w cień zapomnienia. Chcielibyśmy, aby wyścig po trofea był tu na dalszym planie, na pierwszym — wspólne muzykowanie. Atmosfera wyczuwalna już podczas warsztatów jest elementem bardzo wychowawczym nie tylko w sensie dydaktycznym, ale i artystycznym.*

Koncert „Debiuty — Opole 86" zrealizowany przez młodego reżysera Wojciecha Kępczyńskiego był przygotowany solidnie, z pomysłem na roztańczoną rewię (udział baletu z Teatru Rozrywki w Chorzowie). W sumie był imprezą bezpretensjonalną, pełną humoru i radości śpiewania u młodych, bardzo młodych wykonawców Warto zająć się dalszą edukacją i promowaniem: Barbary Sikorskiej, Justyny Holm, Wojciecha Blonda, Piotra Salabera, Orkiestry Teatru „ATA" zespołami: „Hi-Hat", „Super Trio", „Studio 123" czy zdobywcami głównej nagrody im. Anny Jantar i statuetki „Karolinki" zespołu „Trans FOO-FOO".

Tylko co będzie z nimi dalej?

dodatku „Non Stopu", które można było kupić w stoisku „RUCHU" na terenie amfiteatru. Mann i Chojnacki (prowadzący koncert) rozdawali swoje pismo na prawo i lewo, a ja ze smutkiem stwierdziłem, że

ADAM KRECZMAR, POETA, AUTOR TEKSTÓW PIOSENEK,

syn znakomitego aktora, postać otoczona mgiełką tajemnicy. Napisał wiele tekstów piosenek, które stały się przebojami. Koncert jego piosenek miał specyficzny klimat. Był syntetyczny i zgrabny, o czym zadecydowali głównie doborowi wykonawcy, tu wyjątkowo zjednoczeni i przyjaźni dla siebie: Majewska, Rodowicz, Wojnowska, Geppert, Rinn, Jarocka, Dałkowska, Prońko, Tkacz, Bem, Kolberger, Zaucha i Pietrzak. Nie było już konkursowych emocji, był luz i radość ze wspólnego spotkania i zaśpiewania kilkunastu pięknych, mądrych tekstów lubianego autora.

Padał deszcz, amfiteatr pokrył się parasolkami, a mimo to publiczność prosiła o powtarzanie piosenek.. „*A wtedy nam będzie wszystko jedno*" śpiewał Jan Pietrzak.

KONCERT „OD OPOLA DO OPOLA"

cieszył się największym zainteresowaniem wśród opolskiej publiczności. Oglądałem go w dwóch edycjach, bo od wczesnych godzin rannych (próby) do ostatnich festiwalowych akordów (koncert). Rodził się chyba najtrudniej, w największym bałaganie i zdenerwowaniu, szczególnie wykonawców, godzinami wyczekujących na swoje kilka minut na estradzie. Wzbudził też najwięcej kontrowersji, które przede wszystkim dotyczyły zaproponowanego przez Krzysztofa Maternę (reżysera) zestawu piosenek i wykonawców, wziętych jakby z innego festiwalu. Zabrakło wyróżnionych, a tych była cała lista, co wywołało oburzenie zainteresowanych i nie tylko..

Na konferencji prasowej wykonawcy i twórcy piosenek (wyróżnionych) krzyczeli: — *Skandal! Parodia! Żądamy wyjaśnień! Kto za to odpowiada?*

Najkrócej wypowiedział się Wojciech Młynarski, bo zacytował słowa własnej piosenki (znanej z Opola):

— *Ludzie to lubią, ludzie to kupią, byle na chama, byle głośno, byle głupio.* Wojciech Młynarski bronił własnych interesów, bowiem do finałowego koncertu nie zakwalifikowano jego 2 piosenek: „*Odkryjemy miłość nieznaną*" (Alicja Majewska), „*Gram o wszystko*" (Ewa Bem), wyróżnionych w dwóch koncertach konkursowych. Młynarski był jednym z bohaterów tego festiwalu, wykonano wiele piosenek do jego tekstów, co zresztą też nie wszystkim się podobało. Był od początku zdenerwowany. Na próbie koncertu piosenki aktorskiej zwrócił głośną uwagę prowadzącemu Januszowi Rewińskiemu, aby nie stroił żartów ze zmarłego Jerzego Wasowskiego, na co obrażony Rewiński zszedł ze sceny i doradził Młynarskiemu, aby sam prowadził koncert.

— *Primabalerina* — krzyczał Młynarski.

— *Primabaleron* — odparował Rewiński. Młynarski opuścił salę prób.

Korcz, Prońko, a szczególnie Dorota Stalińska (nie biorąca udziału w festiwalu) krzyczeli na konferencji prasowej najgłośniej. Wszystkim chodziło o to — kto jest odpowiedzialny za układ programu ostatniego koncertu i dlaczego znalazły się w nim piosenki: Haliny Frąckowiak („Papierowy księżyc"), Maryli Rodowicz („Kasa seks"), grupy „Casus" („Majka i bajka"), Jana Pietrzaka („Pan mi mówi")? Niestety, nikt z obecnych na sali organizatorów i jurorów nie potrafił odpowiedzieć na te pytania.

SPRAWCY SKANDALU

czyli autora nowej formuły KFPP „Opole-86" Krzysztofa Materny nie było.

Milczeli też, o dziwo, dziennikarze, patrząc zdumieni na to, co rozgrywało się przed nimi na ich zebraniu, w uroczej kawiarni TPO „Musiałówka". Przebili się jakoś Janusz Atlas Zygmunt Kiszakiewicz i ktoś mniej znany, ale i tak ich zakrzyczano.

— *Chcemy Materny! Żądamy Materny! Sprowadzić go natychmiast!*

— *Proszę się uspokoić, pan Materna został wezwany do stawiennictwa na konferencję* — mówił przerażony Bernard Waleński, szef biura prasowego. — *Może tymczasem ochłodzą się państwo płonącymi lodami z orzeszkami?*

— *Gdzie jest Materna? Dlaczego go tu nie ma? Z kim mamy rozmawiać!?* — nie ustępowano.

Materna zjawił się w kawiarni po 40 minutach od czasu jego wezwania. Wcale nie speszony ostrymi pytaniami, odpowiedział krótko i dość jednoznacznie. Z jego wypowiedzi wynikało, że na wszelkie dyskusje jest już za późno. Owszem, za wszystko odpowiada sam, bo sam o wszystkim decydował. Z wymarzonej przez siebie formuły mógł zrealizować jedynie 40 procent swoich planów. Nie interesowało go robienie festiwalu dla festiwalu, lecz chciał, aby był on podsumowaniem roku w polskiej piosence. Dotychczas — zdaniem Materny — koncerty finałowe były zbiorem różnych utworów („Od sasa do lasa"), stylistycznie różnych i wrzucanych do jednego worka. Krzysztof Materna będąc jednoosobową radą artystyczną „Opola-86" wymyślił je po swojemu, do czego go uprawniono i nie zamierzał rezygnować z własnej koncepcji. Wyróżnionych nie zaprosił do koncertu „Od Opola do Opola", jakby podkreślając że był to festiwal KRZYSZTOFA MATERNY. I już!

PO CO TEN FESTIWAL?

— pytali wykonawcy, twórcy piosenek, dziennikarze i obserwatorzy. Krzysztof Materna tak odpowiedział na to pytanie w wywiadzie udzielonym dla Biuletynu Festiwalowego:

— *Formuła festiwalu nie została przeze mnie wydumana. Zrodziła się jako wypadkowa głosów krytyki prasowej, środowiska piosenkarskiego, publiczności. Znam upodobania estetyczne i osiągnięcia zawodowe ekipy realizatorów poszczególnych koncertów. Ich dorobek mieści się w moim widzeniu rozrywki, piosenki. Decyzje w sprawie doboru prezenterów pozostawiłem reżyserom koncertów. Jakie mają wyniknąć pożytki z tego festiwalu? Po pierwsze — opolski festiwal ma funkcje promocyjne i to w dwóch kategoriach — debiutantów oraz wykonawców zawodowych, a mało znanych. Ci drudzy mają szanse zaistnienia na festiwalowej estradzie, zostania zauważonymi i docenionymi we wszystkich koncertach. Po drugie — Opole ma nobilitować rzeczy wartościowe w polskiej piosence. Kiedy myślałem o festiwalu i jego formule, to również myślałem, że będzie on jednym z naczyń połączonych w systemie decydującym o kształcie rozrywki.*

Tyle Krzysztof Materna, człowiek sprawujący w 1986 roku w Opolu funkcję uprawniającą go do decydowania (jednoosobowego) o wszystkim, co do tej pory było domeną wieloosobowej rady artystycznej. Rzecz praktykowana u nas tylko na festiwalach muzyki poważnej: Maria Foltyn w Kudowie i Bogusław Kaczyński w Łańcucie.

Z dużym napięciem śledziła cała Polska

WALKĘ 10 WYKONAWCÓW O „GRAND PRIX"

czyli laur dla najpopularniejszego wykonawcy roku. Patrzyliśmy jak przegrywają tak popularne i wysoko notowane zespoły jak: „Rezerwat", „Republika", „Kombi", nawet ulubieniec „Opola-85" grupa „Bolter", odpadł Zbigniew Wodecki, któremu nie pomogły „Chałupy", Ireneusz Dudek z podstarzałą „Ziutą", „Papa Dance" (z playbacku!). Królowali Edyta Geppert i Krzysztof Krawczyk. Dzielą ich zaledwie dwa punkty.

Edytę Geppert lansowano w Opolu do upadłego. Brała udział w każdym (poza „Debiutami") koncercie. Sprawił to fakt, że na co dzień pozostaje pod opieką warszawskich ZPR-ów, których szefem artystycznym jest... Krzysztof Materna, dbający w Opolu o swoją podopieczną jak o nikogo innego. Sam talent nie wystarcza i sprawnie pracujący mąż-menażer również.

Krzysztof Krawczyk był w sytuacji odwrotnej, do Opola został zaproszony tylko dlatego, że jego dwie piosenki („*Za tobą pójdę jak na bal*" i „*Ostatni raz zatańczysz ze mną*") stały się szlagierami sezonu, wygrywając liczne plebiscyty. Artyście na każdym kroku towarzyszyła niechęć części widowni spowodowana niewłaściwym posunięciem taktycznym jego menażera Andrzeja Kosmali (dyrektora poznańskich ZPR-ów) podczas przygotowania do koncertu „Dinozaurów" w Sopocie. Nie pomogły wyjaśnienia obu panów na jednej z opolskich konferencji prasowych. Interpretacja faktów została wypaczona, wszyscy się tego uczepili i nikt nie chciał się podjąć sprostowania.

Nie pomógł nawet przyjazd z Danii do Opola perkusisty „Trubadurów" Mariana Lichtmana, który na próżno czekał na miejscu aż Ryszard Poznakowski zdecyduje się przyjechać lub odwołać przyjazd do Opola (planowany wspólny występ „Trubadurów" w koncercie „Od Opola do Opola"). Ryszard Poznakowski nie przyjechał w odwecie za Sopot.

W OPOLU NIE BYŁO GWIAZD

a na każdym liczącym się festiwalu piosenki muszą być gwiazdy. Spotkaliśmy w Opolu sporo znanych nazwisk, ale żadne z nich nie jaśniało blaskiem charakterystycznym dla gwiazd. Nikt nie był atrakcją i sensacją, wokół której pojawiłby się tłumek zaintrygowanych wielbicieli.

Może Maryla Rodowicz — cała w czerni, z charakterystyczną torbą plastykową i trzema jajkami, które podobno były rekwizytami, choć wyglądały jak prawdziwe. Może Ostrowska z resztą włosów ubarwionych na zielono, biegająca nerwowo raz w dół, a raz w górę amfiteatru. Może kulturalni i szalenie grzeczni chłopcy z „Kombi", którzy poza estradą trzymają się jak najdalej od siebie i twierdzą, że to dla higieny psychicznej. Może kolorowa, punkowa Gayga, za którą każdy się oglądał, bo było na co popatrzeć. Może wreszcie Krzysztof Krawczyk — z całą świtą przyboczną.

W tym roku nie było w Opolu odpowiedniej atmosfery, którą wspominają z rozrzewnieniem starzy bywalcy. Piosenkarze i zespoły oddaleni od siebie o rzędy ławek lub kilometry całe, zdawali się być dla siebie bardzo obcy lub wręcz nieprzyjaźni. Za kulisami wyczuwało się atmosferkę wzajemnej niechęci i wolę walki. A te pozorne uśmiechy, miłe słówka i gratulacje („*wspaniale, wspaniale, byłaś boska*"), a co się naprawdę za tym kryło?

BOHDAN GADOMSKI

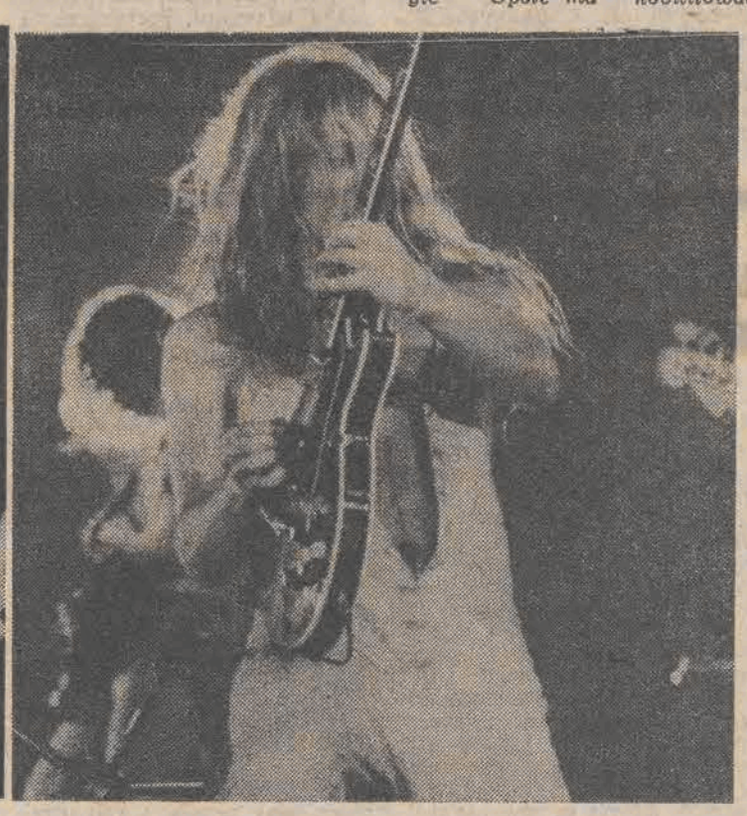

Polemiki • Listy • Opinie

NA ROWERACH DO GAŁKÓWKA

Mieliśmy parę dni wolnych od pracy, pogoda niezła, toteż wybraliśmy się na wycieczkę za miasto. Przez Mileszki. Z prawej strony smutna szarość Widzewa Wschodu. Z lewej stare osiedle domków jednorodzinnych. W Mileszkach stoi wśród drzew nad stawem, w którym taplają się kaczki, kościół z drewna poczerniałego. W Wiączynie Górnym malwy. Wieś zadbana.

Przejeżdżamy przez mostek nad strumykiem. Mostek już trzy lata jest remontowany. A po jednej i drugiej stronie drogi pnie chyba stuletnich lip powalonych przez wiatr albo przez drogowców. W Kolonii Gałkowskiej trochę ciężej pedałować, bo droga pnie się pod górę. Mijamy ceglaste słupy. Kiedyś była to brama do cmentarzyska.

— To był cmentarzyk niemiecki, ewangelicki — wyrzucam między jednym sapnięciem, a drugim. — Parę lat temu zatrzymałem się tutaj. Wchodzę na cmentarz, a tu wyrasta jak spod ziemi starowina jakiś i pyta, czy chcę coś ciekawego zobaczyć. Prowadzi mnie do grobu, płyta kamienna na wpół odsunięta, otwór zieje stęchlizną, wokół chaszcze, a nogi nieprzyjemnie się zapadają w miękką warstwę poszycia, próchna i ziemi.

— I co to było? — odsapuje dzielnie pod górę pedałująca panna Julka.

— Ano starowina opowiadał, że parę lat temu jacyś półciężarówką podjechali, obcy jacyś. Poszwargotali między sobą. Jeden poczęstował starowinę papierosem. Cmentarzyk obeszli dookoła, głowami kiwali i odjechali. A na drugi dzień płytę odsuniętą można było zobaczyć. Ot takie ludzkie bajanie o Niemcach z erefenu, co to trupy po nocy wykradali.

— A Niemcy tu w ogóle mieszkali?

— Mieszkali. Koloniści. Stąd nazwa wsi.

Na prawo, szaleńczym zjazdem na łeb na szyję droga pędzi do Brzezin, w lewo lekko pod górkę, zwodniczym zakrętem jedzie się na Duży Gałków. Na rozstajach stoi dworek szlachecki, ukryty za starym żywopłotem grabowym.

— O, patrz bociany! — krzyczy panna Julka i ręką pokazuje na słup z drutami elektrycznymi.

— Jak się ma siedemnaście lat, to się za bocianami nie ogląda — mruczę i głośniej — Kiedyś właścicielka biadoliła, że nawet bociany się stąd wyniosły, a teraz proszę, wróciły.

— Dawno to było?

— Będzie z piętnaście lat, jak mnie tu mój dziadek przywiózł. Gospodarze przyjęli nas bardzo miło. Żalili się, że dworek popada w ruinę, a taki przecież piękny i stary. Najpierw należał do Polaków, potem, po 1863 roku, car za karę odebrał go Polakom i jakiemuś carskiemu pułkownikowi go sprezentował. Ale oficer specjalnie się dobrami nie interesował, no i podupadły. Dopiero potem gdy dostali je Rola-Różyccy zadbano o stawy i o ziemię. Dziesięć lat temu byłem tu już bez dziadka. Właścicielka, staruszka, oprowadziła mnie po domu. Ciemno tam było i pusto. Co rusz to wyprzedawała jakieś meble, bo nie miała za co żyć. Potem posadziła mnie pod ogromną, starą lipą na podwórku i częstowała zsiadłym mlekiem.

Dalej, w stronę Gałkowa, wśród zboża powiązanego w snopki i kilku rachitycznych akacji wiejski cmentarzyk, a na nim spoczęli ostatni z Rola-Różyckich. Mijamy zadbaną plebanię. Przyjemnie patrzeć na framugi okien w kolorze dojrzałych wiśni na mlecznobiałej ścianie budynku.

Za przejazdem kolejowym zaczyna się Gałków. W czasie wojny partyzanci z AK wysadzili tu magazyny niemieckie z amunicją. Skręcamy w najstarszą uliczkę letniskowej części wsi — Krawiecką. Podobno, jak się tylko wojna skończyła, do mieszkającego tutaj znanego łódzkiego krawca, Andrzeja Brzezińskiego przyszedł sołtys z zapytaniem — czy można tę uliczkę Krawiecką nazwać, bo aż trzech krawców przy niej mieszka, a teraz po wyzwoleniu to my ulice z nazwami będziemy mieli w Gałkówku". Tę historię opowiada nam żona, nieżyjącego już pana Andrzeja, Irena. Siedzimy wśród starych dębów, przy jagodach z bitą śmietaną i słuchamy opowieści o przedwojennych czasach.

— Ten dom wybudowany był w sercu lasu — mówi. — Teraz nie ma tu gdzie palca wsciubić. Las pocięto działkami i każdy chociaż klitkę najmniejszą, ale chciał sobie postawić. Dawniej w soboty organizowałyśmy na polanie wspólne kolacje. Stoły ustawiałyśmy, każda przynosiła co miała w domu do zjedzenia, lampiony rozwieszałyśmy i łańcuchy z kolorowego papieru. Tańce były, a czasami chodziłyśmy do cukierni Feli Morandowej. Grało się tam w bilard, a mężowie fundowali nam czekoladę i kawę.

— Tu w lesie była cukiernia?

— Była i restauracja. Stasiu Moranda z Felą prowadzili restaurację. Były tam sale bilardowe, doskonałe jedzenie, a wyśmienite piwo w beczkach przywożono aż z Warszawy. Zakładali się panowie o te beczki, kto z kim wygra w turniejach bilardowych, oj zakładali.

Pani Irena mimo osiemdziesięciu trzech lat tryska energią, której mogłaby jej pozazdrościć niejedna dziewczyna. Radzi nam pojechać na stary cmentarz wojenny. Pojechaliśmy leśnym duktem.

— Co tak śmierdzi? — panna Julka jest dość obcesowa.

— Nie mam pojęcia — rozglądamy się dookoła. Fetor jest potworny.

Nieco dalej metalicznie połyskuje ciecz w kanale idącym przez środek lasu. Wygląda na to, że miejscowe osiedle wojskowe znakomicie, bo tanio, rozwiązało problem ścieków. Wypuszcza je po prostu do lasu.

Pośrodku polanki stoi ogromny głaz. Na nim napis w języku niemieckim: „500 dzielnych, rosyjskich żołnierzy padło w tym lesie w listopadzie 1914 roku. Oddali życie za ojczyznę".

— Jak to — nie rozumie panna Julka. — Niemcy postawili ten głaz dla pamięci Rosjan?

— Tak było. W 1914 roku pod Łodzią toczyły się bardzo ciężkie walki między armiami niemiecką i rosyjską, a i sama Łódź przechodziła wielokrotnie z rąk do rąk.

— I wróg wrogowi, w środku wojny, pomnik wystawił?

— A do tego w siedemdziesiąt lat po bitwie znalazła się jakaś polska ręka, która regularnie, odnawia ten napis. Jest bardziej czytelny niż na niejednym nagrobku na Starym Cmentarzu w Łodzi.

Rozglądamy się dookoła. Niewiele już pozostało z grobów, w których złożono kości rosyjskich żołnierzy. A może są wśród nich także Polacy tylko ubrani w obcy mundur?

— Jeszcze parę lat temu było tu ogrodzenie — wspominam — teraz pozostały pochylone kamienne słupy, a groby wrastają w ziemię.

ANDRZEJ BETULSKI

WSTYD PRZED DZIEĆMI

Po przeczytaniu felietonu w „Odgłosach" z 12 lipca 1986 roku pt. „Tara i Tarka", postanowiłem napisać, ponieważ nie zgadzam się ze spostrzeżeniami Zenona Porowatego o filmie pt. „Opowieści o wydrze Tarka". Pisze autor, że bardzo lubi oglądać filmy o zwierzętach, że mają bardzo duży wpływ na wychowanie społeczeństwa w duchu współżycia z przyrodą, dla jej poszanowania i uświadomienia człowiekowi, że jest tylko cząstką przyrody, a nie jej panem. Co do tego zgadzam się całkowicie.

Chwali Zenon Porowaty również telewizję, za pokazywanie tego rodzaju filmów na antenie. Dzięki jej chociaż za tyle, bo uważam, że filmów przyrodniczych w telewizji powinno być więcej, niekoniecznie kupowanych za dewizy. Mamy w kraju bardzo dobrych operatorów filmowych, którzy parają się filmem przyrodniczym, co można było zauważyć na Przeglądzie Filmów Przyrodniczych. Niestety, Polska Telewizja pokazuje ich bardzo mało, nawet nie wszystkie filmy nagrodzone.

Napisał Zenon Porowaty, że film był nieporozumieniem i z tym nie zgadzam się. Z filmu tego dowiedzieć się można sporo o życiu tych sympatycznych ssaków. Ale Zenon Porowaty uważa, że sceny polowania powinny być wycięte z tego filmu. Chciałby oglądać filmy przyrodnicze bez scen drastycznych, o beztroskim życiu zwierząt, podziwiać piękno flory i fauny i uważa, że tylko takie filmy mogą nauczyć widza szacunku dla przyrody. Nie chce przyjąć do wiadomości, że życie zwierząt jest takie a nie inne, czasami bardzo okrutne, a to okrucieństwo w głównej mierze bierze się z bezmyślności i głupoty człowieka. I ten film właśnie to pokazał.

Aby skutecznie chronić przyrodę, trzeba dane zagadnienia pokazywać kompleksowo, nie tylko okres godów i odchowanie potomstwa, ale również to, co jest największym zagrożeniem dla danego gatunku. Uważam, że sceny polowania są potrzebne w tym filmie, bo jak autor pisze: „Owszem sporo dowiedziałem się o życiu wydr, ale i o okrucieństwie ludzi". I to jest prawda i dlatego nie mogę zrozumieć, dlaczego autor uważa, że te sceny powinny być usunięte z filmu. Największym wrogiem dla wydry jest niestety, człowiek, bezmyślny człowiek, a to trzeba piętnować. Reżyser właśnie to chciał pokazać w filmie i uważam, że udało mu się znakomicie. Sceny okrucieństwa mają swoją wymowę i w ten sposób można skuteczniej dotrzeć do świadomości widza niż sielskimi i anielskimi scenami z życia przyrody.

Niestety, Zenon Porowaty nie chce przyjąć tego do swojej świadomości, zaprzecza swoim słowom, które sam skreślił na początku, i mimo nich uważa, że człowiek jest panem przyrody i pokazywanie bezmyślnego prześladowania zwierząt dla niego jest urągające. Wspomniał autor o dzieciach i martwi się, że oglądając ten film nauczyły się okrucieństwa. Nie jestem o tym przekonany. Natomiast sądzę, że Zenonowi Porowatemu jest po prostu wstyd przed tymi dziećmi z głupoty i bezmyślności ludzi dorosłych.

ZYGMUNT ŚWIĄTKOWSKI

Bardzo to uprzejmie ze strony Zygmunta Świątkowskiego, że zechciał podzielić się swoimi uwagami, tym bardziej że nie zgadza się z moimi poglądami. Myślę jednak, że jest to niezgoda pozorna. Nie będę ukrywał, że jestem już zmęczony nadmiarem okrucieństwa i zła w filmie czy telewizji. Nie będę też ukrywał, że tęsknię za dobrą komedią, bo ciągle mało mamy śmiechu, choć — wbrew pozorom — jest się z czego śmiać. Rozumiem też, że okrucieństwo pokazywane w filmie przyrodniczym może — i odgrywa — rolę wychowawczą, budzi niechęć do ludzi głupich i okrutnych. Musi być jednak zachowana w tym miara. Wszystko, co miarę przekracza, może — i tak się też często dzieje — wywoływać skutki wręcz przeciwne. W moim przekonaniu coś podobnego stało się w omawianym filmie o wydrze Tarka. Okrucieństwo człowieka stało się jakby rzeczą samą w sobie. I boję się, że nie odgrywa takiej roli, jaką temu przypisuje mój polemista. Takie jest moje odczucie. Nie wszyscy muszą się z tym zgadzać. Każdy odbiera film na swój sposób. I bardzo dobrze. Jeśli się mylę, w moim odczuciu, tym lepiej dla przyrody.

ZENON POROWATY

BEZLITOŚNIE DEMASKOWAĆ I KARAĆ ŁOBUZÓW!

Z przyjemnością i zaciekawieniem słucham porannych „Sygnałów dnia". Koledzy z radia potrafili dotrzeć do milionów słuchaczy oferując im nie tylko wpadające w ucho piosenki i melodie, ale również ciekawe informacje z kraju i ze świata. Kawał dobrej radiowej roboty. Niestety w piątek 25 lipca 1986 r. słuchając wywiadu na temat najbardziej aktualny, czyli, jak i za ile latem wypoczywamy, mocno się zdenerwowałem. Dziennikarz dawał przykłady dobrej pracy wielu ośrodków campingowych, które w odróżnieniu od biur podróży oferują najtańszy pobyt wśród wody i zieleni. Ze zgrozą jednak wysłuchałem wiadomości, że jednak zdarzają się godne napiętnowania przypadki. Otóż w jednym z campingów, w ciągu nocy grupa rozwydrzonych osobników zniszczyła 18 misek w umywalniach i w ubikacjach. Tylko tyle! Bez podania miejscowości, a przede wszystkim skąd przyjechała ta grupa łobuzów, gdzie oni pracują, czy uczą się.

I tu mam pretensję do radiowego dziennikarza. Wiadomość podana została w sposób beznamiętny, tak jakby to była rzecz raczej zwykła. Jako obywatel PRL, który parę godzin przed tym z dużą satysfakcją wysłuchał w radiu przemówienia sekretarza KC PZPR Józefa Baryły, wygłoszonego na II plenum, a który w sposób jasny i niedwuznaczny zapowiedział ogólnonarodową walkę z patologią społeczną, domagam się wrócenia na antenie do tej sprawy. Chcę znać nazwiska łobuzów, dowiedzieć się kto był kierownikiem tej „wycieczki" i kto był jej sponsorem. Ale nade wszystko interesuje mnie, jaką ponieśli karę i czy w pełni już teraz pokryli szkody. Jeśli się tego nie dowiem, w wątpliwość poddam zgodność słów z czynami ludzi odpowiedzialnych za ład i porządek!

ADAM BIEŃKOWSKI

W POCIĄGU

Niedawno wyjeżdżałem na urlop i korzystałem z usług PKP na dość znacznym odcinku, bo z Łodzi aż do Jeleniej Góry. Na początku uderzyło mnie to (do czego nie byłem przyzwyczajony), że wagony pociągu podstawione dla podróżnych były dość czyste, a informacja kolejowa nawet uprzejmie podawała, które wagony i w jakim miejscu składu pociągu jadą do Jeleniej Góry i Kudowy, jako że skład pociągu miał się rozdzielić we Wrocławiu. Pociąg odjechał o wyznaczonym rozkładzie i przybył na miejsce niemal o określonym rozkładem czasie. Miłą niespodzianką było umieszczenie papieru toaletowego w toaletach wagonów (co też przypisuję na korzyść poprawy warunków jazdy).

Nie sposób jest także nie pochwalić kierowców autobusów PKS za sprzyjanie łódzkim harcerzom obozującym w Strużnicy, którzy zatrzymywali swoje wozy przy drodze wiodącej do obozu tak, aby harcerze jadący autobusem nie potrzebowali nadkładać drogi z oddalonej o kilka kilometrów wsi. Jak mi mówiła zastępca zgrupowania harcerskiego hufca Łódź-Polesie dhna hm. Barbara Zytka, wypadki niezatrzymywania się przy tej drodze należały do rzadkości.

Droga powrotna należałaby także do przyjemnych — schludne wagony, papier toaletowy itp. — gdyby nie zachowywanie się wracających z wczasów i wakacyjnych wędrówek pasażerów. Po kilku godzinach jazdy „zabrakło" nagle papieru w toalecie, prawdopodobnie dlatego, że ktoś przypomniał sobie o występujących brakach tego papieru w Łodzi. Niektórzy z pasażerów, młodzi chłopcy, raczyli się piwem rozbijając o ściany butelki. Niestety, działalność tych agresywnych młodzieńców nie została ujarzmiona ani przez obsługę pociągu, ani też służby porządku publicznego Wrocławia, Oleśnicy, Zduńskiej Woli czy też Sieradza. A szkoda. Inaczej musiałbym stwierdzić, że obecnie podróżuje się po kraju niemal w luksusie.

MIECZYSŁAW KOZAK

OLECKO

Pociąg wlecze się z Łodzi do Olecka od godzin wieczornych do rana. Dworzec kolejowy, na którym wysiadamy nie różni się do innych. Taki jak w Ełku, Giżycku, Kętrzynie. A jednak! Z zieleni wyrastają spadziste czerwone dachy domów. Inny świat. Po przejściu ulicą Włodzimierza Lenina wchodzimy na ogromny rynek miasteczka — największy w Polsce a być może jeden z największych w Europie.

Centrum tego placu pokryte zielenią i kwiatami. Uwagę przykuwa niemal centralnie położone wzgórze otoczone tarasami, które pokrywają ponad stuletnie drzewa liściaste. A na koronie tego malowniczego wzgórza znajduje się w budowie kościół — w miejsce zburzonego podczas wojny. Od tego ogromnego placu-rynku biegną wszystkie ulice usytuowane prostopadle, zgodnie z prawem lokacyjnym — magdeburskim.

Przechodzimy po przekątnej rynek i schodzimy uliczką w dół w kierunku rzeki Legi łączącej dwa jeziora: Jezioro Oleckie — nad którym położone jest miasteczko z jeziorem Małe Olecko. Z prawej na wzgórzu stoi usytuowany zameczek z czerwonej cegły wybudowany w miejsce myśliwskiego, w którym miał przebywać król Zygmunt Stary. A po przejściu mostka drewnianego położonego nad rozlewiskiem wyjścia z jeziora rzeki Legi wchodzimy w park.

Ośrodek wodny, szkoła nurków, wśród topoli pawilony i domki kempingowe, a dalej pomost i skocznia o strzelistych wieżyczkach, wypożyczalnia sprzętu pływającego. W pięknej scenerii drzew wyrasta gigantyczny pomnik Zwycięstwa zbudowany z kamienia, wokół którego leżą stadiony i boiska do piłki nożnej, (wokół którego biegnie tor hippiczny) do kosza, siatkówki, jak też korty tenisowe. A wszystko to położone w parku spacerów i wypoczynku. Piękno krajobrazu wokół jeziora i czystość wody zapewniają komfort wypoczynku.

Na pytanie zadane znanej łódzkiej plastyczce Marcie Rak-Podgórskiej — Dlaczego powraca do Olecka? padła odpowiedź: *W Olecku gościłam kilka razy. A w wyniku mego pobytu powstało kilka płócien. Jedno z nich zdobi moje mieszkanie. Zaułki z budowlami pruskiego muru oraz czerwone dachy wprowadzają w świat zadumy nie tylko plastyka — malarza, dając mu natchnienie.*

Przeprowadzone rozmowy z wczasowiczami potwierdzają tę opinię. Henryka Kosiorowska ze Zgierza powiedziała: — *Byłam z rodziną na wypoczynku w górach, nad morzem zatłoczonym wczasowiczami i turystami, ale nigdzie tak nie odpoczywam po trudach pracy. Jest w tym małym miasteczku coś, co fascynuje, przyciąga. Jestem już drugi raz, przyjadę kolejny. Ludzie, u których mieszkam są mili i życzliwi. Odczuwamy tylko brak programów rozrywkowym. Oczekujemy na wycieczki do Giżycka, Kętrzyna — „kwatery Hitlera" oraz do zwiedzenia pięknych parków krajobrazowych Suwalszczyzny.*

Podobne opinie wyrażają inni. Dodają tylko: tego spokoju i piękna nie da się wyrazić słowami. To trzeba zobaczyć, przeżyć.

STANISŁAW CHODUNAJ

ODPOWIEDŹ BĘDZIE UDZIELONA

W nawiązaniu do pisma Redakcji (bez numeru) z dnia 27 czerwca, otrzymanego w dniu 1 lipca 1986 r. w sprawie zarzutów zawartych w listach skierowanych do redakcji przez Ob. Ob. Henrykę Bińkowską i Tomasza Dusznikiewicza — Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej uprzejmie powiadamia, iż ze względu na konieczność zebrania wyczerpującej informacji, udzielenie odpowiedzi zarówno zainteresowanym, jak i redakcji nastąpi w terminie późniejszym, tj. do dnia 15.VIII.1986 r.

Łódź, 1986-07-29.

Główny Lekarz Wojewódzki
lek. RYSZARD MACHNIKOWSKI

Kto odkrył Brigitte Bardot?

Niedawno opublikowano w Londynie pamiętniki słynnego reżysera filmowego ROGERA VADIMA. Obszerne wyjątki przedrukował londyński „Sunday Times". Naszych Czytelników z pewnością zainteresują fragmenty przedstawiające, jak Vadim poznał i poślubił młodziutką Brigitte Bardot.

1.

Na ogół wierzy się, że to ja odkryłem Brigitte Bardot. Lecz ściślej jest to tak, że Brigitte nie była tworem niczyjej wyobraźni, że ani jej rodzice, ani społeczeństwo, ani jej zawód nie docierali do głębi jej natury i że była zdolna do szokowania, uwodzenia, kreowania nowego stylu i że wreszcie eksplodowała w skali światowej jako nowy symbol seksu. Nagość mniej lub bardziej skrywana, zawsze występowała w filmie. Radosna i niewinna nagość Brigitte podniecała i równocześnie irytowała ludzi. Poza tym, nie musiała się rozebrać, aby szokować hipokrytów i moralistów.

Podczas moich wojen z cenzorami po nakręceniu „I Bóg stworzył kobietę" jeden z nich skrytykował mnie za scenę, w której Brigitte, według niego, wstaje z łóżka kompletnie naga na oczach swojego młodego szwagra. Musiałem mu tę scenę jeszcze raz wyświetlić. Widać było Brigitte wstającą z łóżka, ubraną w pulower zakrywający ją do połowy ud. Cenzor głęboko wierzył, że widział ją nagą i do dziś jest przekonany, iż przed projekcją zamieniłem scenę przedstawiającą Brigitte nagą na inną, w ubraniu.

Nie odkryłem Brigitte Bardot. Pomagałem jej, po prostu, rozkwitać, uczyć się rzemiosła pozostawiając ją wierną sobie. Byłem w stanie uchronić ją przed skostnieniem taśmowych ról, które w filmie, podobnie jak w innych zawodach, często niszczą najbardziej oryginalne talenty ustawiając je w szeregu. Przede wszystkim ustawiałem ją w roli, która była doskonałym połączeniem fikcji artystycznej z osobą, jaką była w realnym życiu. W pewnym momencie kariery wszystkich wielkich gwiazd pojawia się cudowna rola, która wydaje się tylko dla nich stworzona. Dla Brigitte była to Juliette w „I Bóg stworzył kobietę". Grała dotąd w 16 filmach. Jej siedemnasty uczynił ją gwiazdą.

2.

Gdy pierwszy raz spotkałem Brigitte, natychmiast uderzyła mnie jej postawa, noszenie się i linia jej talii. Trzymała głowę jak królowa. Byłem również pod wrażeniem jej sposobu postrzegania rzeczy. Wielu ludzi patrzy, lecz nie wie jak widzieć.

Byłem w paryskim mieszkaniu reżysera filmowego Marca Allegreta. Przysłuchiwałem się, jak pani Bardot tłumaczy reżyserowi, że wprawdzie pogodziła się z zachcianką swojej córki-uczennicy i z jej pragnieniem spotkania z człowiekiem o tak wielkim talencie, ale nie widzi kariery filmowej jako przyszłości Brigitte. Jednakowoż, oczarowana przez Marca, pani Bardot pozwoliła sobie na ustępstwo i zgodziła się, żeby Brigitte mogła poddać się próbie ekranowej do filmu „Les Lauriers sont coupés".

Podczas prowadzonej konwersacji Brigitte wpatrywała się w młodego mężczyznę, którego Marc przedstawił jako swojego współpracownika. „Roger Vadim... pisze scenariusze. Jest leniwy, zawsze spóźniony i o wiele za bardzo utalentowany jak na swój wiek". Brigitte wybuchnęła spontanicznym i zaraźliwym chichotem, którym mnie natychmiast urzekła. Później przyznała się, że z jej strony również była to miłość od pierwszego wejrzenia.

3.

Zdecydowałem się, że będę pomagał Brigitte w odrabianiu lekcji z literatury w tych dniach po szkole, w których nie chodzi na balet. Późnym popołudniem pewnego poniedziałku Brigitte przyszła do mieszkania, które wynajmowałem pod numerem 44 na Avenue de Wagram. Położyła książki na krześle w przedpokoju i poszła za mną do salonu.

— Przypominasz mi Sophie, powiedziałem do niej.

Sophie było imieniem bohaterki powieści, którą napisałem w czasach młodzieńczych. Była podobna do Brigitte jak siostra. Była wrażliwa i dynamiczna, romantyczna, okropnie sentymentalna i bardzo nowoczesna w swoich poglądach na seks i w awersji do reguł moralności drobnomieszczańskiej. Mówiła jak Brigitte. Rozmowę pełną obrazowości i impertynencji przyprawiała wyrażeniami brutalnymi, lecz nigdy wulgarnymi. Później, gdy Brigitte przeczytała moją książkę, imię Sophie stało się jej pseudonimem. Przez wiele lat wszystkie swoje listy miłosne podpisywała „Sophie".

Zatopiła się w jednym z foteli w salonie i zaczęliśmy pracować nad sceną, o której nauczenie się ją prosiłem. Natychmiast zrozumiałem, że Brigitte jest niezrównana i że jej błędy mogą z czasem okazać się zaletami. Bardziej potrzebowała ogrodnika niż profesora. Była tym gatunkiem kwiatu, którego się nie ścina, ale podlewa.

Brigitte miała bardzo osobliwą pamięć. Potrafiła zapamiętać całą scenę w ciągu zaledwie kilku minut przed odegraniem, lecz całkowicie zapominałaby tekst wyuczony poprzedniego dnia, gdyby potem była czymś pochłonięta lub zdenerwowana. Gdy powiedzieliśmy sobie do widzenia po pierwszej sesji tygodniowej, wiersze znała na pamięć. Po dwóch dniach nie pamiętała ani słowa.

Pewnego dnia siedziała na podłodze ubrana w spódniczkę i wełnianą kamizelkę, z plecami przy ścianie, przyciskając do siebie kolana. Uczyniłem wysiłek, aby patrzeć tylko w jej oczy; ale ona wiedziała, że byłem podniecony i że jej pożądam. Powiedziała: „Czy nie przeszlibyśmy na ty?". W angielskim nie ma delikatnych niuansów w używaniu słowa „ty", lecz we francuskim ta poufała forma jest zarezerwowana dla rodziny, przyjaciół i kochanków. Przyjąłem jej pytanie jako to, czym było — zawoalowanym wyznaniem miłości. Jednakże nie mogłem wykorzystać sytuacji. Spotykaliśmy się, aby pracować i byłem ostrożny w doprowadzaniu do zdegradowania korepetycji, które przekształciłyby się w sesje flirtu. Nie byłem wówczas ani sławą, ani reżyserem lecz fakt, że byłem scenarzystą i asystentem Marca Allégreta nie mógł nie wywrzeć wrażenia na młodej, 15-letniej dziewczynie. Sesje z Brigitte na Avenue de Wagram wypełnione były śmiechem i tłumionymi uczuciami.

4.

Nadszedł dzień próby ekranowej. Brigitte okazała się bardzo zdolna. Nie miała żadnego doświadczenia aktorskiego, lecz sprawiała wrażenie jakby występowała przed kamerą przez całe życie. Byłem dumny ze swojej uczennicy, a Marc był wzruszony. Było już ciemno, gdy zabrałem ją taksówką do domu. Trzymała mnie za rękę. Przed wyjściem z taksówki szybko pocałowała mnie (pierwszy raz) w usta.

Producent nie był przekonany, czy Brigitte nadaje się do tego kawałka. Nie podobały mu się jej zęby. Uważał, że podczas uśmiechu zbyt szeroko otwiera usta. Została odrzucona, a filmowanie „Les Lauriers sont coupés" odłożone na czas nieokreślony. Znów nie widziałem Brigitte przez kilka tygodni. Było dla mnie niemożliwe branie pod uwagę układów z bardzo bliską dziewczyną, której wolno być poza domem do północy tylko raz w miesiącu. Lecz serce kieruje się własną logiką. Nie mogłem zapomnieć Brigitte i zachowywałem w pamięci delikatne doznanie, gdy jej wargi dotknęły moich. Zdecydowałem się zatelefonować. Wbrew moim oczekiwaniom, Brigitte była tą osobą, która podniosła słuchawkę. Musiała znaleźć wytłumaczenie, aby wykręcić się od wyjazdu z rodzicami na weekend.

— Przyjedź natychmiast, powiedziała. Jestem z przyjaciółką i moją babcią. Jest ona tutaj na dyżurze do poniedziałku.

Zasiedliśmy w salonie i dyskutowaliśmy z przyjaciółką o nudnych sprawach. Byłem od nich tylko jakieś pięć lat starszy, lecz cały świat oddzielał mnie od tych nieletnich, które nigdy nie zaznały wojny i które żyły w dobrze zorganizowanej rzeczywistości we wszystkim zdając się na rodziców.

Gdy przyjaciółka wyszła, mogliśmy mówić o rzeczach bardziej osobistych, lecz babcia, która potraktowała swoją rolę przyzwoitki bardzo poważnie, zjawiała się w salonie co trzy minuty czyniąc wszelką intymność niemożliwą. O 7.30 babcia jasno dała do zrozumienia, że nadszedł czas, abym sobie poszedł. Wziąłem Brigitte w ramiona i pocałowaliśmy się. Był to długi, namiętny pocałunek zbyt szybko przerwany krokami babki schodzącej do holu.

5.

Zacząłem co tydzień składać wizyty w domu Brigitte przy ulicy de la Pompe. Po miesiącu pozwolono mi zabrać Brigitte na film zaczynający się o ósmej. Tymczasem doprowadziliśmy do perfekcji nasz system tajnych spotkań. Naszą kwaterą główną było małe umeblowane studio na drugim piętrze przy ulicy de Bassano, niedaleko Pól Elizejskich, wynajęte dla mojego najlepszego przyjaciela przez jego ojca. Jedynym umeblowaniem był duży dywan, krzesło i mały stół. Była trzecia, gdy Brigitte przyszła na naszą pierwszą tajną randkę.

— Powinnam być na lekcji algebry, powiedziała, ale wybrałam wolność.

Przytuliła się do mnie i rozchyliła wargi. Pocałowaliśmy się i znaleźliśmy się na dywanie. Brigitte ostrzegła mnie, że jest dziewicą. Pigułka była nieznana, a ja, żeby jej nie przestraszyć, nie powiedziałem, że nigdy jeszcze nie kochałem się z dziewicą. Nigdy dotąd nie posuwaliśmy się poza flirt. Pierwszy też raz musiałem ją rozbierać. To, co zwaliło mnie z nóg, gdy ujrzałem ją nagą, było nadzwyczajną mieszanką niewinności i kobiecości, zuchwałości i nieśmiałości. Absolutnie nic nie wiedziała o miłości fizycznej, chociaż wydawała się w pełni dojrzałą kobietą. Wzięła mnie w ramiona, a ja delikatnie zacząłem się z nią kochać.

Chwile, które mogliśmy ukraść dla siebie szybko mijały, nadszedł już czas rozstania. Ubierając się Brigitte zapytała:

— Czy jestem teraz prawdziwą kobietą?

— Nie całkiem — odparłem. — Tylko 25-procentową.

Spojrzała na mnie z półuśmiechem Mony Lisy marząc o tych 75 procentach w zapasie. Podczas drugiej wizyty ona mnie rozbierała. Szybko nauczyła się reguł gry i już stosowała je na swój własny sposób. Gdy skończyłem, moja głowa spoczęła na jej piersiach. Znów zapytała:

— Czy teraz jestem prawdziwą kobietą?

— Około 55-procentową, powiedziałem.

Podczas trzeciej wizyty oznajmiłem:

— Sto procent!

Brigitte klasnęła w ręce, podbiegła do okna i otworzyła je najszerzej jak mogła.

— Jestem prawdziwą kobietą — zawołała do przechodniów na ulicy, którzy obserwowali ją zaszokowani.

W swoim entuzjazmie zapomniała o jednym szczególe: była kompletnie naga.

6.

Brigitte nie uważała seksu za synonim grzechu. Nie miała urazów psychicznych związanych z uprawianiem miłości. Była Ewą w raju, zanim Bóg stracił cierpliwość. Była Ewą szczególnie utalentowaną w kochaniu się, która wydawała się wiedzieć o tym wszystko, nawet bez potrzeby uczenia się. Nigdy nie myślała o nagości jako o tajnej broni, która umożliwiła kobietom uwodzenie mężczyzn. Nagość jest niczym więcej, ani mniej, niż uśmiech albo barwa kwiatu.

Niemniej jednak były sprzeczności w jej naturze. Ta kobieta, ze swoim seksem, ze swoim ciałem, była nade wszystko romantyczna. Wrażenia, atmosfera i sceneria były dla niej tak samo ważne, jak przyjemność seksualna. Potrzebowała słów zapewnienia i łagodnego światła świec do uczynienia jej orgazmu poetyckim.

Chociaż posiadała dar niewierności zawsze cierpiała, gdy miała romans z więcej niż jednym mężczyzną w tym samym czasie. Nigdy nie rozwiązała konfliktu pomiędzy wiernością a pragnieniem pójścia za podszeptami swojego ciała i serca. Więcej niż raz była bliska śmierci wskutek tego konfliktu.

W ciągu naszych tajnych spotkań narażaliśmy się na coraz większe ryzyko. Zima 1950/51 w Megéve, miejscowości wypoczynkowej, niemal skończyła się dla nas katastrofą. Miejscem zbrodni był przyjemny drewniany hotelik La Negevan. Podłogi straszliwie skrzypiały, a na nieszczęście mój pokój był właśnie nad sypialnią państwa Bardot. Szczegół topograficzny, z którego kompletnie nie zdawałem sobie sprawy.

Obudzony skrzypieniem desek pan Bardot nagle rozpoznał śmiech swojej córki i pobiegł do mojego pokoju. Zaalarmowani na czas odgłosem jego kroków w okamgnieniu wyskoczyliśmy przez okno lądując w miękkim śniegu piętro niżej. Dziesięć minut całkiem nago w śniegu po szyję jest interesującym przeżyciem, lecz nie takim, które mógłbym polecać. Tylko młodość i gorączka emocji uchroniły nas od zapalenia płuc. (...)

7.

Ślub odbył się w grudniu 1952 roku, po osiemnastych urodzinach Brigitte. Ślubu cywilnego udzielono nam w merostwie XVI dzielnicy. Panna młoda miała na sobie bluzkę i spódnicę, a pan młody niebieski garnitur. Lista gości na kolacji była ograniczona do rodziny i bliskich przyjaciół. Około jedenastej poszedłem zobaczyć Brigitte, która odpoczywała w swojej sypialni. Już w łóżku i naga, pod bardzo romantycznym, lekko przezroczystym szlafroczkiem promieniała szczęściem. Usiadłem na krawędzi łóżka.

Pół godziny później pan Bardot wszedł do sypialni.

— Mój drogi Vadimie — rzekł. — Sądzę, że nadszedł już czas, abyś wyszedł.

— Wyjść? Dokąd? — zapytała Brigitte.

— Przygotowaliśmy łóżko w stołowym.

— Ale my jesteśmy po ślubie, tato. Czy nie pamiętasz? Ty podpisywałeś i mama podpisała i świadkowie podpisali. Powiedziałam „tak" i Vadim powiedział „tak". Jestem mężatką, tato... mężatką... kobietą zamężną.

— Będziesz mężatką jutro, po ślubie kościelnym, odparł pan Bardot.

— Zwariował! — krzyknęła Brigitte. — Tato oszalał! Ratunku!

— Nie zachowuj się jak dziecko — powiedział pan Bardot. Jego twarz stawała się niebezpiecznie napięta. Usta były tylko cienką, prostą kreską.

— Dziś rano była tylko formalność, przez którą musieliśmy przejść. Nic więcej. Vadim zostanie twoim mężem jutro w kościele.

Twarz Brigitte zapłonęła od gniewu. Była bliska wybuchu. Poprosiłem pana Bardot, aby zostawił mnie z nią na moment. Zabrała szlafrok i pobiegła do łazienki.

— Ubiorę się i pójdziemy sobie stąd.

Złapałem ją, gdy mnie mijała i przytrzymałem w ramionach. Po kilku pocałunkach zaprzestała walki. Tłumaczyłem, że nie czas walczyć teraz z rodzicami. Sytuacja była trochę śmieszna, lecz tylko od nas zależało, czy wykażemy się rozsądkiem. Nie chciałem, aby żałowała dnia, w którym pod wpływem nagłego impulsu zerwała z rodziną. Wreszcie uspokoiła się i nawet zaczęła się śmiać.

— Masz więc zamiar spędzić swoją noc poślubną samotnie w pokoju stołowym? To mogłoby się tylko tobie przydarzyć.

Spędziłem zatem swoją noc poślubną na wąskiej sofie będąc mężem najpiękniejszej z paryżanek, którą gazety pewnego dnia opiszą jako niezniszczalne marzenie każdego żonatego mężczyzny.

8.

W czasie między naszym ślubem a latem 1954 roku Brigitte grała w komedii filmowej francuskiego reżysera i w melodramatycznym serialu we Włoszech. Więcej nauczyła się aktorstwa, gdy przyjęła dwie małe role — w „Akcie miłosnym" Anatole'a Litvaka z udziałem Kirka Duglasa oraz w „Królewskich miłostkach w Wersalu", których reżyserem był Sacha Guitry. Znalazła teraz swój własny styl. Rozpuściła włosy na ramiona lub wiązała je w „koński ogon" z grzywką, wydekoltowane bluzki ujawniały kształty jej piersi i ramion. Akcentowała swoją szczupłą talię i nosiła spódniczki powyżej kolan odsłaniające koronkowy rąbek halki. Nie nosiła pończoch do swoich niedbale wyglądających sandałków. We Francji, Włoszech i Anglii, faktycznie we wszystkich niesocjalistycznych krajach europejskich, na wsi i w miastach krążyły tysiące zdjęć Brigitte.

Istniało jednak niebezpieczeństwo, że na zawsze pozostanie gwiazdką. Mogła dostawać główne role jedynie w miernych filmach przeciętnych reżyserów. Dwa z tych filmów były jednak w Europie szlagierami kasowymi. O ile przyniosły pieniądze producentom, o tyle niewiele przyczyniły się do poprawienia obrazu Brigitte jako aktorki. Wielcy reżyserzy proponowali jej tylko małe role.

Zgodziłem się wówczas na przeróbkę scenariusza dla reżysera Michela Boisronda, pierwszego asystenta René Claira stawiając warunek, że Brigitte zagra główną postać. Po raz pierwszy Brigitte zagrała rolę napisaną dla niej. „Panna Pigalle" była sukcesem, po którym nastąpiła komedia zatytułowana „Proszę, panie Balzac". Brigitte przesunęła się w klasyfikacji z gwiazdki na bardziej honorowy status aktorki „uznawanej przez banki".

9.

W naszym małżeństwie nic się nie zmieniło oprócz tego, że opuściła nas namiętność. Zanik naszej miłości nie miał nic wspólnego z zawodowym sukcesem Brigitte. Sława jej nie odmieniła. Mój brak namiętności dokuczał jej i zaczęła już szukać w oczach innych mężczyzn oznak nowego i gwałtownego pożądania. Straszliwie dręczyła ją ta potrzeba. Kochałem ją. Była moją żoną, córką i kochanką. Mieliśmy momenty intensywnej rozkoszy seksualnej, lecz nie mogłem być świętym Gralem, jak ona by chciała. Wiedziałem, że jeśli nie pofolguje swojemu nie kończącemu się wyszukiwaniu nowych mężczyzn, to umrze. (...)

Teraz, kiedykolwiek jestem z Brigitte Bardot, doznaję wciąż uczucia, że przebywam z dzieckiem, które potrzebuje opieki. Do tej pory nie dokonała się w niej przemiana dzieciństwa w dojrzałość. Gdy dziesięć lat temu rzuciła film, większość ludzi nie uwierzyła. Wiedziałem jednak, że była w tym szczera. Była niezdolna do stania się, nawet na ekranie, prawdziwie dorosłą osobą z rzeczywiście dorosłymi problemami. Nie zdradziła małej Brigitte. Powiedziała do widzenia i pożegnała się niskim ukłonem, chociaż był na to jeszcze czas.

Otworzyła mały butik w Saint Tropez przy uliczce prowadzącej z portu do cytadeli — kącik o wymiarach 4 na 6 metrów wypełniony ozdóbkami i drobiazgami: stary rower, pocztówki, fotosy z autografami (nie daje autografów, ale sprzedaje stare), sukienka z filmu „I Bóg stworzył kobietę", baletki z filmu „Bardzo prywatna sprawa". Tylko Brigitte mogła zrzec się pozostałości po swojej legendzie na rzecz publicznej, jak na pchlim targu.

Sklep umożliwia jej pomaganie przyjaciółkom, które tam próbują zarobić na życie. Wątpię, czy przynosi on jej chociaż skromny zysk. Pomysł z takim butikiem wskazuje na wagę, jaką przywiązuje do lat swojej sławy. Zrzuciła maski, jakie przybierała wbrew sobie. Jest to tak, jak mówi ludziom: „Mój wizerunek jako aktorki był tylko snem. Przyjdźcie. Cieszcie się tymi kawałkami materiału, które zwykliście zdzierać z mojego ciała. Nie są one wiele warte. Mówię wam. Ceny zniżone".

Niemniej jednak minister kultury Jack Lang wręczył Brigitte Legię Honorową. Bezczelna dziewczyna, dla której nie było żadnego tabu musiałaby wybuchnąć śmiechem, gdyby ktokolwiek powiedział jej, że pewnego dnia minister da jej medal, jaki jedynie dostojni obywatele i dobrzy żołnierze otrzymują.

Dzisiaj Brigitte ma 50 lat. Ciekaw jestem, co ona o tym sądzi.

Zhou Enlai wytrawny chiński dyplomata

Od Genewy, gdzie nie podawano sobie rąk, do spotkania na lotnisku w Pekinie

1.

W przeddzień inauguracji ChRL, którą przewodniczący Mao miał proklamować 1 października 1949 z wieży na placu Tiananmen, Zhou Enlai po raz ostatni pojawił się w Sekcji Spraw Zagranicznych. Wykonaliśmy to, co nam powierzono — powiedział zebranym wokół niego rozradowanym młodym ludziom. Od jutra zaczniemy już formalnie naszą regularną działalność dyplomatyczną. Udzielił im szczegółowych instrukcji, jak należy nazajutrz rano doręczyć tekst przemówienia przewodniczącego Mao, wraz z pismem przewodnim, ambasadom lub konsulatom w Pekinie czy Nankinie. Pozostawił następnie pieczęć ze swym podpisem, by podstemplować pismo, które miało być przekazane korpusowi dyplomatycznemu. Był to pierwszy dokument wysłany w imieniu Zhou Enlaia jako ministra spraw zagranicznych. W pierwszych dziesięciu latach pełnienia funkcji premiera dzierżył on jednocześnie portfel ministra spraw zagranicznych, następnie po dwóch wielkich konferencjach międzynarodowych w Genewie i Bandungu, przekazał to stanowisko marszałkowi Chen Yi. Mimo to jednak pozostał dominującą osobistością w dziedzinie chińskiej polityki zagranicznej przez cały okres rewolucji kulturalnej, aż do dnia, w którym wydał ostatnie tchnienie. Żaden inny przywódca chiński nie odcisnął tak głębokiego piętna na froncie dyplomatycznym kraju...

Grupie początkujących pracowników służby zagranicznej powiedział on, że naród musi zawsze być gotowy do toczenia dwóch rodzajów wojen: wojny na miecze i wojny na słowa. Ta druga dotyczy zarówno słowa mówionego, jak i pisanego. Wojna na miecze nie musi zdarzać się co roku, ale tak jak po dniu przychodzi noc, tak toczyć się będzie codziennie stała wojna na słowa. Ci, którzy pracują w dziedzinie dyplomacji, winni stale staczać swe bitwy za pomocą słów i odnosić z nich sukcesy. Ostrzegł ich przed trudnościami i przeszkodami na tej drodze, gdyż nowe Chiny, w odróżnieniu od starych, nie mają na tym polu żadnych precedensów i muszą torować sobie nowe ścieżki. Wskazywał, że naśladowanie praktyki państw kapitalistycznych jest rzeczą wykluczoną, ale podejście stosowane przez dyplomację radziecką też nie pod każdym względem odpowiada Chinom. Już dość wcześnie premier wprowadził pewien dystans między Chinami a ZSRR, gdyż Zhou Enlai, w odróżnieniu od dość sporej liczby ówczesnych czołowych działaczy, nie był dogmatykiem, który traktował każdy szczegół radzieckiego doświadczenia jak świętość. Znał on Związek Radziecki, przestudiował w młodości sprawy tego kraju, ale reagował na to, jak bije puls w jego ojczyźnie i zajmował stanowczą postawę, gdy chodziło o to, co jest dobre dla Chin...

Pierwszym zetknięciem się Zhou Enlaia z komplikacjami dyplomacji na wielką skalę była Genewska Konferencja w sprawach Korei i Indochin w 1954 roku. Była to także pierwsza po wojnie koreańskiej konferencja międzynarodowa, która sprowadziła do stołu rokowań dwóch głównych protagonistów: Chiny i USA. Uwaga świata zwrócona była na Pałac Narodów, gdzie dwaj śmiertelni wrogowie szykowali się do podjęcia problemów Azji i do skrzyżowania ze sobą mieczy. Wszystkie oczy skierowane były na Zhou Enlaia, który przywiózł ze sobą stuosobową delegację. Dla zgromadzonego w Genewie korpusu prasowego przedmiotem ogromnego zainteresowania było to, jak zaprezentuje się na światowej scenie ów słynny wirtuoz, nazywany „chińskim Tellevrandem"...

Sekretarz stanu John Foster Dulles, szef delegacji USA, był rzecznikiem twardej linii i prowadził w stosunku do Chin politykę wrogości i nieuznawania. Chociaż członkowie obu delegacji stykali się w praktyce codziennie w sali konferencyjnej, Dulles nie zezwalał swej delegacji na żadne kontakty z Chińczykami. Zalecał przybranie lodowatego wyrazu twarzy, gdy jakiś członek delegacji USA natrafi w hallu lub kuluarach na Chińczyka, a sam zaprzysiągł, że nie wejdzie z żaden kontakt z Chińczykami, chyba że jego samochód zderzy się z pojazdem Zhou Enlaia. Nic dziwnego, że w tej mroźnej atmosferze krążyła uporczywa pogłoska o tym, że w czasie niespodziewanego spotkania w jednym z salonów Pałacu Narodów Dulles odmówił podania ręki Zhou Enlaiowi...

Dulles wyjechał z Genewy wkrótce po rozpoczęciu pierwszej sesji konferencji i przewodnictwo nad delegacją USA spadło na barki gen. Waltera Bedella Smitha, który w czasie wojny był szefem sztabu Eisenhowera... Zhou Enlai miał wrażenie, iż nie wszyscy w delegacji USA podzielają postawę Dullesa w stosunku do Chin i postanowił nawiązać bezpośredni kontakt z p.o. szefa tej delegacji.

Okazja nadarzyła się wkrótce. Wchodząc pewnego dnia do jednego z pomieszczeń Pałacu Narodów, Zhou Enlai dostrzegł Bedella Smitha, gdy ten nalewał sobie kawę do filiżanki. Podszedł prosto do stołu Amerykanina i wyciągnął rękę. Zaskoczony Bedell Smith wyraźnie nie był na to przygotowany, ale zareagował szybko. Trzymał w lewej ręce cygaro, a prawą pośpiesznie uniósł w górę filiżankę kawy, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że ma obie ręce zajęte. W każdym razie premier chiński przełamał lody. Odbyła krótką uprzejmą rozmowę, która zakończyła się tym, że szef delegacji USA pochwalił Chiny jako kraj starej i wielkiej cywilizacji i przekazał Zhou słowa uznania dla wspaniałego wkładu Chin na rzecz świata.

W jakiś czas po tym, Bedell Smith znalazł okazję, by wznowić nawiązany już kontakt osobisty. W dniu sesji końcowej... podszedł, by przywitać się z Zhou Enlaiem. Oświadczył, że konferencja była owocna i skorzystał ze sposobności, by przekazać wyrazy sympatii dla narodu chińskiego. Powiedział premierowi, jak duże wrażenie wywarł na nim jego takt dyplomatyczny i jak miło było mu zawrzeć z nim znajomość. Zhou Enlai odpowiedział na to pytaniem: „Czy nie ja pierwszy wyciągnąłem do pana rękę, gdyśmy się ostatnim razem spotkali?". Amerykanin był raczej zakłopotany tym przypomnieniem jego gierki z „zajętymi rękami" i usiłując śmiechem pokryć to uczucie, przed odejściem trącił lekko chińskiego premiera łokciem w ramię.

Dlaczego p.o. szefa delegacji USA nigdy nie zebrał się na tyle odwagi, by wymienić uścisk dłoni z premierem Chin? Było to dla delegacji chińskiej rzeczą zagadkową i dość długo jeszcze nie miała na to odpowiedzi. Dopiero znacznie później zagadka wyjaśniła się. John Foster Dulles, gdy był jeszcze w Genewie, wydał w tej sprawie zakaz: żadnego podawania ręki Chińczykom. Tłumaczy to owa niezrozumiałą żonglerkę Bedella Smitha z cygarem w jednym ręku a kawą w drugim, gdy Zhou Enlai poszedł do niego w trakcie pierwszego ich spotkania oraz owo szturchnięcie w ramię zamiast uścisku dłoni, w trakcie drugiego spotkania. Mimo całego swego sprytu dobrego prawnika z Wall Street, Dulles zapomniał dodać do swego zakazu jeszcze uzupełnienie: nie wolno szturchać w ramię...

Zalecenia Dullesa poniosły ostatecznie fiasko. Dzięki pośrednictwu brytyjskiego ministra spraw zagranicznych sir Anthony Edena, delegacja USA spotkała się z Chińczykami, by przedyskutować procedurę rokowań w sprawie repatriacji jeńców wojennych obu stron. Doprowadziło to w końcu do chińsko-amerykańskich rozmów na szczeblu ambasadorów, które okazały się rekordowym maratonem negocjacyjnym, trwającym z przerwami przez następnych 15 lat...

2.

Z długoterminowego punktu widzenia, ważniejsza (niż konferencja genewska) była w czerwcu 1954 podróż Zhou Enlaia do Indii i Birmy, podjęta w czasie przerwy w obradach genewskich, gdyż sformułowanie w trakcie tych wizyt Pięciu Zasad Pokojowego Współistnienia przyczyniło się do poszerzenia tego, o co Chiny cały czas walczyły, zjednoczonego frontu państw Trzeciego Świata przeciwko imperializmowi. Tych pięć zasad, powstałych z inicjatywy Zhou Enlaia, to: poszanowanie terytorialnej integralności i suwerenności, wzajemna nieagresja, nieingerencja w sprawy wewnętrzne drugiej strony, równość i wzajemne korzyści, pokojowe współistnienie. Ten pięciopunktowy przewodnik postępowania na międzynarodowej arenie legł u podstaw 10 Zasad, przyjętych następnie w 1955 roku na Konferencji w Bandungu, w Indonezji, będącej drugą wielką konferencją międzynarodową Zhou Enlaia...

Wiele spośród wygłoszonych 18 kwietnia, w dniu otwarcia konferencji (w Bandungu) przemówień nadało ton jej obradom: umocnić więzy solidarności przeciw imperializmowi w Azji i Afryce. Ale różnice ustrojów społecznych i ideologii politycznych plus wzajemna podejrzliwość i niezrozumienie, pobudzane i podsycane przez dawne mocarstwa kolonialne, groziły wbiciem klina między uczestników. Od początku nuta niezgody zakłócała dominujący motyw jedności i wspólnej sprawy. Kilku delegatów dało upust fali złorzeczeń o „groźbie komunizmu", „wywrotowej działalności", „braku swobód religijnych" itp. Tego rodzaju zniesławiające aluzje kierowane były pod adresem Chin. Na konferencji zapanowało napięcie. Sytuacja wymagała niezwłocznej odpowiedzi.

Ponieważ Chiny miały nazajutrz zabrać głos, Zhou Enlai postanowił rozdać przygotowany tekst przemówienia, które miało być wygłoszone na sesji popołudniowej. W krótkim, pozostałym do tej sesji czasie, napisał nowe, uzupełniające przemówienie, w którym odparł owe zawoalowane ataki... „Chińska delegacja — oświadczył z trybuny — przybyła po to, by dążyć do jedności, a nie szukać zwady. My, komuniści, nigdy nie wyrzekamy się naszej wiary w socjalizm ani też nie zaprzeczamy, iż socjalizm jest dobrym ustrojem. Jest jednak rzeczą bezcelową, by ktokolwiek zachwalał tu swą ideologię lub ustrój polityczny, gdyż różnice w tych dziedzinach istotnie istnieją między nami..."

Po wyjaśnieniu stanowiska chińskiego, Zhou Enlai przystąpił do odpierania zarzutów na temat braku swobód religijnych w Chinach i rzekomej „działalności wywrotowej". Obalił całkowicie te wymysły i zaprosił wszystkich delegatów uczestniczących w konferencji, by w dogodnym dla nich okresie odwiedzili Chiny i przekonali się na własne oczy, jak wygląda sytuacja w tym kraju. „Nie mamy żadnej bambusowej kurtyny — wskazał — ale są ludzie, którzy chcieliby zapuścić między nami zasłonę dymną..." Przez cały tydzień obrad konferencji, Zhou Enlai pracował praktycznie bez przerwy, pozwalając sobie na nie więcej niż 3 godziny snu na dobę. Było to jednak poświęcenie, które warto było ponieść, gdyż 10 Zasad, które włączały ducha, choć nie dosłowną treść Pięciu Zasad Pokojowego Współistnienia, uwieńczyło sukcesem konferencję i położyło kamień węgielny pod kodeks, którym kierować się miały kraje Azji i Afryki — później także Ameryki Łacińskiej — w swych dwustronnych i wielostronnych stosunkach. Historia na pewno nie pomniejszy jego (Zhou Enlaia) monumentalnego wkładu na rzecz narodów tego ogromnego regionu, który dziś nazywa się Trzecim Światem...

3.

Następnym po Bandungu posunięciem na wielką skalę na międzynarodowej arenie, podjętym przez Zhou Enlaia była podróż w 1956 roku, mająca poszerzyć horyzonty dyplomatyczne Chin, określona jako podróż „w poszukiwaniu przyjaźni, pokoju i wiedzy", która zaprowadziła go do 11 państw Azji i Europy. Był to okres, w którym Chiny planowały m.in. znaczny rozwój swego przemysłu naftowego. W każdym z odwiedzanych krajów Zhou interesował się szczególnie zwiedzaniem fabryk i rafinerii oraz ich urządzeń. Sądził, że Chiny mogą skorzystać z tych doświadczeń.

Najdłuższą jednak ze swych podróży zagranicznych, rekordową wśród premierów na świecie, odbył on w okresie od grudnia 1963 do lutego 1964 r. W jej trakcie złożył on wizyty w 14 krajach Azji, Afryki i Europy. W tej 72-dniowej podróży towarzyszył mu wicepremier i minister spraw zagranicznych, marszałek Chen Yi. Właśnie w trakcie pobytu na afrykańskim kontynencie, Zhou Enlai proklamował 8 Zasad, rządzących pomocą Chin dla innych krajów, wprowadzając w stosunkach międzynarodowych nową koncepcję, która niezwłocznie zyskała sympatię w krajach Trzeciego Świata, gdyż u podstaw jej leżał duch prawdziwej równości i bezinteresowności!...

Zhou Enlai więcej razy spotykał się z przywódcami Kremla, aniżeli którykolwiek inny z czołowych przywódców chińskich. Na początku lat pięćdziesiątych prowadził on rokowania ze Stalinem w Moskwie i utrzymywał później, że mimo wszystkich swych słabości i wad, Stalin był wielkim rewolucjonistą proletariackim. Bardzo oburzał go sposób, w jaki ów przywódca radziecki spotwarzany był przez swych następców i oświadczył im wprost, że ich polityka odstępuje od ortodoksyjnego marksizmu. W trakcie konfrontacji w Moskwie z Nikitą Chruszczowem, Zhou Enlai zakwestionował jego paternalistyczne roszczenie do przemawiania w imieniu międzynarodowego ruchu komunistycznego i napiętnował wulgarną ocenę, według której Stalin ponosił winę za wszystkie błędy ZSRR.

4.

W drugiej połowie 1956 dwa grożące niebezpieczeństwem wydarzenia wstrząsnęły Europą Wschodnią. Jednym z nich był wybuch demonstracji w Poznaniu, w Polsce, drugim powstanie w Budapeszcie, na Węgrzech. Do obu doszło na fali „destalinizacji", lansowanej uprzednio w lutym przez Chruszczowa i jego współpracowników. (Autorzy mają na myśli XX Zjazd KPZR). W Polsce był to tumult wewnętrzny, gdyż robotnicy poznańscy, rozgoryczeni sytuacją polityczną i gospodarczą, wyszli na ulicę, by dać upust swemu niezadowoleniu, podczas gdy na Węgrzech była to sprawa odmienna, po prostu kontrrewolucja, nasilona jeszcze przez akcję wrogich sił z zagranicy. Tamtejsi demonstranci nie tylko występowali przeciwko legalnej władzy, ale postanowili obalić ją i wyciągnąć Węgry z Układu Warszawskiego. W obu wypadkach Chruszczow stracił nerwy, dokonując przesunięć wojsk Układu Warszawskiego, by zagrozić Polsce użyciem siły i wysyłając wojska radzieckie na Węgry, by zdławić powstanie...

W czasie swej wizyty w Moskwie w styczniu 1957, której celem było przedyskutowanie z przywódcami radzieckimi sytuacji w Europie Wschodniej, Zhou Enlai skrytykował ich za ingerencję w wewnętrzne sprawy Polski i za posługiwanie się groźbami po to, by pokrzyżować każdą, sprzeczną z kremlowską, linię polityczną lub działalność.

Z Moskwy udał się do Polski i na Węgry. W Budapeszcie, gdzie działa jeszcze nie umilkły, nie uchylił się on przed ryzykiem, wygłaszając przemówienie na wiecu aktywu, na którym poddał krytyce kierownictwo radzieckie za to, że nie przestrzega równości narodów i proletariackiego internacjonalizmu. To budzące emocje przemówienie spowodowało, że starym węgierskim komunistom łzy popłynęły z oczu.

Polemika na temat podstawowych pryncypiów marksizmu-leninizmu wydobyła w 1960 roku na światło dzienne rozłam między Pekinem a Moskwą. Pod rządami Chruszczowa ZSRR posługiwał się naciskiem nie tylko w stosunkach między państwami, ale i między partiami. Stosunki chińsko-radzieckie, które już od pewnego czasu coraz bardziej się pogarszały, obecnie sięgnęły dna. Chruszczow... bez ostrzeżenia podarł na kawałki kilkaset porozumień i umów z rządem chińskim, wycofał cały radziecki personel zatrudniony przy budowie obiektów, wznoszonych w ramach pomocy i zastopował niezbędne dla Chin dostawy sprzętu. Co więcej, Moskwa zaczęła molestować Pekin, by spłacił długi, zaciągnięte w czasie wojny koreańskiej... Przywódca radziecki sądził, że trzyma Chiny za gardło, gdyż rok 1960 był dla rolnictwa chińskiego bardzo zły. Zawiodły zbiory, częściowo z winy błędnej polityki rolnej. Chiny przeżywały trudny okres.

Zhou Enlai, działając jako szef rządu i postępując w myśl instrukcji Mao Zedonga, zareagował na radziecki nacisk nasileniem walki polemicznej i pobudzaniem narodu do zjednoczenia wysiłków w celu przeciwdziałania skutkom szkód wyrządzonych przez ZSRR i klęski żywiołowe. W rezultacie sytuacja w następnym roku poprawiła się, zaś w październiku, gdy Zhou udał się na XXII Zjazd partii radzieckiej do Moskwy, Chiny wyszły z kryzysu gospodarczego.

XX Zjazd zaznaczył się tym, że znów obrzucono wymysłami Stalina. Nie tylko znieważono zmarłego przywódcę w czasie obrad, ale znieważono również jego sarkofag, który usunięto z Placu Czerwonego, a jego zwłoki bezceremonialnie pogrzebano ponownie w innym miejscu. Zhou Enlai zademonstrował Chruszczowowi i jego przyjaciołom, jakie stanowisko w tej sprawie zajmują Chiny. Udał się na czele delegacji chińskiej na Plac Czerwony i złożył wieniec w Mauzoleum Lenina. Następnie odszukał nowe miejsce spoczynku Stalina i złożył przed nim bukiet kwiatów z napisem — stanowiącym akt wyzwania skierowany do tych, którzy bezcześcili jego pamięć — głoszącym: „J. W. Stalinowi, wielkiemu Marksiście-Leniniście". Uczyniwszy to, Zhou Enlai opuścił Zjazd radziecki, nie czekając na jego zakończenie i odleciał do domu.

5.

Gdy „The Spirit of 76", samolot wiozący prezydenta Richarda Nixona wylądował 21 lutego 1972 r. na lotnisku pekińskim, rozpoczynając to, co Nixon pod koniec swej wizyty określił jako „tydzień, który zmienił świat", 73-letni Zhou Enlai stał prosto jak struna w pobliżu pomostu, aby powitać pierwszego w historii przywódcę rządu amerykańskiego, który postawił stopę na ziemi chińskiej... Świat nie wiedział o tym, że sprawiający wrażenie osłabionego premier, był w istocie człowiekiem bardzo chorym. W 1966 roku przeszedł zawał serca, a obecnie cierpiał na raka...

Jednak w tygodniu od 21 do 28 lutego 1972 brał udział w jednej po drugiej sesji rozmów i rokowań z amerykańskim prezydentem, nie okazując żadnych oznak znużenia także wtedy, gdy wieczorami towarzyszył Nixonowi na różnych imprezach towarzyskich... Jako współarchitekt, wraz z Mao Zedongiem, nowego podejścia do USA, poświęcił całą uwagę wizycie Nixona, podejmując się rokowań w imieniu swego kraju w sprawach wielkich i małych oraz koordynując działania, których punktem kulminacyjnym było podpisanie w ostatnim dniu pobytu prezydenta w Chinach słynnego Komunikatu Szanghajskiego.

Podpisany 28 lutego 1972 r. ten wspólny komunikat jest unikalnym dokumentem w historii stosunków międzynarodowych, rezultatem długiego i wytężonego procesu rokowań i wzajemnych ustępstw. Jest on unikalny, gdyż w odróżnieniu od większości porozumień międzynarodowych, posługujących się banałami i ogólnikami, by przesłonić różnice, których nie udało się przezwyciężyć w trakcie rokowań, ten wspólny komunikat wymienia i definiuje zarówno rozbieżne, jak i zgodne opinie obu stron. Punkty sporne i różnice zdań są poprzedzone formułą, iż „strona USA stwierdziła" lub też „strona chińska stwierdziła", w który to sposób każda ze stron zwracała uwagę na te sprawy, co do których nie osiągnięto porozumienia...

ChRL i USA, znajdujące się od dwóch dziesięcioleci w stanie wrogości, obrzucały się nieprzerwanie inwektywami od czasu wojny koreańskiej. Podczas gdy ChRL piętnowana była w amerykańskich środkach przekazu jako „międzynarodowi zbrodniarze" lub „bandyci", to USA postawione zostały przez prasę chińską w roli „arcyimperialistów". Tak więc, zanim ów historyczny uścisk dłoni amerykańskiego prezydenta i chińskiego premiera w południe 21 lutego 1972 mógł stopić całą tę sztywność i jałowość lat wrogości, wiele trzeba było zdziałać po obu stronach Pacyfiku, by ową wrogość, nagromadzoną w ciągu lat złagodzić i by wyjaśnić narodom konieczność otwarcia nowej karty w stosunkach chińsko-amerykańskich.

Rada Ministrów pod kierownictwem Zhou Enlaia wykorzystała tę okazję, by poinformować wszystkie warstwy społeczeństwa o zmieniających się czynnikach w sytuacji międzynarodowej, które wymagały zbadania nowej drogi, wiodącej Chiny do wznowienia kontaktów z USA. Doniesienia zawierające istotne informacje na temat USA przekazane zostały kanałami rządowymi na wszystkich szczeblach wraz z wyjaśnieniami, dlaczego prezydent Nixon, tak dotąd często obrzucany obelgami w prasie chińskiej, zaproszony został do Chin jako gość rządu. Trudno byłoby bowiem nie przygotowanemu przeciętnemu człowiekowi przełknąć tego rodzaju afront, jak widok „arcyimperialisty" przyjmowanego bankietem w gmachu OZPL.

Już zresztą na jakiś czas przed dojściem do skutku zbliżenia chińsko-amerykańskiego zaszła pewna zmiana w trójkątnych stosunkach między Chinami, ZSRR i USA. Przez zmasowanie miliona żołnierzy na granicach z ChRL, ZSRR doprowadził napięte stosunki między obu krajami do kulminacyjnego punktu. Ówczesne okoliczności umożliwiły zmianę w stosunkach ChRL-USA od kolizji do ugody. Tak więc, zmiana kierunku nie była zbyt trudna...

Jeśli przyjęcie zgotowane gościom amerykańskim było na początku przyciszone, po prostu uprzejme i poprawne, to należało tego oczekiwać. Nie można było z dnia na dzień przekształcić 20 lat pełnej wyzwisk wrogości. Co więcej, oba kraje, które wówczas nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych, nie uznawały się oficjalnie. Ale nie zaplanowane spotkanie przewodniczącego Mao z amerykańskim prezydentem w kilka zaledwie godzin po jego przybyciu, stanowiło oczywistą oznakę, że gości czeka ciepłe przyjęcie. Relacje w środkach przekazu o przebiegu pierwszego dnia i wieczoru wizyty Nixona oraz zamieszczenie nazajutrz przez RENMIN RIBAO, organ partyjny, sześciu zdjęć (gości) wskazywało, że będzie ono przyjaźniejsze niż oczekiwano. Zhou Enlai dbał też o to, by podwyższać stopniowo temperaturę i w odpowiednim czasie dać wyraz nastrojom. Doszło do tego w trzeci wieczór wizyty Nixona. Zhou Enlai zabrał gości amerykańskich ze sobą do nowo wybudowanej hali sportowej, by obejrzeli pokazowe mecze ping-ponga. Wypełniający szczelnie halę tłum widzów często bił brawo, nieraz owacyjnie, zarówno po to, by oklaskiwać sportowców, jak i powitać honorowych gości premiera. Na oczach widzów przybyła do Chin pierwsza oficjalna delegacja USA...

Zhou Enlai zawsze dbał o to, by żaden z jego gości nie miał powodu uskarżać się, że go „pominięto". Sekretarz stanu William Rogers nie był włączony do osób towarzyszących Nixonowi w czasie spotkania z Mao, a w doniosłych rozmowach obok prezydenta zasiadał jego doradca w sprawach bezpieczeństwa narodowego, Henry Kissinger. Pod koniec wizyty premier złożył specjalną wizytę Rogersowi. Był to wzruszający gest, typowy dla Zhou Enlaia, doskonałego dyplomaty.

■

Z wydanej w Pekinie książki pt. „Zhou Enlai — A Profile".

AGATHA CHRISTIE

(2)

Morderstwo na balu maskowym

Szósty wicehrabia Cronshaw był mężczyzną mniej więcej pięćdziesięcioletnim, uprzejmym w obejściu, o przystojnej, acz rozwiązłej twarzy. Sprawiał wrażenie podtatusiałego rozpustnika z ospałą, pozerską manierą. Od razu nabrałem do niego niechęci. Powitał nas dosyć wylewnie, oświadczył, że wiele słyszał o niepospolitych umiejętnościach Poirota, i oddał się całkowicie do naszej dyspozycji.

— Wiem, że policja robi co może — powiedział.

— Jednak obawiam się, że tajemnica śmierci mojego siostrzeńca nie zostanie nigdy odkryta. Cała ta sprawa wydaje się być wyjątkowo zagadkowa.

Poirot obserwował go uważnie. — Czy nie wiadomo panu nic o ewentualnych wrogach, jakich mógł mieć pański siostrzeniec?

— Nie miał żadnych wrogów. Jestem tego pewien — urwał, a potem mówił dalej — jeśli chciałby pan o coś zapytać...

— Tylko o jedno — głos Poirota był pełen powagi. — Kostiumy — czy odtworzono je dokładnie z tych pańskich figurek?

— W najdrobniejszych szczegółach.

— Dziękuję, milordzie. To wszystko, o czym chciałem się upewnić. Życzę panu dobrego dnia.

— I co dalej? — zapytał Japp, kiedy szliśmy już pospiesznie ulicą. — Muszę zameldować się w Yardzie."

— Bien! Nie będę pana zatrzymywać. Mam jeszcze pewną drobną sprawę do załatwienia, a potem.

— Tak?

— Dochodzenie zostanie zakończone.

— Co? Nie mówi pan tego poważnie! Pan wie, kto zamordował lorda Cronshaw?

— Parfaitement!

— Kto to był? Eustace Beltane?

— Ach, mon ami! Zna pan moje małe słabostki! Zawsze lubię pociągać za sznurki do ostatniej chwili. Ale niech się pan nie martwi, wyjawię wszystko, gdy nadejdzie pora. Nie chcę, aby mnie przypadł ten zaszczyt — to będzie pańska sprawa, pod warunkiem, że pozwoli mi pan rozegrać denouément w mój własny sposób.

— Zgoda — powiedział Japp. — To znaczy, jeśli denouément w ogóle nadejdzie! Trzeba przyznać, że z pana prawdziwy milczek, co? Poirot uśmiechnął się. — No dobrze, do zobaczenia. Jadę do Yardu.

Japp odszedł wolnym krokiem, a Poirot zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

— Dokąd teraz jedziemy? — zapytałem z żywą ciekawością.

— Do Chelsea, porozmawiać z Davidsonami.

Tu Poirot podał adres kierowcy.

— Co myślisz o nowym lordzie Cronshaw? — spytałem.

— A co mówi mój dobry przyjaciel Hastings?

— Instynkt mi podpowiada, żeby mu nie ufać.

— Myślisz, że to taki „niedobry wujek" z bajki, eh?

— A ty nie?

— Ja? Ja myślę, że w stosunku do nas był uprzedzająco grzeczny — wymijająco odpowiedział Poirot.

— Bo miał ku temu powody!

Poirot popatrzył na mnie, pokręcił ze smutkiem głową i wymamrotał coś, co brzmiało mniej więcej jak: „Żadnej metody".

Davidsonowie mieszkali na trzecim piętrze czynszowej kamienicy. Poinformowano nas, że pan wyszedł, ale pani Davidson była w domu. Służący wprowadził nas do długiego, niskiego pokoju, ozdobionego krzykliwie kolorowymi wschodnimi draperiami Powietrze było duszne i ciężkie, wokół unosiła się przemożna woń kadzideł. Mrs. Davidson nadeszła niemal natychmiast — była niską blondynką, której kruchość mogłaby się wydawać wdzięczna i wzruszająca, gdyby nie przebiegły i wyrachowany blask jej jasnoniebieskich oczu.

Kiedy Poirot wyjaśnił, co łączy nas ze sprawą, pani Davidson ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Biedny Cronch — i biedna Coco! Oboje tak bardzo ją lubiliśmy; jej śmierć to dla nas prawdziwy cios. O co chcecie mnie zapytać? Czy naprawdę muszę jeszcze raz opowiadać o tej okropnej nocy?

— Och, madame, proszę mi wierzyć, że nie wystawiałbym pani uczuć na szwank bez potrzeby. Co więcej, inspektor Japp udzielił mi już wszystkich niezbędnych informacji. Pragnąłbym jedynie obejrzeć kostium, który miała pani na sobie tamtego wieczora.

Na twarzy pani domu pojawił się wyraz zaskoczenia, a Poirot gładko ciągnął dalej:

— Pojmuje pani, madame, ja pracuję według reguł systemu przyjętego w moim kraju. My zawsze rekonstruujemy zbrodnię. Niewykluczone, że będę w stanie stworzyć prawdziwe representation, a jeśli tak, to zdaje sobie pani sprawę, że kostiumy będą nader istotne.

Mrs.Davidson wciąż patrzyła na nas podejrzliwie.

— Naturalnie, słyszałam o rekonstruowaniu zbrodni — powiedziała — ale nie wiedziałam, że przywiązuje pan tak wielką wagę do szczegółów. Zaraz przyniosę mój strój

Wyszła z pokoju i szybko powróciła, niosąc stos eleganckiego, biało-zielonego atłasu. Poirot wziął od niej materiał i przyjrzał mu się uważnie. Oddając kostium, złożył głęboki ukłon.

— Merci, madame! Jak widzę, miała pani nieszczęście postradać jeden z tych zielonych pomponów, o ten, tutaj, na ramieniu.

— Tak, oderwał mi się na balu Podniosłam go i poprosiłam lorda Cronshaw, żeby go dla mnie przechował

— To było już po kolacji?

— Tak.

— Niedługo przed tragedią, być może?

W oczach pani Davidson pojawił się ledwo widoczny cień niepokoju, odparła jednak prędko:

— Och, nie — to było na długo przedtem. Właściwie prawie zaraz po kolacji.

— Rozumiem. No cóż to wszystko. Nie będę już więcej dezorganizował pani czasu. Merci, madame.

— Taak — powiedziałem, kiedy wychodziliśmy z domu. — To by tłumaczyło zagadkę zielonego pomponika.

— Nie byłbym tego tak pewny.

— Jak to o co ci chodzi?

— Widziałeś, jak oglądałem ten kostium, Hastings?

— No to co?

— Eh bien, ten brakujący pompon nie został oderwany, jak powiedziała ta kobieta. Wręcz przeciwnie, został odcięty, przyjacielu, odcięty nożyczkami. Wszystkie nitki były tej samej długości.

— O Boże! — zawołałem. — To staje się coraz bardziej skomplikowane z każdą chwilą!

— Wręcz przeciwnie — odrzekł spokojnie Poirot — to staje się coraz prostsze z każdą chwilą.

— Poirot! — krzyknąłem — pewnego dnia zamorduję cię! Twój zwyczaj uważania wszystkiego za zupełnie proste jest denerwujący w najwyższym stopniu!

— A czy kiedy wyjaśniam, mon ami, czyż wtedy wszystko nie jest naprawdę zupełnie proste?

— Tak; właśnie to jest takie irytujące! Wydaje mi się wówczas, że sam mogłem na to wpaść.

— Mógłbyś, Hastings, mógłbyś! Gdybyś tylko zechciał zadać sobie nieco trudu i popróbował uporządkować swoje spostrzeżenia. Bez metody...

— Tak, tak — powiedziałem gorączkowo, albowiem wiedziałem aż nadto dobrze, jak elokwentny potrafił być Poirot, kiedy zaczynał mówić na swój ulubiony temat. — Powiedz, co robimy dalej? Naprawdę masz zamiar odtworzyć zbrodnię?

— Raczej nie. Powiedzmy, że właściwa sztuka już się skończyła, a ja proponuję dodać do niej jeszcze maleńką... arlekinadę.

Poirot wyznaczył następny wtorek jako dzień, w którym miało się odbyć jego tajemnicze przedstawienie. Przygotowania wielce mnie zaintrygowały — w pokoju ustawiono duży, biały ekran, osłonięty z obu stron ciężkimi zasłonami. Następnie na miejsce przybył człowiek obsługujący sprzęt oświetleniowy oraz grupa osób profesjonalnie związanych z teatrem. Ludzie ci od razu zniknęli w pełniącej chwilowo obowiązki garderoby sypialni Poirota.

Japp przyjechał krótko przed ósmą. Był w kiepskim nastroju — zrozumiałem, że zawodowy policjant nie bardzo pochwalał zamiar Poirota.

— Ciut melodramatyczne, jak wszystkie jego pomysły. Z drugiej strony, zaszkodzić nie może, a nawet, jak mówi Poirot, jest szansa, że oszczędzi nam całej masy kłopotów. Zgrabnie się zabrał do tej sprawy. Mój nos mówił mi oczywiście to samo — odniosłem wrażenie, że tutaj Japp nieco naciągnął prawdę — ale obiecałem przecież, że pozwolę mu rozegrać wszystko, jak sam chce. Ach, są i widzowie!

Pierwszy przyszedł jego lordowska mość, eskortujący Mrs. Mallaby, której, jak dotąd, jeszcze nie widziałem. Była to ładna, ciemnowłosa kobieta. Wydawała się być wyraźnie zdenerwowana. Dalej nadeszli Davidsonowie — Chrisa Davidsona widziałem również po raz pierwszy. Był dosyć pospolicie przystojny, wysoki i ciemny, obdarzony sympatycznym wdziękiem aktora. Naprzeciwko jasno teraz oświetlonego ekranu Poirot ustawił krzesła dla gości. Pozostałe światła były wygaszone tak że cały pokój z wyjątkiem ekranu pogrążył się w ciemnościach. W mroku zabrzmiał głos Poirota:

— Monsieurs, madames, słowo wyjaśnienia, Na ekranie pojawi się kolejno sześć postaci. Znacie je — Pierrot ze swoją Pierrotką; błazen Punchinello i Pulcinella elegantka; delikatnie tańcząca, piękna Kolombina, i Arlekin, elf, niewidoczny dla człowieka!

Po tych wstępnych enuncjacjach zaczęło się przedstawienie. Każda z postaci, jakie wymienił Poirot, pojawiała się kolejno na tle ekranu, nieruchomiała tam na krótką chwilę, by następnie szybko zniknąć. Zapaliły się światła i wokół dało się słyszeć westchnienie ulgi. Wszyscy byli zdenerwowani, bali się, nie wiedząc czego. Sądziłem, że poczynania Poirota zakończyły się całkowitym fiaskiem. Jeśli morderca znajdował się wśród nas, i Poirot oczekiwał, że załamie się na sam widok znajomej postaci, to cały ten wybieg nie powiódł się, jak zresztą należało się tego spodziewać od początku. Tymczasem Poirot nie czuł się ani trochę zbity z tropu — postąpił krok do przodu, jego twarz promieniała zadowoleniem:

— A teraz, monsieurs i madames, bądźcie tak uprzejmi i powiedzcie mi, co takiego oglądaliśmy przed chwilą? Możemy zacząć od pana, milordzie?

Pan Beltane wyglądał na zaskoczonego. — Obawiam się, że nie bardzo rozumiem.

— Proszę tylko powiedzieć, co oglądaliśmy.

— Ja... hmm... więc... wydaje mi się, że widzieliśmy sześć sylwetek przesuwających się na ekranie, sylwetek reprezentujących postaci z dawnej komedii włoskiej, czyli... nas samych tamtej nocy.

— Tamta noc jest nieistotna — wpadł mu w słowo Poirot.

— Interesowała mnie pierwsza część pańskiej wypowiedzi. Madame, czy zgadza się pani z lordem Cronshaw? — Poirot zwrócił się do Mrs.Mallaby.

— Ja... no... tak, naturalnie.

— Zgadza się pani ze stwierdzeniem, że widzieliśmy sześć postaci rodem z dawnej komedii włoskiej?

— Ależ tak, oczywiście.

— Monsieur Davidson? Pan również?

— Tak.

— Madame?

— Tak.

— Hastings? Japp? Tak? Wszyscy się zgadzają?

Poirt przyjrzał się zebranym; jego twarz pokryła się delikatną bladością, a oczy stały się zielone jak u kota.

— A jednak — mylicie się wszyscy! Wasze oczy oszukały was — tak jak na balu maskowym owej nocy. Powiadają, że widzieć coś na własne oczy nie zawsze znaczy widzieć prawdę. Patrzeć należy oczami umysłu; zaprząc do pracy komórki szarej substancji. A zatem wiedzcie, że zarówno dziś, jak i wtedy na balu maskowym, widzieliście nie sześć, lecz pięć postaci! Patrzcie!

Światła znowu zgasły. Na tle ekranu poruszał się jakiś cień.

— Kto to jest? — dopytywał się Poirot — czy to Pierrot?

— Tak! — zakrzyknęliśmy wszyscy.

— Popatrzcie jeszcze raz!

Jednym zwinnym ruchem mężczyzna grający Pierrota pozbył się swego luźno przymocowanego garbu. Tam, w półmroku, stał teraz urodziwy Arlekin! W tej samej chwili usłyszeliśmy krzyk i stukot przewracanego krzesła.

— Przeklęty! — warknął Davidson. — Przeklęty! Jak to odgadłeś?!

Wtedy rozległ się brzęk kajdanek i służbowy głos Jappa.

— Aresztuję pana, panie Davidson, pod zarzutem zamordowania wicehrabiego Cronshaw... Cokolwiek pan powie, może być użyte przeciwko panu.

Piętnaście minut później na stole pojawiła się wykwintna kolacyjka — promieniejący Poirot wzorowo wywiązywał się z obowiązków gospodarza, i odpowiadał na nasze pełne entuzjazmu pytania.

— To było bardzo proste. Okoliczności, w jakich znaleziono ten zielony pompon od razu wskazywały na to, że został on oderwany od kostiumu mordercy. Wykluczyłem Pierrotkę — wbicie noża w serce wymaga niepośledniej siły fizycznej — i skoncentrowałem swą uwagę na Pierrocie. Ale Pierrot opuścił bal niemal dwie godziny przed popełnieniem zbrodni. A zatem albo musiał później powrócić na bal, by zabić lorda Cronshaw, lub też... eh bien, musiał go zabić zanim wyszedł! Czy było to niemożliwe? Kto widział lorda Cronshaw po kolacji tego wieczora? Jedynie pani Davidson, której świadectwo, jak przypuszczałem, miało na celu wyjaśnienie jak doszło do utraty owego pompona, który oczywiście został przez nią odcięty od jej własnego kostiumu, by uzupełnić strój jej męża, Ale w takim wypadku Arlekin, którego widziano w loży o wpół do drugiej, musiał być fałszywym Arlekinem. Wcześniej przez jakiś czas sądziłem, że zabójcą mógł być Eustace Beltane, jednak jego skomplikowany kostium zdecydowanie uniemożliwiał mu wcielenie się w rolę Punchinella i Arlekina. Z kolei dla młodego człowieka jak Davidson, mężczyzny mniej więcej tego samego wzrostu co ofiara, i zawodowego aktora, cała sprawa nie stanowiła żadnego problemu.

— Niepokoiła mnie tylko jedna rzecz. Lekarz nie mógł przecież nie zauważyć różnicy między człowiekiem, który nie żyje od dwóch godzin, a człowiekiem, który jest martwy od dziesięciu minut! Eh bien! Lekarz to zauważył. Tyle tylko, że nie pokazano mu ciała i nie zapytano: „Jak długo nie żyje ten mężczyzna?" Przeciwnie, to lekarzowi powiedziano, że tego człowieka jeszcze dziesięć minut temu widziano żywego. W trakcie śledztwa wspomniał więc jedynie o nienormalnym zesztywnieniu ciała, czego nie potrafił wyjaśnić.

— Teraz już wszystko zdawało się potwierdzać moją teorię. Davidson zamordował lorda Cronshaw tuż po kolacji, kiedy, jak państwo pamiętają, widziano ich, jak wchodzili razem do sali jadalnej. Następnie Davidson wyszedł z panną Courtenay, zostawił ją pod drzwiami jej mieszkania (choć zapewniał nas, że wszedł wraz z nią do domu i próbował ją uspokoić), i pojechał w największym pośpiechu do Colossus Hall — już jako Arlekin, a nie Pierrot — zmiana polegała po prostu na zdjęciu wierzchniego kostiumu.

Wuj zamordowanego pochylił się do przodu. Jego oczy wyrażały zakłopotanie.

— Jeśli tak, to Davidson musiał przybyć na bal z zamiarem zabicia swej ofiary. Jaki mógł mieć motyw, do diabła? Motyw, tego nie rozumiem.

— Ach! Tu dochodzimy do tej drugiej tragedii, tragedii panny Courtenay. Wszyscy przeoczyli jeden oczywisty fakt: panna Courtenay zmarła na skutek zatrucia kokainą, lecz jej zapas narkotyku znajdował się w emaliowanym pudełku, które znaleziono przy lordzie Cronshaw. Skąd więc pochodziła kokaina, która była przyczyną jej śmierci? Mogła ją otrzymać tylko od jednej osoby — od Davidsona. To tłumaczy wszystko — przyjaźń Coco z Davidsonami i jej żądanie, aby Davidson odwiózł ją do domu. Lord Cronshaw, który był niemal fanatycznym przeciwnikiem narkomanii, dowiedział się, że panna Courtenay była uzależniona od kokainy, i podejrzewał, że to Davidson był jej dostawcą. Nie wątpię, że on temu zaprzeczał, ale lord Cronshaw postanowił wyciągnąć prawdę z panny Courtenay na balu. Był w stanie przebaczyć nieszczęśliwej dziewczynie, ale z pewnością nie miałby litości dla człowieka, który żył z handlu narkotykami. Davidsonowi groziło zdemaskowanie i zguba, poszedł więc na bal z zamiarem uciszenia lorda Cronshaw za wszelką cenę.

— Czyli śmierć Coco była nieszczęśliwym wypadkiem?

— Myślę, że był to wypadek, zręcznie zaaranżowany przez Davidsona. Coco była wściekła na lorda Cronshaw, po pierwsze za wymówki, jakie jej czynił, po drugie za to, że odebrał jej cały zapas kokainy. Davidson dał jej więcej narkotyku i prawdopodobnie zasugerował, żeby zwiększyła dawkę na przekór „staremu Cronchowi".

— Jeszcze jedna rzecz — powiedziałem — a wnęka i zasłona? Skąd się o tym dowiedziałeś?

— Ależ mon ami, to było najłatwiejsze ze wszystkiego. Kelnerzy ciągle wchodzili i wychodzili z tego pokoiku, jasne jest zatem, że ciało nie mogło leżeć na podłodze, tam gdzie je znaleziono. Musiało być jakieś miejsce w pokoju, gdzie można było ukryć zwłoki. Wydedukowałem zasłonę i znajdującą się za nią wnękę. Davidson wciągnął tam ciało, a później, skupiwszy na sobie uwagę w loży, wyciągnął je z powrotem, zanim wreszcie definitywnie opuścił bal. To było jedno z jego najlepszych posunięć. Bystry facet!

Nie mogło być mowy o pomyłce. W zielonych oczach Poirota wyczytałem niewypowiedzianą uwagę:

— Ale nie tak bystry jak Hercule Poirot!

KONIEC

Przełożył: MACIEJ ŚWIERKOCKI

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Pogrzeb edukacji

Alina Wnuk — polonistka ze Szkoły Podstawowej nr 55 na Bałutach była ze swoją klasą na dwóch lekcjach teatralnych organizowanych przez Stowarzyszenie Artystyczne. W programie VI klasy tematyka teatralna obejmuje trzy lekcje i udział w spektaklu był doskonałym uzupełnieniem tego co mówiła w klasie.

— Niektórzy uczniowie w ten sposób po raz pierwszy zetknęli się z teatrem.

— Bywa i tak — dodaje inna nauczycielka, Grażyna Cuchrowska — *że na podstawie konspektu dzieci tworzą własną inscenizację. Przecież że po obejrzeniu programu wiedzą o co chodzi.*

Nauczycielki zgodnie twierdzą, że tego typu edukacja teatralna pomaga im w pracy, a dzieci uczy kontaktu ze sztuką.

Tak mówiły polonistki w czerwcu; dzisiaj właściwie już wiadomo, że edukacja teatralna „robiona" przez Stowarzyszenie upada. Brakuje pieniędzy...

Pomysł zrodził się w Gdańsku, prawie dziesięć lat temu. W kilku gdańskich szkołach podstawowych na lekcjach języka polskiego rozpoczęto realizacje cyklu: *„Poznajemy teatr"*. Młodzi ludzie (zazwyczaj 12 i 14-latkowie) poznawali atmosferę sceny, klimat teatru oraz jego historię i wiedzę o twórcach. Większość uczniów po raz pierwszy zetknęła się z teatrem.

„Od początku podjęcia działań edukacja teatralna rozumiana była jako wyposażenie uczniów w wiedzę o teatrze, umożliwienie kontaktów z dziełem, twórcą i rozwijanie własnej artystycznej twórczości, indywidualnej i zbiorowej. Kierunek działania w tym zakresie oznaczał pobudzenie i rozwijanie potrzeb kulturalnych, inspirowanie i kształtowanie zainteresowań oraz aspiracji uczniów. Wszystkie te elementy składały się na system ukierunkowujący rozwój człowieka, jego indywidualność, stwarzający warunki do odkrywania przez młodzież własnych możliwości i ich urzeczywistniania — do samorealizacji. To właśnie istota gdańskiej koncepcji edukacji teatralnej..." — czytam w genezie Centrum Edukacji Teatralnej Dzieci i Młodzieży.

Programy — spektakle, o których mowa, realizowali aktorzy Teatru „Wybrzeże", natomiast autorką programu była Józefa Sławucka, dzisiejszy dyrektor Centrum.

Po kilku latach funkcjonowania eksperymentu rozszerzono jego zasięg na inne województwa. Na początku edukacji udział w niej wzięło 900 uczniów szkół podstawowych, dzisiaj w cyklach edukacyjnych uczestniczy ponad 60.000 młodzieży ze szkół podstawowych i zawodowych. Dwa lata temu postanowiono powołać Centrum Edukacji Teatralnej Dzieci i Młodzieży w Gdańsku jako samodzielną firmę finansowaną z Funduszu Rozwoju Kultury.

W Łodzi wzorując się na *„systemie gdańskim"* Wydział Kultury i Sztuki UMŁ. zlecił realizowanie *„lekcji teatralnych"* Stowarzyszeniu Artystycznemu. Rozpoczęto łódzką edukację dwoma próbnymi programami *„Aktor w teatrze"* dla klas VI oraz *„Komedia dell'arte"* dla klas VII. W sumie odbyło się ponad trzydzieści lekcji.

Powie Alicja Ogińska — dyrektor Stowarzyszenia Artystycznego w Łodzi:

— Na jednym z pierwszych spotkań organizacyjnych kurator Roch Kopacki osobiście obiecał, że łódzkie kuratorium będzie w pewnym stopniu finansowało to przedsięwzięcie oraz że szkoły otrzymają odpowiednie informacje. Przede wszystkim nauczyciele języka polskiego. Dzisiaj okazało się, że kuratorium nie jest zainteresowane wydawaniem na edukację pieniędzy. Poza tym nasze lekcje teatralne przestały być pomocą naukową; są natomiast okazjonalną imprezą rozrywkową dla dzieci. Na spektakle zaczęli przychodzić tacy nauczyciele, którzy akurat mieli wolną godzinę: od w-fu, biologii. W ten sposób wszystko mija się z celem. Edukacja stała się imprezą estradową, która jest „dopustem bożym".

Nic w tym dziwnego, skoro szkoły o spektaklach dowiadywały się bardzo często od pracowników Stowarzyszenia. Do tej pory wiele szkół nie ma pojęcia o edukacji teatralnej. Telefonowałem do kilku szkół podstawowych, w których dyrekcja nie wiedziała o żadnych lekcjach teatralnych; nie było bowiem żadnych informacji z kuratorium bądź inspektoratów oświaty. Wszystkim natomiast edukacja kojarzyła się z wyprawami do teatru oraz ze spotkaniami z aktorem. Nie wiedziano o edukacji Stowarzyszenia ani w Szkole Podstawowej nr 19 na Retkini ani w SP nr 34 na Widzewie-Wschodzie, ani w SP nr 15, 136, 163 czy też w SP nr 149. Wydaje się, że te kilka szkół daje pewien obraz przepływu informacji...

Kurator Roch Kopacki jest zupełnie innego zdania; uważa, że coś się kryje za tym, że sprawa jest traktowana bardzo tendencyjnie. Ministerstwo Oświaty, podobnie jak łódzkie kuratorium, jest zainteresowane edukacją teatralną; ale, niestety, nie zapewni środków finansowych. Pozostaje tylko ubolewać, że z powodu prozaicznych pieniędzy edukacja upadnie. Zrealizowano, co prawda, już kilkadziesiąt lekcji teatralnych, jak się okazuje na marne; ale cóż to znaczy wobec kilku tysięcy lekcji odbywanych codziennie w szkołach — powie pan kurator.

Kurator Roch Kopacki nie potwierdza też informacji uzyskanej w Stowarzyszeniu, jakoby nie oglądał żadnego spektaklu.

Gdański system opiera się na nieco innych zasadach finansowych. Działalność Centrum finansowana jest z Narodowego Funduszu Kultury, natomiast w kosztach realizacji cyklów edukacyjnych partycypują instytucje różnych resortów; spółdzielnie mieszkaniowe, zakłady pracy, urzędy wojewódzkie itp.

— Wiele miast wyraża ochotę podłączenia się do „naszej rodziny" i uczestniczenia w cyklach edukacyjnych. Jest jednak podstawowy i niezmienny warunek: musi być absolutna zgoda i absolutne porozumienie trzech instytucji: teatru, ośrodka kultury i szkoły, czyli kuratorium. Bardzo często kuratorium jest koordynatorem na swoim terenie — mówi Mira Urbaniak z Gdańskiego Centrum Edukacji Teatralnej. *— Nasza edukacja obejmuje tylko takie szkoły, gdzie są nauczyciele pasjonaci, dla których lekcja teatralna nie jest dodatkowym niepotrzebnym i uciążliwym zajęciem. Cykle „Poznajemy teatr" i „Rozmowy o teatrze" są trzyletnie i mają swoją logikę.* Edukacja nie może więc być realizowana na zasadzie przypadku. Jeżeli jest przypadkowy „spęd" i na spektakl przyjdzie inna klasa — rozrywa się cały cykl edukacyjny.

Centrum w Gdańsku koordynuje prace w 17 województwach. W Łodzi edukuje się młodzież nieco innymi metodami.

Gdyby kuratorium w jakimś stopniu pomogło nam sfinansować edukację, jak to obiecywano na początku, nie byłoby problemu — mówi Alicja Ogińska. *— Nie zrobiono jednak żadnego gestu w tym kierunku i edukacja praktycznie przestaje istnieć. Pozostaną trwałe dekoracje, które robiono z myślą o kilkuletniej eksploatacji... To, co do tej pory zrobiono w Łodzi, praktycznie straciło sens, skoro nie widać nadziei na kontynuacje cyklu.*

JACEK BINKOWSKI

1 Felieton pesymistyczny

A byłeś pan w Ełku?...

Szanowny Panie Redaktorze.

W pierwszych słowach swego listu tradycyjnie przesyłam wszelkie serdeczności dla Pana oraz Zespołu, dziękując za paczkę z gazetami oraz skromny naszyjnik z bursztynu — zapewne pamiątkę z wakacji. Pozwoliłem sobie przekazać go siostrze przełożonej, która kolekcjonuje tego typu okazy naszej wakacyjnej kultury.

Po zimnym i deszczowym lipcu nieco pojaśniało, tym bardziej, że wielu kolegów wróciło z kolonii i półkolonii, obozów wszelakich, więc opowieściom wesołym końca nie ma, ku uciesze personelu medycznego każdego stopnia. Wrócił między innymi wypoczęty i opalony magister B., którego dzieci zabrały na trzytygodniową eskapadę po Jugosławii i Grecji. Siedzimy właśnie w naszej zacisznej salce telewizyjnej, nad kawą i butelką rakiji, a magister opowiada, opowiada...

— Oba piękne kraje, naprawdę było cudownie i z dzisiejszej perspektywy nie umiałbym określić, który na turyście większe piętno i wrażenie odciska... — rzeczowy zwykle i konkretny, po ostatnim wyjeździe począł wysławiać się w jakimś literacko-kwiecistym narzeczu. — Góry dzikie, niedostępne półki skalne, morza lazur, słońca żar i chłodnych bistro czar...

— A byłeś pan w Ełku? — sanitariusz Józio ciągnął rakiję bez opóźnień, niczym pośpieszny do Suwałk, a takie opowieści nie zbijały go bynajmniej z pantałyku, co więcej — stąpał jeszcze mocniej po ziemi. — Co mnie pan jakąś Budvą czy innym Koryntem mamisz? A znasz pan uroki kąpieli w okolicach Kołobrzegu? Wąchałeś pan w upalny dzień rodzinną zatokę Gdańską? Co mi tam grecka Kasandra, czy za przeproszeniem, Samotraka! My nie zasypiamy gruszek w popiele i mamy piękną, Wszędobylską Salmonellę! Albo wybierz się pan nad cudowne jezioro Jamno. Też „lazur"! Nawet kajakiem pan nie popływasz ni pontonem, bo się po kwadransie całkiem rozpuścić mogą! Jeden wielki, parujący ściek... — skrzywił się Józio okropnie, a małomówny zazwyczaj zmęczyć się musiał setnie, więc tylko szklaneczkę podstawił po kolejną porcję ożywczego płynu z Jugosławii rodem.

— A co tam idzie? — niespodziewanie wypaliła siostra Halinka, która w otwartych drzwiach na taras siedząc, łapała południowe słońca promienie.

Magister, który właśnie nad urokami Puli, wyspy Krk, plażami Splitu i Zadaru się rozwodził, zająknął się wyraźnie.

— No, tego, hm, nie wiem dokładnie, bo chłopaki mi imprezę fundowali, ale chyba wszystko idzie, bo wszędzie nasi z kramami stali, wprost przed samochodami towar z koca sprzedawali, a nawet poznałem faceta, który swoim „maluchem" powoził na rybackim krzesełku siedząc. Musiał niezłego kupca znaleźć, skoro z wozu fotele sprzedał...

— Turyści! — prychnęła pogardliwie siostra przełożona, twarzy od słonka nie odrywając, jeno kolana wyżej nieco odsłoniła, bo grzało całkiem mocno jeszcze.

— Uśmiałem się szczerze w Salonikach — magister udał, że nie usłyszał przytyku i znów polał kolejkę. — Pokazano mi rodaków, których ktoś na garnitury podpuścił, że niby dobrą cenę można za nie w Grecji chwycić. — Byście widzieli trzech facetów dźwigających po trzy cztery garnitury każdy i biegających od sklepu do sklepu. Tu upały po pięćdziesiąt stopni, a oni z bielską „setką", poezja! Nikt tego nie chciał, wreszcie za pół ceny zostawili towar... u greckiego krawca. Albo jak wracaliśmy...

— Ja wracałem przez Rumunię — przerwał mu niespodziewanie, ale z dumą i siłą w głosie prezes Mikuta, milczący dotychczas. — Ale więcej już w życiu przez ten kraj nie pojadę! Przez Jugosławię, albo samolotem, albo kajakiem z Odessy — proszę bardzo! Ale żadnych rumuńskich tranzytów. Oni w tym roku, z wrodzoną gościnnością i kulturą, wprowadzili na granicy celne opłaty gwarancyjne. Za rzeczy — ich zdaniem — wartościowe pobierają cło, w walucie! Wysokość ustalają sami, opłaty manipulacyjne też, a do waluty ich leje oczywiście się nie zaliczają. Paranoja!

— Zaraz, to „kenty" już u nich nie obowiązują? — przestraszył się nie na żarty kolega Lameta.

— Spokojnie, obowiązują, choć kurs nieco skoczył — uspokoił go gestem ręki prezes. — Gdybym nie miał kilku kartonów, to bym stracił radio i golarkę, a żona wdzianko, skórzane spodnie i trochę biżuterii. I jak jeszcze raz gdzieś przeczytam — tu zerknął z odrazą w moją stronę — „o lokalnej specyfice rumuńskiego ruchu drogowego", gdy wiadomo, że pod względem kultury motoryzacyjnej kryją ich jeszcze mroki średniowiecza — to dojdzie chyba do rękoczynów. Ale i tak po wakacyjnych przeżyciach musiałem tu do was wpaść na jakieś małe dwa, trzy miesiące. Wypocząć nieco, podkurować się...

— Ale czy byłeś pan w Ełku?! — dopytywał się coraz głośniej i energiczniej sanitariusz Józio, któremu zdrowotna rakija wyraźnie uderzyła do głowy. Chyba piwo, którym popijał, było nieco za ciepłe...

STEFAN ŻYCIOWY

2 Spojrzenie znad szachownicy

Miss z okienka

1.

W nocy z soboty na niedzielę — a więc w godzinach, w których zazwyczaj oglądaliśmy horrory — telewizja uczęstowała nas programem MISS Z OKIENKA, czyli transmisją z wyborów Miss Polonia, co prawda nie bezpośrednią, lecz montowaną i emitowaną z kilkugodzinnym poślizgiem.

Jakość obrazu, powiedzmy to otwarcie, nie była niestety najwyższa, mimo iż gapiłem się w telewizor milej memu sercu marki Panasonik; dlaczego milej, zdradzę w rok i sześć niedziel po przejściu na tamten świat, bądź emeryturę. Panasonik nie Panasonik, a gdy dziewczęta defilowały w kostiumach kąpielowych na ich nogach pojawiało się coś w rodzaju błękitno-szarawych skarpetek, efekt kiepskiego operowania światłem, co dawało tak zwane złudzenie optyczne.

Trafiały się i inne usterki, nie będę jednak zabawiał się w recenzenta, chciałbym bowiem rzucić śmiały pomysł z gatunku tych, co je należy łapać. A pomysł zrodził się tak oto.

2.

Kiedy panny przedefilowały przez estradę po raz pierwszy, wziąłem długopis i zanotowałem na kartce numerki: 5-13-15-17-20. Pierwszy i ostatni, a więc „5" i „20", podkreśliłem. (Żona świadkiem, a gdyby coś, kartka leży pod telewizorem i można ją komisyjnie sprawdzić!).

Po kolejnych przemarszach zmieniałem w notatkach to i owo, ale „piątka" i „dwudziestka" powtarzały się niezmiennie, aż weszły na moją ostateczną listę, która tylko nieznacznie różniła się od listy ustalonej przez jurorów. Innymi słowy w dziedzinie kobiecej urody okazałem się ekspertem nie lada, co zdziwiło mnie trochę, lecz nie przesadnie.

Kiedy doszło do ostatecznego rozstrzygnięcia „piątka" wylądowała wszelako dopiero na czwartym miejscu, złapałem się tedy za głowę i jęknąłem, za chwilę nastąpiło jednak montażowe cięcie i usłyszeliśmy nerwowe wyjaśnienie, że „komputer jest bezlitosny", zaszła pomyłka, a „piątka" jest pierwszą wicemiss, niestety. Potem się okazało, że tak naprawdę wyjaśnień tych udzielono dopiero na konferencji prasowej, słowem nakładając tekst na obraz koledzy z telewizji usiłowali „ratować twarz" kolegów z estrady. Tytuł Miss Polonia zdobyła natomiast — już bez żadnych kolomyjek i w zgodzie z moimi notatkami — „dwudziestka", panna Renata Fatla z Bielska-Białej.

Otrzymałem tedy należną satysfakcję, jednak tylko satysfakcję, nic więcej, a przecież gdybym równie trafnie typował w Toto-Lotka miałbym z tego parę złotych. Zaraz, zaraz, a dlaczego by nie, pomyślałem

3.

Urządzamy MISS-TOTKA, skrzyżowanie Toto-Lotka z wyścigami konnymi, w których — jak wiadomo — można także grać na kolejność w jakiej wierzchowce mijają linię mety.

(Dziewczęta nie powinny czuć się urażone tym porównaniem, ponieważ wyścigowe konie również są bardzo piękne, a zwierzęta nie bez racji uchodzą za porządniejsze od ludzi — na przykład nie pożyczają pieniędzy, żeby nie oddać, nie upijają się i prawie nigdy nie szachrują przy kartach)

Dalej to już proste. Na parę dni przed właściwym finałem transmitujemy jedną z prób generalnych, wypuszczamy specjalne kupony, na których można typować pierwszą trójkę, kolejność pierwszej piątki, dziesiątkę finalistek, no i tak dalej, zgarniamy pieniądze i wypłacamy nagrody. Skromne jednak, żeby więcej zostało na wyposażenie tych dziewcząt, gdy ruszą potem na podbój szerokiego świata. Nie powinny się bidulki, użalać, że miały brzydsze sukienki od konkurentek i tylko dlatego nie zostały Miss Świata.

4.

Przewiduję wprawdzie pewne komplikacje, na przykład posądzanie jury o manipulowanie wynikami, jury bez przerwy jest jednak o coś posądzane, powinno się więc zdążyć przyzwyczaić. Możemy zresztą wprowadzić zabezpieczenia, na przykład mężów zaufania losowanych spośród widzów, czy coś w tym guście — im więcej będzie rozgardiaszu tym lepiej, ponieważ emocje wzrosną.

Pod naciskiem tych, którzy przegrali i pragną się odegrać, MISS-TOTKA trzeba będzie urządzać częściej niż raz do roku, na początek co kwartał, później co miesiąc, wreszcie każdego tygodnia. Zwiększy to obroty, a przy okazji szanse startujących dziewcząt, co i trochę będziemy mieli bowiem Miss Polonię.

Łatwo zgadnąć, że MISS-TOTEK rychło rozprzestrzeni się na inne kraje, powstanie także MISS WORLD TOTEK, przy którym — to chyba oczywiste — obejmą skromną funkcję doradcy, choć apanaże nie muszą już być takie skromne i o to akurat nie zamierzam się kłócić.

„Odgłosy" też będą coś z tego miały, jako ekspert i doradca obiecuję bowiem wyłącznie na łamach „Odgłosów" udzielać fachowych porad, jak — nieprawdaż — grać, żeby wygrać, a przynajmniej nie przegrać portek.

Teraz pozostaje to wszystko zrealizować. Do roboty, panie i panowie, do roboty! Nie myślicie chyba, że będę się fatygował osobiście.

JERZY P.

3 Sport

Krok do przodu, krok do tyłu

Był taki angielski film o niepotrzebnych, czy dziwnych krokach — dobrze już nie pamiętam — wymyślono nawet specjalne ministerstwo, które dawało stypendium dla studiowania niepotrzebnych kroków. Przypomniał mi się ten film, gdy czytałam komunikaty PZPN oraz dyskusję nad nowymi zasadami, według których zaczęła już grać nasza liga. Władysław Żmuda, trener chorzowskiego RUCHU, odpowiadając na pytanie katowickiego „Sportu", co myśli o nowym regulaminie ligowych rozgrywek, powiedział bardzo słusznie, że „praktycznie skutki poznamy dopiero wówczas, gdy piłkarze wyjdą na boiska". Wyszli już. No i co? No i nic. Jedynie zabrzański GÓRNIK strzelił akurat 3 bramki chorzowskiemu RUCHOWI, ale piłkarze RUCHU, jakby w obronie nadszarpniętego dobrego imienia, strzelili — jak to się mówi — honorowego gola i uniemożliwili GÓRNIKOWI zdobycie 3 punktów. Nowy regulamin stanowi bowiem, że ten kto wygrywa różnicą 3 bramek ma 3 punkty. Ma to być sposób na dominujące w naszej I lidze remisy i „murowanie bramki", ale na razie efektów nie było. Trudno jest bowiem tak od jednego zarządzenia zmienić kształtowany latami charakter drużyn.

Naszych piłkarzy uczono latami bronić się. Defensywy — jak to się mówi w piłkarskim żargonie — były w cenie, drużyny uczono utrzymywania wyniku, jeśli zdarzył się korzystny, albo grania na remis. A tu nagle ma być zupełnie inaczej. Ma być ponoć ofensywnie i bramek bez liku. Ale nie jest i — boję się — długo nie będzie. Napastników trzeba dopiero wychować, a to też nie będzie proste, bo — znów się boję — klubowi trenerzy zapomnieli jak to się robi. W Meksyku mieliśmy tego najlepszy przykład. Gdyby nie jedyna bramka Włodzimierza Smolarka, to wróciliby nasi piłkarze czyści z Meksyku niczem dziewice. Pod względem goli oczywiście. Strzelonych przez nich poza tym.

Działania PZPN, mające na celu zreformowanie naszego piłkarstwa, są to takie pozorowane kroki. Niby robi się krok do przodu, wszystkim się tak to wydaje, ale w istocie zaraz robi się krok do tyłu i wszystko stoi w miejscu, choć pozornie się rusza. Reformę piłki nożnej w Polsce trzeba głęboko przemyśleć, zmienić śmiałymi decyzjami samą jej strukturę, charakter, istotę, a nie ograniczać się do działań matematycznych. To nic nie da. Drużyny piłkarskie powinny powstawać z głębokiej potrzeby młodzieży do grania w piłkę, a nie z ambicji bogatych wujków, którzy mają pieniądze i chcieliby akurat patronować „swoim" piłkarzom. I patronują. Wujkowie nie lubią jednak przegrywać, bo to im ambicję szarpie. Wujkowie płacą, gdy chłopcom nie chce się grać. Płacą, aby inni też nie grali. Sport zamienia się w targ. Na targu liczą się pieniądze: kto komu da więcej i za co?

Brak zdecydowania w PZPN jest ogromny. Przegrywają na międzynarodowych boiskach seniorzy, juniorzy i młodziaki, w europejskich pucharach nie liczymy się zupełnie, techniczne wyszkolenie naszych piłkarskich orłów jest pod zdechłym azorkiem, ale ambicje mamy i trzeba stawać do walki. Mistrzostwa Europy nie tak daleko. Pierwszy mecz eliminacyjny polska reprezentacja gra w połowie października, trzeba też stanąć do eliminacji olimpijskich, a tu ani reprezentacji, ani jednej, ani drugiej, ani też trenerów, którzy te reprezentacje zaczną budować. Miejsce po Antonim Piechniczku wolne i trzeba je szybko kimś obsadzić. PZPN uroczyście zobowiązał się, że do 1 sierpnia 1986 roku — aby nie było wątpliwości — sprawę wyjaśni, da nominację. Minął 1 sierpnia, nominacji nie ma, jest konkurs, a jego rozstrzygnięcie ma nastąpić dopiero pod koniec sierpnia. Miesiąc mniej czasu będzie miał nowy trener. Działanie jakby zupełnie z innego świata. Gdyby sięgnąć do wojennych przenośni, to gdy wróg zbliża się do bram, nie rozpoczyna się debat o skutecznych sposobach walki z nim, ale stawia się wodza na czele obrońców. A w PZPN ani obrońców, ani wodza. Dobrze, że przeciwnik choć znany, tylko z wiedzy tej nie ma kto czerpać korzyści. Znów przyjdzie nam dać tyły w pojedynku o wygranie eliminacji do mistrzostw Europy!

Debata nad tym, kto ma być wodzem naszej piłkarskiej drużyny trwa. Padają w niej śmieszne, a niekiedy żenujące argumenty. Oto Włodzimierz Mazur, były reprezentant Polski w piłce nożnej, powiada, że jego zdaniem najlepszy będzie Włodzimierz Lubański, bo sam grał dobrze, a trenerskie papiery zdobył... na Zachodzie. Natomiast Tadeusz Policewicz, specjalista od dochodów w COS, daje szanse Andrzejowi Strejlauowi i Ryszardowi Kuleszy, gdyż obaj ...mieszkają w Warszawie. Trener Zygmunt Gutowski ma również wątpliwości, co do słuszności samej idei konkursu na trenera reprezentacji. „To tak — powiada — jakby wśród uczniów rozpisać konkurs na funkcję ich nauczyciela". Ryszard Niemiec z krakowskiego „Tempa" opowiada się za Leszkiem Jezierskim. Ja się wstrzymuję! Boję się, że znów może to być bardzo dziwny i śmieszny krok rodem z angielskiego filmu.

BOGDA MADEJ

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(12)

Ale teraz ty się pilnuj, dziewczyno. Ten okularnik wymoczek siedzący na leżaku pod parasolem oderwał wzrok od książki, od swoich małych przyjaciół paragrafów, i wlepił go w ciebie, jakby wreszcie odebrał sygnały, które każdym ułamkiem kwadratowego centymetra wysyła twój kąpielowy kostium. Pilnuj się, żeby on nie zobaczył ile dziur jest w płocie odgradzającym posesję szkółki niedzielnej od terenów należących do Towarzystwa Kalifornijskich Burdeli Ekskluzywnych. Pilnuj się, bo jak on zobaczy wszystkie te dziury, jak je sobie policzy, to dla ciebie też może być koniec, koniec twoich ambitnych planów matrymonialnych.

Na szczycie wieży Adam podciągnął slipy i przewentylował płuca gęstym nieruchomym powietrzem. Górował nad tymi ludźmi pocącymi się w skwarze dokoła basenu. Kilku z nich już go spostrzegło i zwróciło ku niemu ciekawe twarze, ocieniwszy je rękoma: pani Klein, jej finansowy doradca Hal Hennesy, obie córki Cyrusa Folsoma, Bass ze swoją nową dziewczyną Ezrą, starsi, szacowni i wdzięczni losowi za nagromadzone bogactwo państwo Jarvis... Adam znowu rozluźnił mięśnie, po czym napiął je, opierając się pokusie sprawdzenia, czy Linda także patrzy na niego, na młodego mężczyznę o wysportowanej sylwetce i wspaniałej muskulaturze, dzisiaj mistrza okręgu, a w przeszłości członka drużyny olimpijskiej. A co, może nie?

Na usztywnionych nogach podszedł do krawędzi wieży, gdzie stanął wyprostowany w blasku słońca i zamknął oczy, by skoncentrować się przed skokiem. Dobiegały go głosy amatorów kąpieli, którzy dziesięć metrów poniżej odpływali na boki z wesołym zgiełkiem, robiąc mu miejsce w basenie, ostrzegając się wzajemnie i kierując na niego spojrzenia. Zgiełk ten z wolna ucichł i Adam poczuł, że ściąga na siebie uwagę wszystkich obecnych, staje się postacią centralną wśród tych ludzi tutaj i zaczyna nad nimi panować. Znał to uczucie z poprzednich imprez sportowych, w których brał udział, ogarniające go w kulminacyjnych momentach zawodów.

Powtórzył w pamięci kolejne fazy skoku, izolując się od świata i pozwalając, by inne myśli oddaliły się od niego i pierzchły. Zachował tylko obraz Lindy, bo to dla niej miał wykonać swój popisowy numer; obraz jej włosów rozsypanych na ramionach, leniwego uśmiechu, wypiętych piersi i rozchylonych nóg, które przedziela pasek materiału... Jakieś dziwne właściwości ma ten kostium bikini, wytwarza własną grawitację, jest bladoniebieski i połyskuje w słońcu jak powierzchnia wody w basenie, aż człowiek ma ochotę rzucić się głową naprzód w te wabiące go otchłanie.

W ciszy modulowanej słabym i przytłumionym wyciem syren, metr po metrze spadał Adam w dół, wykonując poszczególne ewolucje prawie mechanicznie. I w ostatniej sekundzie, kiedy po kończącym skok skręcie wyciągnął się na całą długość, zapragnął śmierci. No bo jaki sens ma dalsze życie, skoro wszystko diabli wzięli? Harvard, Lindę, jej bladoniebieski kostium, oblapki w samochodzie za miastem, coraz mocniejsze, coraz bardziej zdyszane i wilgotne... wszystko. Ona stąd wyjeżdża nieodwołalnie zaraz po wakacjach, żeby zostać panią Wymoczkową Copperman i zmieniać pieluchy małym Paragrafom, więc co ją obchodzi reszta? Co ją obchodzi jakiś tam facet, z którym się ściskała przez dwa lata i omal nie poszła z nim do łóżka? Popisywał się przed nią, skakał dla niej z wieży jak małpa, był zabawny. A byłoby jeszcze zabawniej, gdyby teraz chlupnął na dno basenu i więcej nie wypłynął — co daj Boże, amen.

Oślepiająca łuna rozlała się gwałtownie w jego czaszce i Adam, zanim zniknął pod wodą, pomyślał, że to posłuszny jego woli system nerwowy w porywie samodestrukcji przepalił za jednym zamachem wszystkie bezpieczniki na tablicy rozdzielczej mózgu.

11 kilometrów od punktu „0".

Ta trzpiotowata Sarah Jefferson — a to dopiero! Ma męża przystojnego, że dech zapiera. Ukrywa go przed kobietami, ale trudno mieć jej to za złe. Chyba my wszystkie z Sacri-fer jesteśmy o swoich mężów zazdrosne, zwłaszcza teraz, kiedy nie możemy poświęcić im tyle uwagi co dawniej. Biedny Quent!

Z torebką pod pachą Rebby Courgan weszła do schronu i rozbrzmiewająca w nim wrzawa odcięła ją od hałasu ulicy i tego alarmu tam na zewnątrz. Ścienne ideogramy wskazały jej drogę do kafeterii, gdzie gwar przelewał się z jednego końca sali w drugi, od szafy grającej do telewizora, w który nikt nie patrzył. Sympatyczny młody człowiek ustąpił jej miejsca przy barze i razem ze swoją szklaneczką odsunął się w bok, żeby mogła wygodnie usiąść na stołku. Dziękując uśmiechem Rebby posłała mu spojrzenie promienne i ciepłe, cieplejsze niż tego chce konwenans. Ale tym wszystkim ludziom przecież coś się należy za ich życzliwość i serdeczność, jakiś znak, że się docenia okazywaną nam troskę.

— Życie ma swoje prawa — przemówił ten młody człowiek i Rebby spostrzegła, że jego stan daleki jest od trzeźwości. — Na świecie szaleje przemoc, wojna wisi na włosku, a my się rozmnażamy.

— No, ten alarm to zwykłe...

— Tak, ten alarm. Moja żona też jest... To znaczy leży w szpitalu i jeszcze dzisiaj zostanę ojcem. Może nawet w tej chwili doktor Volser wymierza klapsa mojemu dziecku. I co za dźwięk Chris II — nazwiemy je Chris II, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka.. i co za dźwięk usłyszy jako pierwszy?

Rebby zastanowiła się, o co temu mężczyźnie chodzi. Nieważne. I dosyć już tych wyrażających wdzięczność uśmiechów i raczej nie ma powodów, żeby przedłużać tę rozmowę.

— Dziękuję za to miejsce. Teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zamówię sobie coś do picia.

— Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. Tylko powiem pani, co Chris II usłyszy. Wycie syren. Na powitanie, na dobry początek przyszłego życia każdy dostaje w tyłek, żeby od razu porzucił wszelkie złudzenia i wiedział, jak będzie tu traktowany przez resztę swoich dni. Tu, na pokładzie tej tratwy szaleńców. Więc wycie syren jest stosownym ostrzeżeniem. A gdybym był doktorem Volserem, to zaglądając w tę rozwartą furtkę między światami, doradzałbym każdemu kandydatowi na noworodka, żeby się wczołgał z powrotem i z całych sił trzymał pępowiny, dopóki ci faceci, którzy rządzą tą planetą, nie otrzymają pomocy psychiatrycznej.

Rzeczywiście sympatyczny i życzliwy jest ten młody człowiek, ale po co mówi takie okropne rzeczy? Rebby postanowiła go ignorować i zająć się wyłącznie sobą. Sobą i Szkrabulkiem. Pan Tomashek... Och, Michael zachwalał serwowane tutaj koktajle owocowe. Wygląda na wybrednego smakosza i chyba można zawierzyć jego podniebieniu. Szkoda jednak, że nie wymienił jakiejś nazwy. Nie, to powinno być coś oryginalnego, coś, co wymyśli sama, żaden z tych napitków gotowych, sporządzanych według ustalonych receptur. Mus brzoskwiniowy, lód, plasterek cytryny i bita śmietana na wierzchu? Galaretka pomarańczowa w mrożonym soku z granatów, przykryta czapeczką kremu i posypana bakaliami? Rebby położyła dłoń na swoim kulistym brzuchu, by zasięgnąć opinii Szkrabulka, który buntowniczym kopnięciem wyraził.. no właśnie, co on chciał wyrazić?

— Dla pani, proszę — To był barman. Ściereczką przetarł przed nią gładki kontuar, w którym odbijały się wątłe światła żarówek oprawionych w kanałówki pod sufitem, i wyczekująco spojrzał jej w oczy.

— Chciałabym napić się czegoś... czegoś...

— „Owocowa Galaktyka" — wtrącił młody człowiek. — „Owocowa Galaktyka" dla tej pani. Ja płacę.

— Och! — zanim Rebby zdążyła sprostować, barman przyjął zamówienie i odszedł. Zdetonowana i nad wyraz niezadowolona obróciła się z pretensją do tego mężczyzny. — Nie sądzi pan, że to gminne? — stanowczo za daleko posuwa się on w swoich opiekuńczych zapędach, zbyt już natarczywych.

— „Owocowa Galaktyka"? Z pewnością jest gminna. Ale ma mnóstwo składników odżywczych i witamin. W sam raz dla ciężarnych kobiet, żeby rodziły duże, zdrowe i silne dzieci. Z dużych, zdrowych i silnych dzieci wyrosną duzi, zdrowi i silni żołnierze i trzeba będzie na nich więcej tych cennych bomb atomowych.

Rebby rozejrzała się za innym wolnym miejscem. I wtedy gładki kontuar, lustro za barem, butelki na półkach, ludzie i w ogóle całe wnętrze zapłonęło ostrym, diamentowym blaskiem, przemieniło się w fantasmagoryczną komnatę bajkowego zamku. Wydając cichy okrzyk strachu i mrużąc powieki Rebby odwróciła twarz, ale ten blask jaśniał wszędzie; przez szeroko otwarte drzwi na obu końcach korytarza bił z ulicy i rozlewał się po kafeterii, po załomach schronu. Żarówki zgasły w kanałówkach, szafa grająca zabeczała głosem murzyńskiej wokalistki, której sopran poprzez trzy i jedną dziesiątą oktawy oraz szerokość obu rejestrów wkrótce opadnie do basu i ucichnie, jednocześnie nad telewizorem blade, anemiczne płomienie ognia zakwitły w siwej mgiełce dymu, a głośnik aparatu zacharczał kanoną przepalonych tranzystorów.

Dokładnie w tym samym czasie Michael Tomashek stracił wzrok prowadząc swojego Pontiaca, który po środkowym pasie pustoszejącej jezdni poruszał się z prędkością niedozwoloną. Jeszcze przez dwie sekundy oślepły pan Tomashek trzymał nogę na gazie, potem cofnął ją, ale nakryty fala rozpłomienionego powietrza nie zdążył już wcisnąć hamulca.

5 kilometrów od punktu „0".

Cat ruszył w głąb hali, by zagonić Gary'ego do roboty, a William Frankley włożył biały laboratoryjny fartuch i podszedł do pulpitu rozrządu. Ten biały fartuch, ten pulpit i ta cisza wokół — przypominało to tamtą sytuację sprzed tygodnia, kiedy ubrany w szpitalny kitel stał razem z pielęgniarką w separatce i patrzył na aparaturę reanimacyjną czuwającą przy łóżku, na którym leżała martwa Olie, wciąż jeszcze zaintubowana. Zaintubowana.. Cat powiedział to o „Couggie'em". „Tkwi zaintubowany w tunelu". Dziwnym językiem posługują się technicy.

— Cat — rzucił Frankley w stronę, gdzie toczyła się nieskładna rozmowa obu jego współpracowników.

— Tak, Billy-Frank?

— Sprawdziłeś dyszę?

— Ja to zrobiłem — odezwał się z półmroku Gary. Mówił powoli, z czułą, narkotyczną intonacją. — Przedmuchałem je lepiej niż kiedykolwiek swoją dziewczynę. I wiesz, co ci powiem, Billy-Frank? Przy takiej prędkości przepływu strumienia nawet krzemień będzie szybować, więc pomyślałem sobie, żeby zamiast „Couggie'ego" wpakować do tunelu własny tyłek, rozpostrzec ramiona i przerodzić się w Ognistego Ptaka.

Frankley nie chciał tego słuchać.

— Cat — warknął.

— Tak?

— Który to już dzisiaj?

— Co który, Billy-Frank? — Cat wyszedł zza bocznej ściany tunelu i zbliżył się do pulpitu.

— Skręt — wyjaśnił Frankley, po czym spytał: — W jakim on jest stanie?

I nie dając Catowi czasu na odpowiedź poszedł to sprawdzić osobiście. Nie miał nic przeciwko Gary'emu, w pewnym stopniu nawet go lubił, piekielnie dużo miał jednak przeciwko jego przechwałkom, w których miłosny podbój poganiał miłosny podbój, erotyczna zdobycz poganiała erotyczną zdobycz, a łóżkowy sukces poganiał łóżkowy sukces — choć w rzeczywistości żadna dziewczyna nie wytrzymała z Garym dłużej niż do drugiej randki. Kłopoty seksualne — pomyślał Frankley — ten chłopak może sobie mieć i to jego sprawa, w jaki sposób z nimi walczy, nawet jeśli sięga po narkotyki, ale nie pozwolę, żeby z tego powodu ucierpiały badania.

Gary siedział w półmroku na ziemi, pod boczną ścianą tunelu i oszczędnie zaciągał się skrętem. Prawą rękę opierał o kolano zgiętej nogi, a rudawy, żarzący się punkcik oświetlał jego stuloną dłoń i część twarzy, uwydatniając poprzez grę cieni wypukłości policzków i kształt łuków brwiowych. Olie lubiła odpoczywać w takiej pozie; siadywała wtedy na swoim szezlongu meridienne i paliła cienkie papierosy o długich filtrach z węglem aktywowanym.

— Dasz radę wstać o własnych siłach? — zapytał Frankley.

— Dam radę fruwać — odparł Gary. — Chcesz macha?

— Wolałbym, żebyś to zgasił. Weź się w garść i idź do komory. Otwórz główny zawór.

— Dooobra, dooobra — Gary dźwignął się z posadzki jak podniesiona za sznurki marionetka i z wypalonym do połowy skrętem podryfował w kierunku metalowych drzwi, za którymi w równych rzędach stały stłoczone butle ze sprężonym powietrzem. — „Te syreny nawołują nas do bardziej wytężonej pracy", tak? Tak powiedział komandor Shepard? A wiesz, co ja ci powiem, Billy-Frank? Że te syreny to są chóry anielskie Królestwa Niebieskiego. I szczam na to, co powiedział komandor Shepard.

Frankley poczekał, aż Gary zniknie w komorze, i wrócił do pulpitu rozrządu. Sprawdził temperaturę w podgrzewaczu i włączył monitory kontrolne. Aerodynamiczna sylwetka „Couggie'ego" widniała na nich w różnych ujęciach.

— Goootoweee! — ryknął Gary zza metalowych drzwi komory. — Puma pręży się do skoku między krzaki kosmicznej sawanny.

— Jest — potwierdził Cat schylony nad aparaturą pomiarową. — Ciśnienie na wejściu: dziewięćdziesiąt... sto dziesięć... sto trzydzieści.... sto czterdzieści... sto pięćdziesiąt. Stabilne. Możemy zaczynać.

Zaczynać... co? — pomyślał Frankley. Ciśnienie sto pięćdziesiąt niczego nie zaczyna. Ono wszystko kończy. Takie ciśnienie, ciśnienie rozkurczowe, miała Olie.

„Wiesz, ile mam? — spytała miesiąc temu. — Doktor Oughterson powiedział, że dwieście na sto pięćdziesiąt. Czy coś koło tego".

„Tylko tyle?"

„Hmmm?"

„Powiedział ci tylko tyle? A nie powiedział ci, że..."

„Och, wiem, co masz na myśli — Olie usadowiła się na swoim szezlongu. — Powinnam bezwzględnie przestać pić i palić, hmmm? Ale tak się składa, kochanie, że akurat mam straszną ochotę na jedno i drugie. To znaczy na papierosa i szklaneczkę szkockiej. Przygotujesz mi coś do picia, Bill, kochanie? Jestem skonana".

Nie mógł trzymać jej w rygorze, karcić i napominać, częste perswazje też nie skutkowały, więc nalał jej tego drinka — tak jak zawsze to robił i tak jak robiłby to do dzisiaj, gdyby... Owszem, powinna była rzucić palenie, ograniczyć picie, ale przede wszystkim powinna była wycofać się z pracy zawodowej. Na dłuższą metę niepodobna przecież żyć w ciągłym napięciu, stale dręczyć się obawami i zamartwiać, czy projekt kreacji koktajlowej „Gwiazda Wezyra" znajdzie uznanie w oczach wyrafinowanych snobów od Braci Donner, albo czy linia sukien wieczorowych zaproponowana Darryl i Darryl na ten sezon jest przy całej swojej awangardowej śmiałości dostatecznie nobliwa, albo też, czy szkice ubiorów wypoczynkowych wysłane na konkurs, któremu patronuje redakcja „House and Garden", zdobędą Główną Nagrodę.

— Możemy zaczynać — powtórzył Cat z lekkim naciskiem.

Ale Frankley nadal tonął we wspomnieniach. Znów nawiedziła go kabalistyczna refleksja — „wkrótce się spotkamy, kochanie".

— Coś nie w porządku, Billy-Frank?

— Co. Ach, nie, Zaczynajmy.

I jakby wypowiedział zaklęcie — całą halę na poziomie trzecim pod hangarem F spowiły ciemności. Zgasły wszystkie światła i w tym samym ułamku sekundy z pulpitu rozrządu wytrysnęły z trzaskiem żagwie iskier.

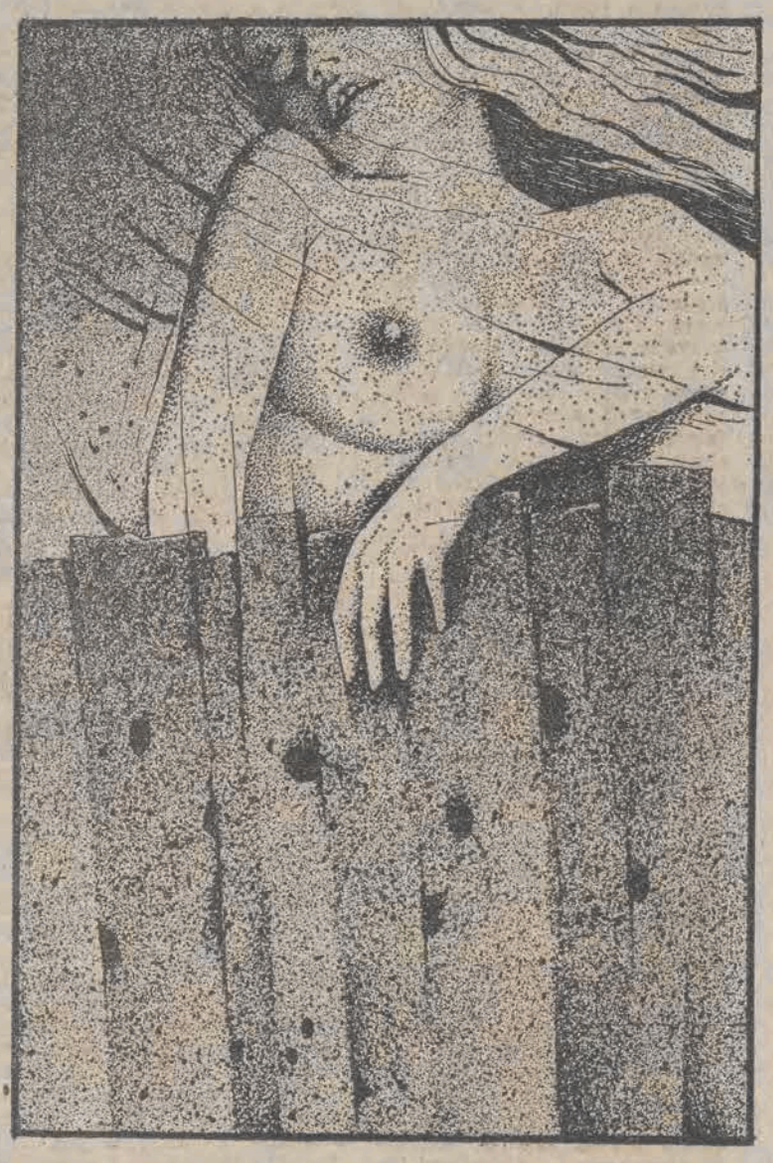

Rys. Janusz Szymański-Glanc

ZGNIŁOJAJCY SĄ ISTOTAMI ROZUMNYMI

Teraz za kierownicą Chevroleta Accord Leila o fiołkowej karoserii siedział Jeremy Brown.. Nadal był pod wrażeniem widoków oglądanych w Skamieniałym Lesie i przestał już żałować, że wczoraj tak łatwo ustąpił bezdusznej argumentacji Doreen, ktora doprawdy z zimną krwią minęła Williams oraz Flagstaff, skąd tylko godzina jazdy dzieliła ich od Wielkiego Kanionu, i zatrzymała się na nocleg dopiero w Winslow. Wielki Kanion jest faktycznie cudem świata, ale tym razem ewentualnie można go sobie odpuścić; Skamieniały Las całkowicie wynagrodził tę stratę — skądinąd przecież do odrobienia. No i to właśnie w Skamieniałym Lesie narodził się ten znakomity pomysł na opowiadanie o Rozumnych Drzewach-Kosmicznych Podróżnikach, które przed milionami lat wylądowały na Ziemi i nie mogły z niej wystartować, bo ich statek uległ awarii, więc poddały się procesowi zeskalenia, by zebrana przez nie i zakodowana w ich komórkach wiedza przetrwała do czasów, aż wyewoluje ziemski gatunek rozumnych drzew zdolnych rozszyfrować i przyswoić tę wiedzę, i podjąć przerwaną podróż. Doreen chciała, żeby ludzie w tym opowiadaniu byli czynnikiem ekologicznym równie niezbędnym co leśna ściółka, i nieświadomi celu swojego istnienia, wznosząc się na szczyty technologii, zbudowali statek kosmiczny dla powstałej tymczasem generacji rozumnych drzew — ale nazbyt to bliska analogia do jednej z powieści Vonneguta.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia".